

Liryczne Jasło

**Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
Jasło 2025**

Liryczne Jasło

**Utwory laureatów
XXX
Ogólnopolskiego
Konkursu
Literackiej
Twórczości
Dzieci
i Młodzieży**

Wydawca:

Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle
www.mbp.jaslo.pl

Korekta: Elżbieta Sławniak
Anna Filip

Projekt okładki: Magdalena Chart

Druk: ATTYLA Władysław Kardasz, Jacek Kardasz Sp.j.

Copyright by Miejska Biblioteka Publiczna w Jaśle, 2025

ISBN 978-83-957913-8-3

spis treści

7	Docenić wrażliwość
10	I to pisanie...
13	Doświadczenia, wzruszenia, więzi - o wartości OKLTDiM
15	Pożegnania - jasielski konkurs literacki okiem jurora
18	By zwiedzać samego siebie
21	Lista osób nagrodzonych
26	Kategoria I Szkoły podstawowe, klasy 4-6
54	Kategoria II Szkoły podstawowe, klasy 7-8
92	Kategoria III Szkoły ponadpodstawowe

Docenić wrażliwość

Szukając inspiracji, by napisać kilka słów podsumowujących trzydzieści lat Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle, sięgam po trzydzieści tomików z pracami laureatek i laureatów. Pierwszy, drukowany jeszcze na zwykłej drukarce i zszyty za pomocą bindownicy, zdążył już pożółknąć. Ale jego tytuł wciąż wymowny – „To były moje pierwsze kroki”. Tak, to były pierwsze kroki na własnej literackiej ścieżce dla kilku tysięcy młodych osób z całej Polski, a także z zagranicy. W trzydziestu edycjach Konkursu wzięło udział 7 569 osób, nadsyłając 17 950 wierszy i opowiadań. To świadczy nie tylko o literackiej pasji, ale też o wrażliwości, otwartości i odwadze młodych ludzi. Bo pisać to jedno, ale co innego pokazać swoje pisanie światu, poddać ocenie jurorów, i to nie tylko dorosłych, którzy spojrzą na teksty z przychylnym profesjonalizmem, ale przede wszystkim rówieśniczek i rówieśników, którzy przecież czytają głównie emocjami... Tym większy mam podziw dla młodych autorów, którzy nie boją się mierzyć swoich emocji z emocjami otaczającego ich świata. Z tym większą czułością myślę o kolejnych tytułach konkursowych antologii, zaczerpniętych z tytułów, incipitów lub fragmentów nagrodzonych utworów: „Łąd zwany wyobraźnią” (2000), „Gramatyka życia” (2006), „Dotyk metaforycznych wątpliwości” (2009), „Pozawerbalne” (2011), „Kostiumy moich myśli” (2013).

Od dwudziestej edycji (2005) tomiki z pracami laureatów noszą już wspólny tytuł „Liryczne Jasło”. To ujednolicenie pokazuje z jednej strony, że Konkurs przez lata się zmieniał, ale z drugiej strony osadza nas w mieście, w którym powstał i które jest ważnym miejscem na literackiej mapie Polski. Inicjatorką Konkursu była Małgorzata Piekarska, wieloletnia dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jasle, która – jak napisała we wstępie

do antologii z jubileuszowej, piętnastej edycji – spełniając swoje marzenie o stworzeniu w Jasle takiego Konkursu, miała nadzieję na spełnienie marzeń młodych twórców o debiucie literackim. W pierwszych edycjach byli to młodzi twórcy z Jasła i powiatu jasielskiego, w kolejnych – z województwa krośnieńskiego (sic!), podkarpackiego i sąsiednich, aż w końcu do Jasła zaczęły napływać prace z całej Polski, a rekordową odległość pokonało opowiadanie nadesłane z Chin! Ewoluowała też formuła Konkursu – na przestrzeni lat zmieniały się kategorie wiekowe i tekstowe, a także sposób oceny. Początkowo utwory oceniane były równolegle przez jury profesjonalne i rówieśnicze. W kolejnych latach, wraz z coraz większym zasięgiem Konkursu i liczbą nadsyłanych prac, jurorów wspierały wstępną oceną jasielskie polonistki. Od edycji trzynastej stałe grono jurorskie tworzą: Aleksandra Dacyl – polonistka i edukatorka, związana z Konkursem od jego drugiej edycji, Grzegorz Kociuba – poeta, krytyk literacki, polonista, przewodniczący jury, dr Mariusz Kalandyk – poeta, literaturoznawca, oraz Jan Tulik – poeta, prozaik, eseista, dramaturg, związany z Konkursem od edycji piątej. W tym miejscu pragnę jurorom podziękować za wspomniany już przychylny profesjonalizm, który każe pochylić się nad każdym utworem z pełnym zaangażowaniem, wrażliwością, ale też z wykorzystaniem dostępnych narzędzi krytyki literackiej. Dziękuję za lata zgodnej współpracy przy ocenie prac, oraz za otwarte, konstruktywne rozmowy z laureatami prowadzone po każdej gali finałowej. Dziękuję również wszystkim osobom i instytucjom, które na przestrzeni lat współtworzyły i wspierały Ogólnopolski Konkurs Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży „Liryczne Jasło”. Nie sposób wymienić wszystkich pracowników Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jasle zaangażowanych w to wielkie przedsięwzięcie, nie można pominąć przychylności Miasta Jasła.

By opowiedzieć o sukcesie Konkursu, przywołuję w myślach najbardziej spektakularne związane z nim wspomnienie – czyli spotkanie autorskie z Radkiem Rakiem podczas Jasielskiego Festiwalu Literackiego w 2022 r., który na wstępie rozmowy powiedział, że gdyby nie jasielski Konkurs, który wygrał jako nastola-

tek, być może nie pisałby dzisiaj. Radek Rak był laureatem ósmej, dziewiątej i dziesiątej edycji Konkursu. Myślę też o pewnej emerytowanej nauczycielce, która ze wzruszeniem powiedziała mi: „Wie pani, mam wciąż tomik, w którym są prace mojej uczennicy, choć to było już tak dawno...”. I myślę o pewnej nastolatce, która z wielkim onieśmieleniem przyjęła fakt, że została laureatką Konkursu dwadzieścia dziewięć lat temu, i która co prawda nie pisze już wierszy, ale nie wyobraża sobie życia bez poezji, bez literatury, bez wrażliwości (tak, myślę o sobie).

Edycją trzydziestą zamykamy tę formułę Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży „Liryczne Jaśło”. Nie oznacza to jednak, że żegnamy się z Konkursem. Chcemy przemyśleć i przeformułować jego ideę tak, by był wciąż przystanią dla wrażliwości młodych osób w pędzącym, zmieniającym się świecie, w którym coraz częściej tekst za człowieka tworzy technologia. Chcemy nadal tworzyć przestrzeń do tego, aby dzieci i młodzież snuły własne opowieści, bo pisanie jest przecież dzieleniem się wielkim skarbem. Myśląc z czułością o młodych twórczyniach i twórcach, nie mogłabym zakończyć inaczej, niż słowami Olgi Tokarczuk z jej mowy noblowskiej:

„Kiedy piszę, muszę wszystko czuć wewnątrz siebie samej. Muszę przepuścić przez siebie wszystkie istoty i przedmioty obecne w książce, wszystko, co ludzkie i pozaludzkie, żyjące i nieobdarzone życiem. Każdej rzeczy i osobie muszę przyjrzeć się z bliska, z największą powagą i uosobić je w sobie, spersonalizować. Do tego właśnie służy mi czułość (...). Czułość personalizuje to wszystko, do czego się odnosi, pozwala dać temu głos, dać przestrzeń i czas do zaistnienia i ekspresji”.

Gratuluję ogromnie wszystkim młodym autorkom i autorom. Życzę Wam wrażliwości, czułości i odwagi. Nam, czytelnikom Waszej twórczości, również. I jestem pewna – do zobaczenia znów w „Lirycznym Jaśle”.

Dorota Woźnica

Dyrektorka Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jaśle

I to pisanie...

Trzydziesta, jubileuszowa edycja Ogólnopolskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, organizowanego przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle, skłania nie tylko do podsumowania tegorocznego konkursu, ale także zachęca do refleksji nad historią przedsięwzięcia, które na trwałe wpisało się w kalendarz imprez adresowanych do najmłodszych i młodych miłośników literatury.

Zacznijmy jednak od tegorocznego konkursu. Otóż na XXX edycję OKLTDiM 177 autorów nadesłało 420 prac. W tej liczbie 296 stanowiły wiersze, 117 opowiadania, zaś 7 tekstów reprezentowało dramat, jako rodzaj literacki, i były to jednoaktówki. Tegoroczna edycja potwierdziła to, co – jako jurorzy – obserwujemy już od wielu lat. Otóż istnieje niemała grupa młodzieży, dla której pisanie stanowi wciąż ważny sposób rejestrowania własnych: obserwacji, doznań, przeżyć, przemyśleń... Pisanie dla młodych autorów to jednak nie tylko sposób „przelewania emocji na papier”, ale również narzędzie analizowania własnej duchowości, metoda poznawania reguł i mechanizmów rządzących światem, wyraz niezgody i buntu wobec tych zjawisk dzisiejszej cywilizacji i kultury, które zagrażają fundamentalnym wartościom tworzącym i zabezpieczającym sens ludzkiego istnienia. Można więc powiedzieć, że pisanie staje się czymś w rodzaju... czujnika alarmującego o zjawiskach niebezpiecznych, groźnych, wobec których nie wolno nam przejść obojętnie, bo brak reakcji z naszej strony będzie tylko pogłębiał kryzys. W tym sensie pisanie młodych to głos ważny i poważny, będący wyrazem obaw nie tylko o dzień dzisiejszy, ale również o przyszłość.

Warto też zwrócić uwagę na inną cechę obecną w pisaniu młodych autorów. Szczególnie w opowiadaniach widać dużą różnorodność gatunkową. Mamy więc: baśń, kryminał, horror, fantasy,

science-fiction, ale także dziennik, pamiętnik, opowiadanie historyczne, ale również trawestacje uznanych dzieł literatury rodzimej i światowej (choćby *Lalkę* Bolesława Prusa czy *Małego księcia* Antoine'a de Saint-Exupéry'ego). Świadczy to/może świadczyć nie tylko o fascynacjach czytelnich, ale także o... próbowaniu różnych konwencji i języków, niejako przymierzaniu ich do własnego charakteru i temperamentu, sprawdzaniu, która forma pisania najbardziej mi odpowiada, najtrafniej, najprawdziwiej oddaje mój sposób widzenia świata. Chciałoby się powiedzieć, że to ważne i niejako naturalne, bo kiedy jak nie na początku przygody z literaturą, z pisanem próbować różnych dań z literackiej kuchni.

Zwłaszcza w ostatnich latach, podczas spotkań w gronie organizatorów i jurorów, coraz częściej powraca temat formuły konkursu. Czy kontynuować OKLTDiM w tym kształcie, jaki istnieje od lat, czy może należy zmodyfikować, odświeżyć formułę? Jeżeli zmieniać, to co? Jeżeli decydować się na kontynuację, to czy uda się utrzymać atrakcyjność konkursu i jego popularność w czasach, w których wciąż oczekujemy czegoś nowego? A jeśli nawet chcemy tego, co znane, liczymy przecież, że ukaże się nam w innej, nowej aranżacji.

Dobrze wiemy, że literatura funkcjonuje dzisiaj inaczej niż sto czy dwieście lat temu. Idzie tu głównie o rewolucję technologiczną, w tym cyfrową, która radykalnie zmienia nie tylko nasze codzienne życie, ale również sposób postrzegania statusu twórczości, czy szerzej kultury. Coraz intensywniejsze nasycanie tej przestrzeni infrastrukturą cyfrową sprawia, że musimy dzisiaj redefiniować takie pojęcia jak choćby: poeta, pisarz, artysta, dzieło, proces twórczy, odbiorca, recepcja dzieła sztuki... A to tylko początek długiej listy terminów, które wymagają pogłębionego i wielostronnego oglądu. Gdy z tego rezygnujemy, narażamy się choćby na to, że język, jakim usiłujemy opisywać nasz świat, raczej się od tego świata odkleja, niż do niego w miarę adekwatnie przylega. I to jest także powód, dla którego coraz częściej w gronie organizatorów i jurorów OKLTDiM rozmawiamy o formule tego konkursu.

Co się zaś tyczy jurorów, to prace konkursowe bieżącej edycji, podobnie zresztą jak wcześniejszych, oceniało jury w składzie: Aleksandra Dacyl (polonistka, animatorka kultury), Mariusz Kalandyk (poeta, literaturoznawca, redaktor naczelny rzeszowskiego „Kwartalnika Edukacyjnego”), Grzegorz Kociuba (poeta, krytyk literacki, polonista – przewodniczący jury), Jan Tulik (poeta, prozaik, dramaturg, eseista).

Cóż tu powiedzieć na koniec. Literatura, pisanie, artystyczna notacja zawsze zależy od czasów, w których jest uprawiana. A to oznacza również, że charakter owych czasów oddziałuje na twórcę. Z kolei twórca, poprzez to, co pisze i jak pisze, wpływa na to, jak widzimy świat. Najkrócej więc rzecz ujmując: świat wpływa na pisanie, a pisanie modeluje nasze oglądy świata.

Grzegorz Kociuba

Doświadczenia, wzruszenia, więzi - o wartości OKLTDiM

Konkurs Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży organizowany przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Jasle od 1995 r. kończy w roku jubileuszu 30-lecia swój byt w dotychczasowej formule. Jesteśmy przekonani, że nowy projekt będzie się cieszył podobnym prestiżem i nie mniejszą popularnością.

Nieprzerwanie przez 29 lat miałam przyjemność uczestniczenia w pracach jury jasielskiego Konkursu od jego 2.edycji w 1996 r. Przez blisko 3 dekady czytałam teksty młodych autorów – początkowo z Jasła i okolic, potem z całej Polski. Zmieniały się czasy (Polska przechodziła transformację ustrojową), poprawiały się warunki nauki i pracy, wzrastały możliwości komunikacji społecznej, piękniała szata graficzna tomików pokonkursowych – ale nie zmieniała się ciekawość świata, wrażliwość i chęć wyrażenia własnego spojrzenia na życie przez młodych twórców. Pochylenie się nad uczniowskim tekstem, który nie jest przymusowo napisanym wypracowaniem szkolnym, tylko głęboko osobistą refleksją o życiu – to naprawdę ciekawe i pouczające doświadczenie. Czuje się wtedy mocną więź intelektualną – a może nawet metafizyczną – z autorem, dogłębne zrozumienie dla prób nazwania i zdefiniowania problemów, jakie młody człowiek rozważa. Wzruszają (nieporadne czasem) próby wyrażenia własnych przeżyć, przekonań, pasji oraz inspiracje różnymi tekstami kultury. Prace konkursowe stwarzają autorom okazję do pokazania siebie: współczesnego młodego człowieka z jego wyobraźnią, pragnieniami, dylematami i pasją demaskatorską. Wielką wartością pracy twórczej młodziutkich autorów jest kształtowanie języka własnych tekstów, poszukiwanie indywidualnego sposobu wypowiedzi literackiej, eksperymentowanie, świadomość siły i ekspresji słowa.

Przez wiele lat udziału w jury Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży miałam okazję współpracować ze wspaniałymi ludźmi: pomysłodawczynią Konkursu – dyrektorką MBP – Panią Małgorzatą Piekarską i jej następczynią – niezmordowaną i twórczą Panią Dorotą Woźnicą. Miło wspominać wybitnych jurorów Konkursu, przyjaźnie i życzliwie wspierających młode talenty literackie: Panią Helenę Gołębiowską, dyrektorkę Jasielskiego Domu Kultury, dr Walerię Ćwik – ekspertkę literatury dziecięcej, Panią Renatę Erban – polonistkę, s. Dawidę Ryll – polonistkę i poetkę. Przez 26 lat w jury konkursowym zasiadał nieprzerwanie prozaik i poeta – Jan Tulik, a od 13. edycji wiernie w nim uczestniczyli: Pan Grzegorz Kociuba – polonista, poeta i krytyk literacki oraz Pan Mariusz Kalandyk – poeta, literaturoznawca, redaktor rzeszowskiego Kwartalnika Edukacyjnego. Serdecznie dziękuję za współpracę, za niezapomniany klimat spotkań komisji konkursowych, za ożywione, inspirujące dyskusje nad problematyką i warsztatem pisarskim młodych autorów.

Podsumowując 30 lat funkcjonowania jasielskiego Konkursu Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży, pragnę podkreślić profesjonalizm, pomysłowość i zaangażowanie pracowników Miejskiej Biblioteki Publicznej w Jaśle w organizowanie kolejnych edycji Konkursu. Dzięki nim młodzi twórcy mieli satysfakcję ujrzenia własnych opowiadań i wierszy w tomiku konkursowym, publikowanym na zakończenie każdej edycji. Nie ulega wątpliwości, że to wyjątkowe przedsięwzięcie dla dzieci i młodzieży przyczyniło się do promowania pasji literackich i odkrycia wielu talentów pisarskich. Niektórzy z nich kontynuują swoje literackie fascynacje w dorosłym życiu.

Aleksandra Dacyl

Pożegnania – jasielski konkurs literacki okiem jurora

No i stało się to, co prędzej czy później stać się miało. Oto przygoda z konkursem literackim w Jasle dobiega końca. Zamykam tę zajmującą historię, pełną zdarzeń przeróżnych, na pewno nie z westchnieniem ulgi, lecz z poczuciem wdzięczności dla tych wszystkich, którzy mnie tym zainteresowali, dali pochop do corocznych znoszeń i głębokie poczucie sensu oraz zasadności tego, co się w ciągu tych wielu lat zdarzyło. W zacnym gronie jurorów praca, choć ciężka, dawała mi dużo radości, a rozmowy – ogromne ilości satysfakcji i emocji.

Tyle razy czytaliśmy teksty młodych, tropili chrząstki egzystencji przełożone na urodę słowa i wyłapywali grudki sensu w lirycznych frazach, że stało się to dla nas elementem corocznego rytuału, ba – potrzebą egzystencjalną! Narastającą ciekawością tego, co zgotują nam wciąż nowi uczestnicy konkursu. Jakie zgryzoty i odkrycia będą naszym udziałem. Jakie niespodziewane zwroty akcji i zaskoczenia. I wiecie co? Wszystko to się zdarzało, a my – wciąż ciekawi – nie szczędziliśmy uwagi, by szukać i z prawdziwą radością odnajdować teksty świadczące o wielkiej wrażliwości, szybkim dojrzewaniu i niezwyklej wręcz czasami wyobraźni. Zgryzoty wtedy szły precz a narzekania więzły w gardle, bo przecież każdy może mieć zły dzień i jednocześnie stanowczo zbyt lekkie pióro.

Bycie jurorem to trochę jak bycie archeologiem: kopiesz, przeszukujesz, ostrożnie podnosisz kamienie i... nagle znajdujesz skarb: dwie, trzy strony arcyciekawych narracji i całą kolekcję interesujących pytań dotyczących świata, swojego w nim miejsca, swojej roli...

Niektóre teksty wymagały co prawda komentarza w stylu: „niestety szlachetne chęci przerastają możliwości warsztatowe,

a osobny styl znajduje się jeszcze w drodze”, za to inne, jak się wspomniało, kazały się zatrzymać, czytać jeszcze raz – a potem z podziwem i uznaniem pokiwać głową. Właśnie podobne zdarzenia są najpiękniejsze w tej pracy: momenty zaskoczenia, znajdowania przeblysków literackiej odwagi, iskier wyobraźni...

Czego mi będzie brakować? Sporów i dyskusji jurorskich, w czasie których czytaliśmy głośno co ważniejsze fragmenty, ironizowali, gdy nasze typy okazywały się nie w smak innym jurorom lub gdy – na nowo zaskoczeni – odkrywaliśmy jeszcze raz prawdziwy talent, potencjał i wrażliwość. Także niespodzianek – gdy autor, którego nie zauważyłem lub zlekceważyłem, w ujęciu innych sędziów stawał się artystą wartym uwagi i splendorów. Nie zawsze bywało to bezbolesne, zawsze – służyło naszym prostym intencjom, by zauważyć i nagrodzić najlepiej rokujących. Powtarzaliśmy jednak, że nagrody, jakkolwiek ważne dla młodych artystów, nie mogą przesłonić spraw najważniejszych: możliwości stworzenia małej republiki młodych artystów, wzajemnego odnajdywania się w doświadczeniu bycia autorem i czytelnikiem. Rozmowy po uroczystej gali wspominam szczególnie – zdumiewały mnie poziomem wrażliwości, inteligencji oraz odczytania młodych autorów. Właśnie te chwile przekonywały mnie do niezwyklej wartości inicjatywy wymyślonej przed laty przez Panie Bibliotekarki i Dyrektorkę jasielskiej Biblioteki a potem kontynuowanej przez nowe pokolenie dyrektorskie i bibliotekarskie.

Czy zamykam ten rozdział ze smutkiem? To oczywiste. Towarzyszy mi jednocześnie ogromna satysfakcja, że wziąłem udział w czymś naprawdę niebanalnym i bardzo wartościowym. Dziękuję koleżance i kolegom jurorom za możliwość uczestniczenia w tej właśnie literackiej przygodzie.

Dziękuję przede wszystkim autorom. Za każdy wiersz, każdą udaną metaforę, za każdą próbę zmierzenia się z własną wyobraźnią. Za to, że miałem przyjemność być częścią owej artystycznej podróży i towarzyszyć w drodze młodym literatom.

Odmieniają się koleje czasu, trzeba na nowo przemyśleć formułę konkursu. Licho nie śpi, a owym lichem bywa czasami

sztuczna inteligencja. Żegnam się z nadzieją, że literackie spotkania wrócą niebawem w nieco innych ramach i znów pojawią się młodzi, dla których pisanie jest ważną potrzebą intelektualną, emocjonalną i artystyczną. Są przecież, potwierdzają to tysiące nadesłanych tekstów, swego rodzaju fenomenem: młodzi chcą po prostu pisać, dzielić się swoją wrażliwością i talentami. Ogólnopolski Konkurs Literackiej Twórczości Dzieci i Młodzieży w Jaśle stał się ważnym centrum uobecniania owych potrzeb, marzeń i zaangażowania na skalę ogólnopolską. To niezwykle ważny fakt i powód do satysfakcji również dla finansujących rzecz całą władz samorządowych Jasła.

Do zobaczenia – może w książkach, może na scenie literackiej, a może po prostu – między wersami.

Mariusz Kalandyk

By zwiedzać samego siebie

Wielekroć podczas spotkań z czytelnikami obdarowywano mnie tomikami wierszy młodych autorów. Wiele razy w notkach biograficznych tych autorów opisywano ich, jeszcze niewielki, ale już znaczący dorobek artystyczny. Często czytałem w nich, że są laureatami konkursu literackiego organizowanego przez Bibliotekę w Jaśle. Nie były to wyłącznie życiorysy młodych tylko z naszego regionu. Bo z całej Polski. Tak to konkurs ten rozścielił swe promienie, a ich światło i blask są trwałe. Wszak wydano książki, a one trafiły, lub trafią, pod „strzechy” świetnie wyposażonych dziś księżnic. To nie jedyny owoc jasielskiego konkursu. Przecież młodzi adepci pióra musieli się, więcej czy mniej, natrudzić, by cokolwiek stworzyć, by przemyśleć swoje propozycje, wreszcie wysłać je tradycyjną pocztą. Wspierali tę młodzież ich nauczyciele, opiekunowie, często rodzice.

To ważny przyczynek do pielęgnowania polskiego słowa, do jego zachowywania, deponowania w narodowej mentalności. Gdyby nie język danego kraju czy narodu, o wiele uboższa byłaby mapa ojczyzn, na mapach i globusach. Krzykacz, niby to walczący o patriotyzm, to bębny głuszące żarliwe serca pustostowiem. Zaś serca gorejące w czynach, na chwilę wchodzą w niszę milczenia.

Dodać trzeba, że jurorzy otrzymywali starannie posegregowane nadesłane utwory, zatem spotykając się na obradach, pracowaliśmy w komfortowych warunkach.

Wiesław Myśliwski w cyklu wywiadów z nim przeprowadzonych, w dziele „W środku jesteśmy baśnią”, wyznał: *piszę tylko wtedy, kiedy coś mnie wybierze, żebym to opisał*. Dodawał przy tym, że nie posługuje się żadnym planem. *Gdybym miał robić plan, nie napisałbym żadnej książki (...) po co miałbym pisać książkę, którą znam*. Znamienne to. Przywołuję te słowa, myśląc o prozatorskich pracach nadsyłanych na nasz konkurs. Często można było dostrzec, że autorzy pisali litery *a' vista*, później słowa spływały na papier

naturalnie, że pisarz pisze „od siebie”. Niekiedy jednak czytaliśmy prace z góry przemyślane, pisane według wcześniej zbudowanej konstrukcji. Mistrz niejednokrotnie podkreślał też, że o książce decyduje pierwsze zdanie. Takiego zdania był też Jerzy Pilch. Pewnie jest w tym jakaś racja. Pierwsze zdanie coś zapowiada, zaciekawia, można czytać dalej. Albo poniechać lektury, gdy czytelnika nie zainteresuje. Lecz trzeba być uważnym przy pierwszym czytaniu, przecież z różnych powodów możemy zamknąć okładkę i utracić dzieło. Dlatego czytaliśmy w całości wszystkie prace. Na końcu często trzeba było sobie powiedzieć: coś straciliśmy trochę czasu... choć każde czytanie coś wnosi do umysłu i duszy lektora.

Literatura to słowo. Więc i swego rodzaju mowa. Choć *Mowa jest źródłem wszelkiego nieporozumienia* – jak w „Małym Księciu” powiada Antoine de Saint-Exupery, jednak literatura pisana ma swój oręż obrony. Litera to jakiś znak, jak w piśmie klinowym, który ma szansę przetrwać.

Niejednokrotnie Wiesław Myśliwski mówił mi: *panie Janku, trzeba znaleźć swój własny język. Wtedy się coś stworzy. Własny! Wyłącznie.* To jak linie papilarne – nie do podrobienia. Ani nawet przez sztuczną inteligencję...

Jak z prozą, podobnie jest i z poezją. Henri Michaux (1899-1984), powiedział: *Piszę, żeby zwiedzać samego siebie.* Warto mieć tę sentencję na uwadze. Każde tworzenie jest poszukiwaniem, i ukazywaniem samego siebie. Owoc tworzenia to jakby dusza podana na tacy. Lecz na niewidzialnej tacy, i widziana tylko przez pokrewną duszę.

Pytania o definicję poezji padają bardzo często. Uważam, że łatwiej powiedzieć, czym poezja nie jest, niż czym w istocie jest. Może „problem” ten najtrafniej rozstrzygnął wspaniały poeta, nieraz niestosownie odczytywany, Władysław Broniewski:

Nie wiem co to poezja
Nie wiem po co i na co
Wiem, że czasami ludzie
czytają wiersze, i płaczą.

Jan Tulik

Liryczne Jasio

Lista osób nagrodzonych

Kategoria

I Szkoły podstawowe, klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

Nie przyznano

2 miejsce

Kubix – Jakub Kozłowski, kl. 6 Społeczna Szkoła Podstawowa nr 1 w Rzeszowie – *cykl wierszy*

Maxi – Maksymilian Panek, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Białosławiu – *cykl wierszy*

3 miejsce

Nie przyznano

Wyróżnienia

Jowisz – Jowita Cichosz, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Wyrzysku – *cykl wierszy*

Misia na Misia – Maja Werner, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Wyrzysku – *cykl wierszy*

Stokrotka – Anna Guziana, kl. 4 Szkoła Podstawowa nr 1 w Szynwałdzie – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Mysza – Urszula Kidaj, kl. 6 Szkoła Podstawowa nr 1 w Lublinie – *Ona*

2 miejsce

Włocznia – Urszula Górecka, kl. 6 Prywatna Szkoła Podstawowa „Scherzo” w Krakowie – *cykl opowiadań*

3 miejsce

Vivaldi – Antoni Noga, kl. 4 Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna I stopnia we Wrocławiu – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Chmurka 2014 – Alicja Kryszk, kl. 5 Szkoła Podstawowa nr 71 we Wrocławiu – *Czerwony kot*

Erika – Erika Yatskevych, kl. 6 Prywatna Szkoła Podstawowa „Parnas” we Wrocławiu – *cykl opowiadań*

Ida – Ida Kazimirowicz, kl. 5 Szkoła Podstawowa w Długiem – *Magiczne łóżko*

Willowglow – Marta Kucharska, kl. 5 Społeczna Szkoła Podstawowa Stowarzyszenia „Szkoła Przyszłości” w Chorzowie – *cykl opowiadań*

Kategoria II

Szkoły podstawowe, klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

Nie przyznano

2 miejsce

Frankix – Franciszek Płonka, kl. 7 Szkoła Podstawowa w Żernikach Wrocławskich – *cykl wierszy*

Zieltoś – Antonina Zielińska, kl. 7 Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12 w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

3 miejsce

A.D. – Andrzej Dechnik, kl. 8 Publiczna Szkoła Podstawowa w Krzeszowie Górnym – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Poeta – Borys Chybki, kl. 8 Niepubliczna Szkoła Podstawowa w Jarocinie – *Życie nastolatka*

Opowiadania

1 miejsce

Newanda – Anna Rozmus-Stefaniak, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Kobiórze – *cykl opowiadań*

Zuzanna – Zuzanna Ćwik, kl. 8 Szkoła Podstawowa w Samoklęskach – *Tam, gdzie rodzi się dobro czyli jak pokochać wroga?*

2 miejsce

Róża – Patrycja Brej, kl. 7 Szkoła Podstawowa w Samoklęskach – *Cienie wojny i miłości*

3 miejsce

Muzyka – Marta Mąka, kl. 8 Niepubliczna Szkoła Podstawowa w Jarocinie – *Mała Tereska to moja babcia*

Wyróżnienia

Mieszko – Mieszko Farbiszewski, kl. 7 Szkoła Podstawowa nr 3 w Szamotułach – *Wielka ucieczka złotego kranu*

Noterland – Magda Jędrzejewska, kl. 8 Szkoła Podstawowa nr 6 w Zamościu – *cykl opowiadań*

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

Miklusik – Jakub Miklus, kl. 4 Samorządowe Liceum Ogólnokształcące w Stalowej Woli – *cykl wierszy*

2 miejsce

Anna – Anna Różalska, kl. 3 Liceum Ogólnokształcące w Tarnobrzegu – *cykl wierszy*

Włóczka – Gabriela Waško, kl. 3 Liceum Ogólnokształcące nr 4 w Jasle – *cykl wierszy*

3 miejsce

Mugssee – Nicola Szmit, kl. 3 Zespół Szkół nr 5 w Wałbrzychu – *cykl wierszy*

Estera – Estera Stefanek, kl. 3 Zespół Szkół w Wieleniu – *cykl wierszy*

Wyróżnienia

Anawrn – Alicja Winiarska, kl. 2 II Liceum Ogólnokształcące w Dzierżoniowie – *cykl wierszy*

Bisobi – Bianka Sofia Biliczak, kl. 3 Społeczne Językowe Liceum Ogólnokształcące w Opolu – *cykl wierszy*

Duo Poculus – Mateusz Szachowicz, kl. 4 II Liceum Ogólnokształcące w Gorzowie Wielkopolskim – *cykl wierszy*

Emilia – Emilia Markowska, kl. 1 II Liceum Ogólnokształcące w Krośnie – *cykl wierszy*

Opowiadania

1 miejsce

Dzikiwiking – Kinga Skrok-Wolska, kl. 2 Zespół Szkół Leśnych w Lesku – *Oczy bezwolne*

Fioletowa – Natalia Machniak, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące w Mielcu – *cykl opowiadań*

2 miejsce

Estera – Estera Stefanek, kl. 3 Zespół Szkół w Wieleniu – *Milczący kanarek*

3 miejsce

Malwina – Malwina Smykla, kl. 3 Liceum Ogólnokształcące w Tarnobrzegu – *cykl opowiadań*

Wyróżnienia

Olivia – Oliwia Wierzbińska, kl. 4 II Liceum Ogólnokształcące w Gorzowie Wielkopolskim – *Pogrzeb szacunku*

Sulima – Michał Biegas, kl. 4 LXXVI Liceum Ogólnokształcące w Warszawie – *Samael i otchłań*

Triss – Natalia Maślej, kl. 2 I Liceum Ogólnokształcące „Carolinum” w Nysie – *Tylko warzywo*

Jednoaktówka

Wyróżnienia

M.A. – Mateusz Białek, kl. 3 Zespół Szkół Budowlanych i Ogólnokształcących w Biłgoraju – *Portret pośmiertny hiszpańskiej infantki*
Niebiańska gorilla – Maja Baron, kl. 2 Nowatorskie Liceum Ogólnokształcące w Warszawie – *Typowa historia czyli opowieść o Janku Góralu z Tatrzańskiego Zadupia*

Kategoria I

Szkoły podstawowe

klasy 4-6

Wiersze

1 miejsce

Nie przyznano

2 miejsce

27 Jakub Kozłowski: *Świadek spotkań*

27 Maksymilian Panek: *Przemijanie*

3 miejsce

Nie przyznano

Wyróżnienia

28 Jowita Cichosz: *Szkolna miłość*

29 Maja Werner: *Tęczowe zwierciadło*

29 Anna Guziana: *Bezsensowność*

Opowiadania

1 miejsce

30 Urszula Kidaj: *Ona*

2 miejsce

36 Urszula Górecka: *Nieudany pojedynek*

3 miejsce

41 Antoni Noga: *Pogoda Ducha i Świat Emocji, czyli o tym jak Pogoda Ducha kliknęła coś w telefonie i została razem ze Słoneczkiem Emotkami*

Wyróżnienia

43 Alicja Kryszk: *Czerwony kot*

45 Erika Yatskevych: *Podróż „Biedronki”*

48 Ida Kazimirowicz: *Magiczne łóżko*

51 Marta Kucharska: *Niezwykłe połączenie*

Jakub Kozłowski (Kubix), kl. 6
Spółeczna Szkoła Podstawowa nr 1
w Rzeszowie

Świadek spotkań

Przy studni na rynku
ktoś na kogoś czeka.

Poprawia krawat,
rozgląda się,
miliony kroków wydeptał w miejscu,
nerwowo stuka palcem w telefon.
Z rąk wypuszcza krwistą różę,
a potem telefon.

Przy studni na rynku
ktoś na kogoś czeka.

Maksymilian Panek (Maxi), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Białośliwiu

Przemijanie

Słowa innych
wbijają się w skórę mojego *ja*
jak cienkie igły
które zostawiają bolesne ślady
każde spojrzenie
każdy szept
zostają w głowie
jak echo
które nie chce przeminąć

czuję
jak ciało staje się obce
jakby nie moje

mówią – to jest ładne
mówią – to nie wypada

a ja próbuję dopasować się do tych oczekiwań
lecz za każdym razem
gdy zmieniam coś
czuję
że gubię siebie

spoglądam w lustro –
widzę twarz
którą znam tylko z widzenia

Jowita Cichosz (Jowisz), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Wyrzysku
Szkolna miłość

Srebrzą się tve oczy
gdy spoglądam w twoją stronę na lekcji.

Błyszczą się tve oczy
gdy przyglądam im się na przerwie.

Lśnią się tve oczy
gdy przemierzasz szkolne boisko.

A ja chciałbym się zatopić w ich blasku
by uniknąć trudnych pytań
i jeszcze trudniejszych odpowiedzi.

Maja Werner (Misia na Misia), kl. 5
Szkoła Podstawowa w Wyrzysku

Tęczowe zwierciadło

Zwierzyć się mamie
to jak mieć przed sobą tęczowe zwierciadło uczuć:
nie masz pewności
czy włączy się zielone światło uciechy
czy zatrzyma cię czerwony sygnał złości

lecz pomiędzy nimi
może się znaleźć
żółte światło

wspomnienia
maminej młodości

Anna Guziana (Stokrotka), kl. 4
Szkoła Podstawowa nr 1 w Szynwałdzie

Bezsenna

kiedy gasną światła w mieście
mrok dobranoc wszystkim szepce
rozum do serca wciąż gada
a serce tym językiem nie włada
w jednym ciele dwie sprzeczności
mam już dosyć bezsenności

Urszula Kidaj (Mysza), kl. 6
Szkoła Podstawowa nr 1 w Lublinie

Ona

Jesień w mieście była piękna tego roku. Drzewa przebrały się w jaskrawoczerwone oraz pomarańczowe i żółte kolory. Ciepły jeszcze wiatr kołysał barwnymi liśćmi, które raz po raz opadały powoli na ziemię, wirując przy tym z gracją w powietrzu. Dni stawały się coraz krótsze, ale promienie słońca z całych sił starały się rozgonić zbierające się na niebie jesienne chmury. Lato próbowało opóźnić swoje odejście i przyroda wyraźnie opierała się nieuchronnym, cyklicznym zmianom. Nikt nie myślał o chłodzie i zimie. Sądziłam, że na wsi będzie jeszcze piękniej. Pragnęłam spokoju i ciszy z dala od zgiełku miasta. Chciałyśmy z mamą pójść na spacer do lasu. Marzyły mi się kosze pełne dorodnych borowików i nieco mniejszych podgrzybków, czerwonych kozaków i oczywiście kani. Planowałam biegać wesoło wokół drzew i ścigać się z rudymi wiewiórkami zbierającymi ostatnie orzechy i żołędzie, żeby zanieść je do skrytek umiejscowionych na wysokich drzewach i zabezpieczyć w ten sposób zimowe zapasy przed dzikami i inną zwierzyną. Wieczory planowałyśmy spędzić przed kominkiem, słuchając odgłosów beztrząsającego ognia i opowiadając sobie przerażające historie, które zwykle zamiast strachu wywołują salwę śmiechu.

Tymczasem wieś powitała nas zgoła innym wizerunkiem. Polna droga tonęła w mazistym i gęstym błocie, które oblepiło grubą warstwą koła i karoserię samochodu. Roztaczające się wokół pola zostały już ogołocone z plonów i tylko gdzieś tam smętnie sterczały pojedyncze, suche badyle. Na miedzy rosła stara jabłunka, już całkowicie bezlistna, zaś u jej stóp leżały liczne, brązowe, nadgnite owoce. Las widoczny na horyzoncie nie przypominał radosnego wielokolorowego miejskiego parku. Nawet z odległości kilkuset metrów wydawał się zatrważająco groźny i mroczny, a docierający z oddali huk wiatru szalejącego w nagich koronach drzew sprawił, że zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Na szarym

niebie posępnie wisały ciemne chmury nieprzepuszczające nawet jednego słonecznego promyka. Kraina skąpana w szarościach, brązach i czerni przypomniała mi słynną Sleepy Hollow z filmu Tima Burtona. Przerażona odruchowo odwróciłam się i spojrzałam przez tylną szybę. Miałam wrażenie, że ujrzę pędzącego za samochodem wielkiego, czarnego konia niosącego na grzbiecie odrażające monstrum bez głowy, z mieczem uniesionym jak do ataku. Ale zobaczyłam tylko koleiny wypełnione błotem. Wypuściłam głośno powietrze z płuc i zamknęłam oczy. Postanowiłam ich nie otwierać, aż dojedziemy na miejsce.

Szybko okazało się, że „dom”, jak to określiła mama, doskonale wpasował się w złowrogi wygląd i nastrój panujący w okolicy. Drewniany niewielki budynek stał pośrodku niczego, otoczony jedynie rozlatującym się ze starości wiklinowym płotem. Jego pierwotnie pobielone ściany dawno straciły kolor i teraz były tak samo bure jak deszczowe chmury na niebie, przez co niemal zlewał się z otoczeniem wśród kropli narastającego, nieprzyjemnego deszczu. Posępnego obrazu dopełniały zabite deskami okiennice i zaniedbany ogród, w którym latem rosły zapewne tylko chwasty, a powykręcane drzewa rodziły kwaśne, niejadalne dla ludzi owoce. Uciekłyśmy przed ulewą i schroniłyśmy się pod przeciekającym dachem ganku. Stare deski zatrzeszczały złowieszczo pod naszymi stopami, ale dopiero kolejny dźwięk przyprawił mnie o gęsią skórę. Ktoś niespodziewanie zakaszał, głośno i ochryple. Mama spojrzała w moją stronę wystraszona i szybko mnie sobą zasłoniła. W przedsionku siedziała staruszka. Chociaż lepiej pasowałoby do niej określenie „starucha”. Była niska, przeraźliwie chuda, cała pomarszczona i ubrana w brudne łachmany. Zanosila się ni to kaszlem, ni to koszmarnym śmiechem. Jej twarz wydawała się przez to nienaturalnie wykrzywiona, jakby drwiąca. Jednocześnie łypała na nas jednym okiem o wyblakłej, dawniej pewnie niebieskiej, tęczówce. Drugiego oka nie miała. W jego miejscu ziała czarna dziura. Nie mogłam oderwać od niej wzroku. Stałam jak sparaliżowana, uczipiona płaszczka mamy. Wydawało mi się, że minęły wieki od chwili kiedy ją dostrzegłyśmy, gdy wreszcie się odezwała.

– Uciekaj! – wychrypiała – Ona już o was wie. Drzewa szepnęły, kruki doniosły... Wyjedź od razu! Ostrzegam, zanim trzeci raz kur zapieje stracisz to, co masz najcenniejsze!

Na te słowa mama przyciągnęła mnie do siebie jeszcze mocniej. Jej uścisk był tak silny, że poczułam impuls bólu w ramieniu. Gdy spojrzałam ponownie w miejsce, w którym siedziała staruszka, już jej nie było. Zniknęła niezauważalnie, jakby rozplynęła się w powietrzu. Stara kobieta, złe wieści, przepowiednia, bajka, zwidy... Jakże łatwo było uwierzyć, że to był tylko zły sen. Po prostu złowróżbna atmosfera tego miejsca i nieprzyjemna pogoda zaburzyły działanie naszych zmysłów i postrzeganie rzeczywistości. Mamie trzęsły się dłonie, gdy szukała w torebce klucza do drzwi wejściowych. Potem siłowała się z zardzewiałym zamkiem przez dobre pięć minut. Nie był używany od wielu lat. W końcu drzwi ustąpiły, wydając przeraźliwy jęk. Skrzypnięcie podziało na mnie jak kolejne ostrzeżenie. Poczułam wydobywający się z wnętrza stęchły, ohydny zapach. Zaciśnęłam palce na nosie i cofnęłam się o krok w proteście. Nie chciałam tam nocować, ale mama pchnęła mnie lekko do przodu i znalazłam się w środku.

Wewnątrz panował przejmujący chłód. Z naszych ust wydobył się obłok pary wodnej. Mama znalazła trochę drewna obok paleniska i rozpałała ogień. Wszechobecny kurz powodował, że raz po raz głośno kichałam. Na starym zegarze z kukułką wskazówka stała nieruchomo, wskazując cyfrę dwanaście. Po wielogodzinnej podróży nie miałyśmy siły nawet jeść. Położyłyśmy się spać bez kolacji. Mimo zmęczenia długo nie mogłam zasnąć. Dom był drewniany, więc każdy jego element trzeszczał, skrzypiał, pisał i grał. Miałam wrażenie, że ktoś obcy chodzi po strychu, a zakurzone prześcieradła przykrywające meble to prawdziwe duchy. Do tego wiatr nieustannie szarpał gałęziami drzew w ogrodzie, które rzucały budzące grozę cienie na ściany. Przeklinałam w duchu swoją bujną wyobraźnię. Ostatecznie wślizgnęłam się cichutko do łóżka mamy, nasunęłam na głowę koc i spróbowałam zasnąć. Sen w końcu nadszedł, ale był niespokojny, płytki i męczący. Kiedy się

ocknęłam w całkowitej ciemności, byłam cała spocona. Dręczyło mnie przeczucie, że nadchodzi coś niesamowicie złego.

W sypialni hulał zimny wiatr, szarpiąc zasłony, już i tak nadwyrężone zębem czasu i aktywnością moli. Uchylona drewniana okienka rytmicznie uderzała w zewnętrzną ścianę budynku. Spojrzałam na miejsce mamy, ale jej tam nie było. Łóżko było puste. Poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Chciałam ją zawołać, ale głos utknął mi w krtani. Ostatkiem sił i odwagi poderwałam się z pościeli i boso podbiegłam do otwartego okna. W pierwszej chwili chciałam je zamknąć, ale zanim zdążyłam chwycić klamkę spojrzałam przed siebie i w oddali, za płotem, spostrzegłam sylwetkę w białej, zwiewnej szacie. To była moja mama. Wiatr rozwiewał jej długie, jasne włosy i targał koszulą nocną. Stała samotnie, boso na gołej ziemi, zwrócona tyłem do domu. Patrzyła na las. W mojej głowie strach walczył z uczuciem zdumienia. Nie rozumiałam, co ona robi na zewnątrz, w środku nocy, bez kurtki i butów. Nagle zauważyłam, że się poruszyła. Zaczęła się oddalać od domu, krocząc po zaoranej ziemi powoli, majestatycznie, niemal unosząc się w powietrzu. Zanim dotarło do mnie, co się dzieje, była za daleko, by usłyszeć mój krzyk.

Sama nie wiem, kiedy znalazłam się przed domostwem. Ruszyłam za mamą najkrótszą drogą, czyli na przełaj przez ogród i dziurę w płocie. Już na początku poraniłam nagie stopy o ostre kamienie na podwórzu, potem biegłam polem, które ulewny deszcz zamienił w grząskie bagnisko. W przeciwieństwie do mnie, mama poruszała się lekko i zwiewnie. Dyszałam ze zmęczenia, wyciągając nogi zapadające się raz po raz w błocie. Wkrótce cała byłam nim pokryta, nawet w ustach czułam smak ziemi. Kiedy wzniosłam wzrok ku górze, nad swoją głową dostrzegłam złowieszcze, czarne kształty. W tym momencie zza chmury wyrztał księżyc. Była pełnia. W nikłej księżycowej poświacie rozpoznałam, że krąży nade mną olbrzymie stado kruków. Nie wydawały żadnych odgłosów. Wokół panowała bezwzględna cisza. Tymczasem mama była już na granicy lasu. Tego, który za dnia wyglądał tak nienaturalnie ponuro. Przelekłam się nie na żarty, kiedy zniknęła za pierwszymi drzewami. Teraz i ja

musiałam tam bieć, by ją zawrócić. Kruki obniżyły swój lot, jakby odgadły mój strach i wahanie. Zrozumiałam, że próbują mnie skierować właśnie do lasu. Byłam przerażona, zasłoniłam głowę rękami, bo bałam się, że mnie zaatakują. W końcu wbiegłam między drzewa, a krucze stado rozpiezchło się na boki. Zdyszana, brudna i poraniona zatrzymałam się na leśnej dróżce. W mojej głowie znowu zaświtała myśl, że powinnam wrócić do domu. Już miałam zaufać instynktowi, gdy zza pleców dotarło do mnie złowrogie warknięcie. Odwróciłam się powoli i zobaczyłam przed sobą ogromnego wilka. Wpatrywały się we mnie paskudne, świecące na zielono ślepia. Z rozwartego szeroko pyska wystawały wielkie, żółte kły, a na ziemię skapywały krople śliny. Sierść na grzbiecie zwierzęcia podniosła się, a ciało wygięło się jakby w przygotowaniu do skoku. Wilk przesuwiał się w moim kierunku wolno, nieustannie warcząc. Zagroził mi drogę odwrotu. Nagle przyspieszył. Strach i adrenalina zadziały na mnie natychmiast. Rzuciłam się do ucieczki i pobiegłam ścieżką w głąb lasu. Po chwili zorientowałam się, że wilczy zbir już mnie nie goni. Kolejny raz miałam wrażenie, że zwierzę pilnowało, żebym ruszyła dalej za mamą.

Po chwili zobaczyłam ją daleko przed sobą. Kroczyła bez pośpiechu, omijając poszczególne drzewa. Ledwo ją widziałam we mgle, która zaczęła podnosić się znad leśnego runa. Jej białe pasma owijały się wokół drzew i krzewów malin. Mgła powoli pochłaniała las. I ja również zanurzyłam się w białą, gęstą i wilgotną chmurę. Szłam prawie po omacku. Strasznie się bałam, że zabłądzę. Nie dochodził do mnie żaden dźwięk. Nie było słychać szumu wiatru, ani odgłosów nocnych zwierząt. Las wydawał się martwy. Wyciągnęłam przed siebie ręce, żeby dotykiem rozpoznać ewentualne przeszkody i nie wpaść na jakieś drzewo. Od czasu do czasu w pobliżu błyskały zielone ślepia. Za wszelką cenę starałam się od nich oddalić i zgubić śledzącego mnie wilka z piekła rodem. Wtem, dostrzegłam przed sobą słabe światło przebijające się przez rzednącą mgłę. Tropiący mnie zwierzę zawył głośno i skomlać zawrócił z powrotem do lasu. Ja za to znalazłam się na brzegu tajemniczego jeziora. Jego woda była czarna jak smoła. Na wodnej tafli

nie dostrzegłam żadnej fali, czy nawet zmarszczki. Mama stała po pas w wodzie, zwrócona do mnie tyłem. Nie potrafiłam wydobyć z siebie głosu. Nie mogłam jej zawołać...

W akcie desperacji weszłam do wody i skierowałam się w miejsce, w którym zatrzymała się mama. Lodowata woda prawie zamroziła moje stopy. Były zdrętwiałe, ale siłą woli posuwałam się naprzód. Niewidoczne w ciemnej toni wodorosty oplątywały mi nogi, jak bluszcz wspinający się po pniach drzew. Jezioro wolno, systematycznie mnie pochłaniało. Kiedy stanęłam tuż za plecami mamy, woda sięgała mi już do piersi. Drżałam. Nie wiem, czy z zimna, czy ze strachu o matkę. Miałyśmy tylko siebie. Ona mnie, a ja ją... Nagle, w oddali rozległo się pianie koguta. Niosło się z daleka, zza lasu, pewnie z wioski. Brzmiało wyraźnie, czysto, niezakłócone żadnym innym dźwiękiem. Po tafli wody przesunęła się drobna fala, a mama odwróciła się do mnie przodem. Zamarłam. Patrzyłam z narastającym przerażeniem na postać, którą miałam przed sobą. To nie była moja mama...

W wodzie stała przepiękna, młoda, wysoka, blondwłosa kobieta. Jej skóra była wyjątkowo blada, a oczy jasnoblękitne, ale pozbawione naturalnego blasku. Patrzyła wzrokiem pustym, pozbawionym życia. Po raz ostatni pomyślałam o ucieczce, ale jezioro wyczuło mój zamiar. Wodorosty przytrzymały mnie w miejscu, a jednocześnie kur zapiał po raz drugi. Twarz dziewczyny zaczęła się stopniowo zmieniać. Włosy, do tej pory złote jak pszenica, stały się zielone, poskręcane i mokre. Błada skóra posiniała, a niebieskie oczy szczeniały jak węgiel. Piękne i smukłe palce u dłoni wykrzywiły się, a paznokcie przemieniły w olbrzymie, ostre pazury. Twarz potwora wykrzywił ohydny grymas, który zaprezentował obrzydliwe, zgniłe uzębienie. Wody jeziora zabulgotały, a w górę uniósł się przypływający o utratę przytomności smród piekielnych oparów. W tej samej chwili topielica chwyciła mnie gwałtownie za rękę.

– Mamo... – szepnęłam niemal bezgłośnie. – Tak tu cicho, tak zimno...

Niebo usiane gwiazdami zniknęło. Ciemna woda wciągnęła mnie w głębinę. Trzeciego piania koguta już nie usłyszałam...

Urszula Górecka (Włocznia), kl. 6
Prywatna Szkoła Podstawowa „Scherzo”
w Krakowie

Nieudany pojedynek

Obejrzałem się za siebie. Przeciwny brzeg rzeki Hudson znikł mi już z oczu w porannej, białej mgłę, która go pokrywała. Słońce jeszcze nie wstało, pograżając świat w półmroku. To, co w pełnym świetle dnia nazywałem rzeką, teraz było tylko nieprzeniknioną, czarną tonią, w której z łatwością mógłbym się utopić.

Wiatr smagnął, jak biczem. Łódź w której siedzieliśmy, zakotyła się niebezpiecznie. Mój przyjaciel, William Van Ness, rzucił mi przepraszające spojrzenie. Zaczął wiosłować ze zdwojoną siłą, żeby choć trochę oprzeć się nagłym porywom wichury.

Gdy łódź delikatnie trąciła trawiasty brzeg, od razu poderwałem się z miejsca. Stałem pewnie na upstrzonej poranną rosą łące, otoczonej drzewami. Jednak moja postawa nie odzwierciedlała tego, co czułem.

Nigdy nie brałem udziału w pojedynku, gdzie tylko dziesięć kroków dzieli cię od zwycięstwa lub śmierci. Czy mogłem teraz czekać, aż okazja do strzału sama się nadarzy?

Druga łódź przybiła do brzegu. Nagle go ujrzałem. W czarnym mundurze, targanym przez wiatr. Hamilton. Sierota, imigrant, który przybył do Ameryki i zaczął zagarniać wszystko dla siebie. Mogłem jedynie stać i patrzeć, jak zajmuje stanowisko u boku George'a Washingtona, lub jakim spojrzeniem obdarzał go John Laurens. Gdyby nie on, zostałbym prezydentem Stanów Zjednoczonych, zamiast Thomasa Jeffersona. Jeśli ten pojedynek miał to zakończyć, to nawet kosztem swojego życia, stoczę go. Z honorem, jak przystało na prawdziwych i niepodległych amerykańskich żołnierzy.

Na swojego sekundanta Hamilton wybrał Nathaniela Pendletona. Spotkałem go kilka razy, nie byłem w stanie stwierdzić, jaki jest, ale widziałem zimne płomienie wrogości w jego oczach. Choć nie

było dozwolone wtrącać się w pojedynek, z pewnością starał się obniżyć moje morale.

Hamilton nie odezwał się ani jednym słowem. Musiał w końcu zrozumieć, że nie warto strzępić języka o byle błahostki. Podał mi rękę, na znak akceptacji wyzwania. Lecz był to zimny, pozbawiony jakichkolwiek uczuć, czy choć odrobiny empatii, gest. Hamilton zanim poprosił o broń, przetarł długim, czarnym rękawem okulary, które błysnęły w pierwszym promieniu słońca, który jakimś cudem przebił się przez gęste listowie otaczającego nas lasu. Serce mi stanęło. Dlaczego? Jeżeli zamierza je włożyć, na pewno odda celny, zabójczy strzał. Prosto w serce.

William podał mi pistolet. Gdy dotknąłem broni, załała mnie nagła fala niepewności. Mogłem oddać tylko jeden strzał. W magazynku znajdowała się tylko jedna kula. Jeśli jakakolwiek rzecz pójdzie nie po mojej myśli, zapłacę życiem. Jednak było już za późno, by się wycofać. Sekundanci odsunęli się na dwa przeciwne końce trawiastej przesieki.

Odwrociłem się tyłem do przeciwnika. Z każdą sekundą, która mijała, czułem narastającą panikę. Zanim rozpoczęliśmy odliczanie, spojrzałem jeszcze raz na pistolet, który trzymałem w zaciśniętej dłoni. Zrobiony był z wypolerowanego drewna i gładkiego metalu. Ozdobiony był srebrnymi pręcikami ułożonymi w różne wzory. Jeśli to miała być ostatnia rzecz, którą ujrzę w moim życiu, przynajmniej nie będzie wywoływała bolesnych wspomnień. Rozległ się głos Hamiltona. Matowy, bez żadnego wyrazu czy emocji.

– Jeden.

Postawiłem pierwszy krok. Czas nagle zwolnił. Wydawało się, jakby całe moje dotychczasowe życie przepływało mi między palcami, niczym woda. Jest jeszcze tyle rzeczy, których nie udało mi się dokonać, lub doprowadzić do końca. I tyle rzeczy, za które chciałbym przeprosić.

Nazywam się Aaron Burr. Miałem tylko chronić i utrzymywać dziedzictwo moich zmarłych rodziców. Nie zostawili mi żadnych instrukcji, jak mam dalej żyć.

– Dwa.

Od zawsze, odkąd byłem dzieckiem, chciałem zostać prawnikiem. Przestałem skupiać się na ostatniej woli mych rodziców, którzy nakazali mi zostać teologiem. Zignorowałem ich w arogancki sposób, dla własnych potrzeb, i nie skończyłem tamtych studiów. Jeżeli teraz polegnę, nie uda mi się już nigdy więcej do nich wrócić. Jeżeli moi rodzice teraz obserwują moje działania, to wiedzą, że ich zawiodłem.

– Trzy.

– Przepraszam, pan to Aaron Burr, sir?

Pytanie Hamiltona odbiło mi się echem w głowie. Po raz pierwszy spotkałem go w porcie, w Nowym Jorku. Jak zwykle, nie miałem się gdzie podziąć. W krętych, ciemnych uliczkach można było spotkać niejednego chuligana bądź dręczyciela. Postawiłem Hamiltonowi piwo, żeby choć trochę omamić się dużą ilością alkoholu i oderwać od świata. Wtedy młody imigrant poznał trójkę najbardziej wyszczekanych i niewychowanych chłopaków, jakich znałem. Herculesa Mulligana, krawca i szpiega, Johna Laurensa, żołnierza z Karoliny Południowej i Marquisa de Lafayetteta, francuskiego generała. Hamilton od razu zaczął wbijać im do głowy swoje teorie na temat rewolucji i wojny z Brytyjczykami, więc wyładowałem przy najbardziej ukrytym stoliku w rogu. Znowu sam.

– Cztery.

Na wojnie byłem bezużyteczny. Gdy tylko pojawiałem się wśród innych żołnierzy, krążyły plotki i nieprzyjazne opinie, że nie potrafię celnie strzelać, ani jeździć na koniu. Gdy próbowałem zastraszyć sobie zaufanie generała Washingtona, Hamilton kolejny raz odebrał mi szansę. Generał nie zwracał już uwagi na mnie i na moje starania, które nie przyniosły żadnych efektów.

– Pięć.

Poznałem Teodozję. Była miła, czarująca i piękna. Nigdy nie znalazłbym drugiej tak wspaniałej żony, jaką była. Zaczęliśmy potajemnie pisywać ze sobą. Gdy nie walczyłem w obronie ojczyzny, całymi dniami mogłem pisać miłosne listy i wiersze. Jej mąż, bezwzględny, brytyjski oficer, niedługo później zginął w bitwie, co spowodowało, że się do mnie wprowadziła.

– Sześć.

Moja ukochana córeczka przyszła na świat. Moja Teosia. Miała imię po swojej matce. Obserwowałem z radością, wielką niczym morze, jak rosła, uczyła się i dorastała. Lecz mojej żonie przydarzyło się nieszczęście, po którym długo nie mogłem wyjść z rozpacz, zalewającej mnie falami. Zachorowała. Lekarz nie mógł nic dla niej zrobić, choć próbował wszelkich leków. Nie mogłem być przy niej, kiedy umarła. Nie poznałem nawet jej ostatniej woli.

– Siedem.

Nadal pogrążony w głębokiej rozpacz, szukałem zemsty. Nie mogłem dalej patrzeć, jak Hamilton wręcz doskonale radzi sobie z problemami swojego nowego narodu, stworzonego po wojnie. Pomogłem Jeffersonowi ujawnić pamflet Jamesa Reynolda. Zrobiłem to tylko po to, by obserwować, jak Hamilton traci szansę, by zostać prezydentem. Myślałem, że pogrążyło go to wystarczająco, że czuje to samo co ja, gdy straciłem Teodozję. Oczywiście kolejny raz musiałem się pomylić.

– Osiem.

Rok 1800. W całym kraju ogłoszono wybory na prezydenta. Satisfakcja wypełniała mnie, gdy Jefferson zostawał w tyle. Był kandydatem na prezydenta razem ze mną. Wiedziałem, że wygram. Miałem większe poparcie niż Thomas, ale po ogłoszeniu wyników, nie mogłem uwierzyć, gdy oboje otrzymaliśmy tyle samo głosów. To było absurdalne! Ponownie jednak Hamilton musiał całkowicie zdewastować moją świetlaną przyszłość. Zagłosował na mojego przeciwnika i tym samym Thomas Jefferson wygrał. Nie. To już było za dużo.

– Dziewięć.

Nie mogę przegrać tego pojedynku! Nie pozwolę, żeby moja córka została sierotą! Sam przekonałem się o tym, jak trudno jest żyć bez rodziców. I zrobię wszystko, żeby opiekować się Teosią. Hamilton musi ponieść karę, za to, co mi zrobił. Za te wszystkie utracone i zapomniane szanse!

– Dziesięć!

Odwrociłem się. Zaciśnąłem palce na pistolecie jeszcze mocniej niż dotychczas. Uniosłem go na wysokość oczu. Nad połyskującą, metalową lufą, ujrzałem Hamiltona. Powoli, płynnym ruchem, uniósł swoją broń do góry, celując w powietrze. Wydawał się całkowicie odprężony i rozluźniony, jakby nie dostrzegał widma nadciągającej śmierci.

Dotknąłem spustu końcem palca.

– W oczy patrz, nie ma już odwrotu teraz... – mój głos był rozedrgany, a na policzkach poczułem własne łzy. – Całą swą odwagę w sobie zbieraj...

Dłoń zaczęła mi drżeć. Czy rzeczywiście chcę strzelić? Za to wszystko, co mi się przytrafiło przez Hamiltona... Wystarczy tylko jeden strzał, a wszystko zostanie wymazane, jakby nic się nigdy nie stało. Srebrne zdobienia mojej broni zaśniły bladym blaskiem w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, rzucającego czerwoną lunę nad drzewami. Minęło pięć, dziesięć sekund, płynących długo niczym godziny. Mój przeciwnik nie opuścił broni ani na chwilę. Nie... Nie...

Upuściłem pistolet. Uderzył głucho o trawę, ale nie zwróciłem na to najmniejszej uwagi. Upadłem na kolana, całkowicie zrozpaczony. Gdybym zabił Hamiltona... Cała jego rodzina, dzieci i żona, ale też Thomas Jefferson, James Madison... Nie mógłbym spędzić tutaj reszty życia. Jego zabójstwo owiałoby mnie hańbą, wszyscy by mnie znienawidzili... A to było jeszcze gorsze, niż zemsta niszcząca mnie od środka.

– Burr? – William podszedł do mnie.

Podniosłem wzrok. Hamilton oddał pistolet swojemu sekundantowi. Zdjął okulary i kierował się do swojej łodzi. Nawet na mnie nie spojrzał. Nie obrzucił wzrokiem swoich zielonych jak dwa szmaragdy oczu...

– Burr? – powtórzył William, tym razem z naciskiem na moje nazwisko.

Otrząsnąłem się na chwilę. Mój sekundant pomógł mi wstać. Miałem wrażenie, jakby był zdenerwowany, że odrzuciłem taką okazję i nie postrzeliłem przeciwnika.

Gdy tylko dotarliśmy do miasta, o świcie, kilka osób już przebywało na zacienionych uliczkach, do których nie dotarło jeszcze światło słońca. Nadal oszołomiony i pogrążony w bólu, skierowałem się do baru, w którym poznałem Hamiltona. Nawet nie wiem, co zamówiłem.

Ale wiem na pewno, że utarczki z moim rywalem będą trwały dalej. Oddałbym wszystko, żeby ten nieudany pojedynek, okazał się tylko koszmarem, złym snem, który przyśnił mi się pewnej nocy.

Antoni Noga (Vivaldi), kl. 4

**Ogólnokształcąca Szkoła Muzyczna I stopnia
we Wrocławiu**

POGODA DUCHA I ŚWIAT EMOCJI, czyli o tym jak Pogoda Ducha kliknęła coś w telefonie i została razem ze Słoneczkiem EMOTKAMI

Za górami, za lasami, w roku 1829 w miejscowości Walim, w górach, stała sobie z cegieł i ozdobnych kamieni chatka. A w niej mieszkali pani Pogoda Ducha i pan Słoneczko. Pani Pogoda Ducha miała 20 lat. A pan Słoneczko miał 23 lata. Żyli szczęśliwie. W czwartek 23 sierpnia, gdy pan Słoneczko czytał książkę „Dzieci z ulicy Awanturników” to Pogoda Ducha kliknęła coś w telefonie, zrobiła się mocno czerwona jak burak i głośno ze strachem powiedziała:

– O-kro-pnie śli-skie my-dło!

Zawsze w ten sposób mówiła, żeby nie mówić brzydko. Czasem wyrывało się jej też: „Motyle czułki” albo „Kurzy pazur”.

Ledwie zdążyła to powiedzieć, a Słoneczko pyta się:

– Co się stało?

– Popatrz na mój ekran telefonu!

Wtedy w telefonie powiększył się Strach Henio i pan Słoneczko poczuł strach. I szkiełko w nowym telefonie pękło. Strach Henio wyszedł i postanowił z nimi już zostać.

O rany, ile kłopotu! Tyle kłopotów narobił telefon pani Pogody, no naprawdę, o rany!

Minął dzień i do Pogody Ducha przyjechał pan od telefonów. Pan przejrzał telefon i powiedział:

– No, niestety trzeba wymienić telefon.

– O rany!

– Nic się nie stało. Mam przy sobie telefony, które noszę, kiedy idę naprawiać.

– To super! A naładowany? – spytała Pogoda Ducha.

– Oczywiście!

– Super!

Gdy pan pojechał, Pogoda Ducha zobaczyła wokół siebie różne dziwne postacie i zapytała:

– Kim jesteście?

– Jesteśmy EMOTKAMI. Już z Wami zamieszkamy, będziemy spali w szafie na ubrania w kieszeniach spodni i czasem do Was wychodzili, i wami zarządzili – powiedziały postacie.

Pogoda Ducha zrozumiała, że to są emocje. Powiedziała w myślach do siebie, że to chyba wszystkie emocje jakie zna. Filip Złość, Tomek Radość, Mirek Smutek, Henio Strach i takie inne. Pogoda Ducha po prostu czuła teraz za dużo naraz. Zdecydowała się zapytać skąd są:

– Skąd jesteście?

– My jesteśmy ze „ŚWIATA EMOCJI”.

– Acha, to wy nami zarządzicie?

– Tak!

– O rany!

Gdy EMOTKI zniknęły w szafie w kieszeniach spodni, to Pogoda Ducha zawołała Słoneczko i mówi jaki ma pomysł:

– Może sami zostaniemy EMOTKAMI?

– To kim ja będę?

– Ty czułością, a ja szczęściem.

– To super.

Pogoda Ducha skończyła i zobaczyła, że inne uczucia się rozpuściły w powietrzu.

Gdy Pogoda Ducha poszła zobaczyć która godzina, nagle poczuła strach i powiedziała znowu:

– O-kro-pnie śli-skie my-dło!

Wtedy z kuchni wyszedł pan Słoneczko i zapytał, co się stało. Pogoda Ducha powiedziała:

– Znowu wyskoczył Strach Henio! Strach Henio powiększył się o 79 centymetrów.

– O rany! Znowu będą kłopoty!

Pogoda Ducha i Słoneczko znowu zostali otoczeni EMOTKAMI i zaczęli odczuwać wszystkie emocje naraz. Henio Strach powiedział do nich:

– Ta gra w EMOTKI zepsuje wam kolejny telefon. Każdy telefon sam instaluje tę grę i dlatego się tak szybko psuje.

Pogoda Ducha spojrzała na Słoneczko i powiedziała:

– Sami postanowiliśmy zostać EMOTKAMI, więc nie możemy się bać.

– No tak! Przecież ja jestem Czułością, a ty Szczęściem – odpowiedział pan Słoneczko i oboje się uśmiechnęli. Henio Strach sobie gdzieś poszedł.

Morał z tego opowiadania płynie taki, że nie wolno instalować gier, które psują telefony!

Alicja Kryszk (Chmurka 2014), kl. 5
Szkoła Podstawowa nr 71 we Wrocławiu
Czerwony Kot

O nie, nie, nie! Nie myślcie sobie, że Mój Kot jest czerwony. To nie kot, tylko diabeł, a diabły są czerwone, przynajmniej tak mi się wydaje. Tak naprawdę Mój Kot jest biały w czarne łaty. Uwierzcie mi, gdybyście kiedyś spotkali Mojego Kota, bylibyście tego samego zdania co ja – to diabeł. Pomimo tego, to nadal moja puchata słodkość, o ile mnie nie ugryzie.

Kiedys mama zapisała mnie na lekcje gry na gitarze. Oczywiście musiałam kupić swój własny instrument, więc tego samego dnia pojechałam z nią do sklepu muzycznego. Kupiliśmy nową niebieską gitarę w kwiaty. Po powrocie do domu zobaczyliśmy wielki bałagan. W kuchni na podłodze leżały garnki, a Mój Kot balansował na końcu wysuniętej szuflady. Po chwili szuflada wraz z zawartością wypadła z szafki. Mój Kot wylądował na ziemi. Niestety, dokładnie tam, gdzie upadł nóż do krojenia chleba (czyli bardzo ostry), więc skończyło się na wizycie u weterynarza. Mój Kot to naprawdę diabeł!

Dwa miesiące po zakupie niebieskiej gitary, moja nauczycielka, która uczy mnie na niej grać, pochwaliła mnie za pracę i pasję na zajęciach. Powiedziała, że w Warszawie jest organizowany Ogólnopolski Konkurs Dla Młodych Gitarzystów. Zaproponowała mi w nim udział, co byłoby świetną okazją do wystąpienia przed większą publicznością (kiedys występowałam przed całą szkołą). Wręczyła mi zgodę do podpisania przez mamę, a ja w te pędy pognałam do domu. Gdy stanęłam w drzwiach kuchni, udało mi się tylko wysapać do mamy: „nauczycielka... mam talent... konkurs... formularz”. Mama zrobiła zaniepokojoną minę. Gdy już się uspokoiłam, wytłumaczyłam jej, że bardzo zależy mi na udziale w konkursie. Mama przeczytała uważnie regulamin, plan podróży do Warszawy, i przejrzała formularz. I wiecie co? Zgodziła się! Miałam wyjechać za dwa tygodnie, więc od tej pory ćwiczyłam grę na gitarze sześć razy w tygodniu!

Na dwa dni przed moim wyjazdem, kiedy wróciłam ze szkoły, zastałam mamę z bardzo skwaszoną miną. Wyjęła zza pleców niebieską gitarę. Moją gitarę! Miała pozrywane struny i połamane części. Zaczęła się gęsto tłumaczyć: „No bo wiesz... miałam bardzo ważne spotkanie w pracy... i jakoś tak wyszło, że... że nie przypomniałam Mojego Kota”. Rozpłakałam się. Płakałam cały wieczór, nie mogłam w nocy spać i zastanawiałam się, jak teraz wystąpię w konkursie. Teraz sami widzicie, że Mój Kot to prawdziwy diabeł! W sobotę chodziłam po domu nadąsana i nic nie mogło mi poprawić humoru, nawet moje ulubione ciasto waniliowo-wiśniowe.

Mama wybrała się na zakupy, a ja zagłębiłam się w książce. Gdy wróciła do domu zrobiła mi wielką niespodziankę! Wręczyła mi zieloną gitarę! Będę mogła pojechać na konkurs!

Zdobyłam pierwsze miejsce i jestem z siebie bardzo dumna. W szkole dyrektor uroczyście ogłosił na apelu, że „Mamy wielki talent”. I jakoś wybaczyłam Mojemu Kotu. Uszyłam mu nawet wełnianą myszkę na warsztatach w szkole. Teraz się z nią nie rozstaje.

Moja najlepsza przyjaciółka to Sylwestra. Ma suczkę o imieniu Alfa. Rodzina Sylwestry dopiero niedawno zaadoptowała Alfę ze schroniska, więc moja przyjaciółka zaprosiła mnie do swojego domu, żebym mogła poznać jej psa. Zaprosiła też Mojego Kota, bo chcieliśmy sprawdzić, czy pies może zaprzyjaźnić się z kotem. I wiecie co? Mój Kot i Alfa bardzo się polubili, co jest zdumiewające, bo Mój Kot miłością darzy tylko mnie, smażony bekon i swoją wełnianą myszkę. Więc może to nie do końca diabeł?

Erika Yatskevych (Erika), kl. 6
Prywatna Szkoła Podstawowa „Parnas”
we Wrocławiu

Podróż „Biedronki”

Był letni poranek. Miasto rozpoczynało swoją codzienną rutynę.auta stały w korkach, rowerzyści zapełniali czerwone ścieżki, a czasem nawet chodniki. Tramwaje, niby dżdżownice, poruszały się wolno po torach. Turyści i goście miasta z plecakami i butelkami wody snuli się ulicami, patrząc w mapy i w swoje gadżety, polując na krasnoludki. Ciepły, letni wiatr, kończąc swoją podróż dookoła świata, zawitał do Wrocławia. Pokołysał stare platany na Podwalu, przepłynął Odrę w żaglach, przeleciał labiryntem kolumn Hali Stulecia i niechący porwał reklamówkę z żółtego pojemnika na odpady.

Segregowanie śmieci to podstawa. I każdy chyba już wie, co powinno trafić do odpowiedniego kontenera. I dlatego podróż „Biedron-

ki”, od momentu kiedy zabrał ją wiatr, rozpoczęła się z pojemnika z napisem „tworzywa sztuczne”. Cienka foliówka wypełniona ciepłym powietrzem, niby balon, wzniosła się nad miastem. Chociaż „Biedronkę” na początku ogarnął lęk wysokości, jednak widok na miasto z lotu ptaka zamienił jej strach na zachwyt.

Mała foliówka nigdy nie widziała czegoś podobnego, więc zabrakło jej słów, żeby opisać, na co patrzy w tej chwili. Mogła to tylko zrozumieć, porównując swoje odczucia do tego, co знаła ze sklepowych półek. Ulice wyglądały jak korytarze, wzdłuż których rosły wielkie brokuły. Zabawkowe samochodziki, tylko bez opakowań, poruszały się w każdą stronę. Gofrowe kamienice, niby świąteczne opakowania, pokryte były tabliczkami czekolady. Ale nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś nie zakręcił kranu i woda cieknie szybkim strumieniem przez zawile korytarze. „Biedronka” nie mogła wiedzieć, że to jest wrocławskie Śródmieście, a niezakręcona woda to Odra, która cieknie aż przez trzy kraje.

Wiatr podnosił ją wyżej i wyżej, a miasto powoli znikało jej z pola widzenia. Wrocław spowijał się w miękką, szarą chmurę. Przez mgłę niczego nie było widać, ale za chwilę promienie słońca padały na biały plastik z czerwonym napisem. „Biedronka” zobaczyła, że jest nie tylko nad miastem, ale też nad chmurami. Wydawało jej się, że jest coraz bliżej słońca, ale nie mogła zrozumieć, dlaczego zamiast ciepła jest coraz zimniej. Kropelki wody z chmury zaczęły zamarzać na „Biedronce”, przez co nie mogła aż tak łatwo szybować i zaczęła powoli spadać.

Na niebie można spotkać różne wielkie ptaki, małe, żywe i też metalowe. Akurat na oczach takiego dużego ptaka wylądowała nasza „Biedronka”. Przerażona ekipa samolotu zdecydowała się na awaryjne lądowanie.

– Uwaga pasażerowie, mówi kapitan samolotu, przygotujcie się do awaryjnego lądowania! Na naszym oknie usiadła wielka „Biedronka”. Brak widoczności! Proszę dostosować się do dalszych zaleceń załogi.

Ciepły, pacyficzny wiatr zdmuchnął „Biedronkę” z szyby i awaryjne lądowanie samolotu zostało odwołane. Teraz nasza rekla-

mówka zaczęła szybować, spadając na swoje nieszczęście do wód Pacyfiku w okolicach Hawajów.

Śmieci na lądzie to mały problem, ale w wodzie – to już wielka tragedia. Prądy morskie tworzą wiry, które gromadzą w sobie odpady z całego świata. Takich miejsc w oceanach jest kilka, ale największe z nich nazywa się „Wielka plama na Pacyfiku”. To mogło być godne podziwu albo zaliczone jako ósmy cud świata, gdyby nie było to skupiskiem śmieci, rozmiaru Francji. Ale skąd ona się wzięła?

W połowie XX wieku wprowadzono na rynek tworzywa sztuczne. Ich produkcja wzrasta z roku na rok. W oceanach już jest ponad 300 milionów ton śmieci. I niestety nie wszystkie przedmioty trafiają do recyklingu, większość z nich zamienia się w odpady, które trafiają do środowiska, w tym do oceanów. Niestety, tworzywa sztuczne rozkładają się bardzo powoli, może im to nawet zająć setki lat, a do tego czasu pływają w wodzie. Wiry oceaniczne unoszą około 3,5 biliona plastikowych elementów, stare sieci utrudniają zwierzętom życie.

I tak właśnie do tej plamy przyплыnęła „Biedronka”. Miejsce to wyglądało jak bajecznie kolorowa wyspa, po której, jak po plaży, chodziły różne ptaki morskie, wydłubując resztki jedzenia z otwartych opakowań. A pod nią czaiły się ryby i meduzy.

– Namaste (witam w języku hindi) – powiedziała otwarta puszka po fasoli z niezrozumiałym napisem.

– Cześć kolego! Czy mógłbyś mi powiedzieć gdzie jestem i jak mogę wrócić stąd do domu? – zapytała „Biedronka”.

– To jest wyspa smutku, trafiają na nią ci, którzy nie dostali się do żółtego pojemnika – odpowiedziała konserwa.

– Do żółtego? Przecież tam byłam, zanim porwał mnie wiatr – zdziwiła się „Biedronka”.

– O rety! Byłaś blisko Nirwany, co masz za karmę, że nie udało ci się dostać do reinkarnacji? – z przerażeniem wykrzyknęła puszka. Mnóstwo plastikowych pudełek, opakowań po chińskiej zupce, zepsuta elektronika i różne gadżety wlepiły wzrok w reklamówkę. Cicho rozniósł się szept „żółty pojemnik, żółty pojemnik, żółty

pojemnik, żółty pojemnik...”. Co świadczyło o wielkim rozczarowaniu i niespełnionym marzeniu ich wszystkich.

– Reinkarnacji? A co to jest? Może masz na myśli recykling? Co to za karma? Czy ona jest dla zwierząt? Przecież niosłam tylko warzywa – rzekła reklamówka.

– Tak, miałam na myśli recykling – powiedziała puszka. – Ale w moim kraju to inaczej brzmi.

– A karma, to nie dla zwierząt, tylko podsumowanie twoich czynów i pomysłów – jak postępujesz, taką nagrodę dostajesz – dodała konserwa z dziwnymi napisami i wyblakłym od słonej wody rysunku fasoli.

– Ale jakże, przecież nie miałam złych pomysłów. Tylko w przysłym życiu chciałabym zostać częścią czegoś naprawdę wielkiego, nie licząc tej wielkiej wyspy śmieci – powiedziała foliówka.

Ich rozmowę przerwał głośny dźwięk silnika i cień dużego statku padł na wielką plażę usypaną ze śmieci. Ogromne siatki, kierując się w stronę wysp japońskich, wyciągnęły z wody dziesiątki ton nieposegregowanych odpadów. Wielka podróż „Biedronki” zakończyła się na innym kontynencie. Po reinkarnacji odzyskała swoje życie jako stół w restauracji na sztucznej wyspie – Odaiba. A puszka po fasoli nie nadawała się do recyklingu, więc trafiła do Nirvany.

Ida Kazimirowicz (Ida), kl. 5

Szkoła Podstawowa w Długiem

Magiczne łóżko

W miasteczku Jasło, na ul. Kołłątaja, naprzeciwko biblioteki, nad salonem fryzjerskim, znajdowało się magiczne mieszkanie. Z zewnątrz nie wyróżniało się ono niczym szczególnym, ale stało tam mnóstwo magicznych sprzętów. Mieszkał tam Magik – mechanik. Sprzedawał on swoje wynalazki na rynku czarownic. Najbardziej dumny był z Magicznego Łóżka, które mogło spełniać sny. Wie-

dział jednak, że może być ono niebezpieczne, zatem trzymał je w pokoju gościnnym – a gości niemal nie miewał. O tym jak niebezpieczny i potężny to przedmiot przekonał się pewnej nocy, gdy jego kot, bo jakiś szanujący się czarodziej nie ma kota, wkraść się do sypialni dla gości, by znaleźć sobie wygodniejsze miejsce do spania. A trzeba wam wiedzieć, że Zaczarowane Łóżko było także łóżkiem wygodnym. Zatem kotek zasnął, a śniło mu się, że jest w chatce w zoo, które mieściło się na pustyni. Przed jego oczami przemaszerowały różne dziwne stworzenia – czarne pantery, które miały wielkie skrzydła, różowe wielbłądy czy nietoperze wielkości ludzi. Gdy kotek obudził się był... niestety wciąż na wysnionej pustyni, a obok niego pochrapywał Magik – mechanik. Obudził go wskakując mu na pierś... i wtedy zrozumiał w jak wielkim niebezpieczeństwie się znaleźli. Natomiast Magik – mechanik martwił się o swoją rodzinę – bratanicę i jej troje ciekawskich dzieci. Tak, tak, nawet czarodzieje miewają rodziny, a niekiedy nawet ktoś z niej ma zapasowy klucz. „Tak na wszelki wypadek”, prawda?

Tydzień później Julka siedziała na kanapie w poczekalni na komisariacie. Jej mama właśnie rozmawiała z panem komisarzem w sprawie zaginięcia dziadka. Bardzo się tym martwiła, gdyż bardzo go lubiła. Obok niej na fotelu drzemało jej młodsze rodzeństwo, Krzys oraz Ala.

– Chodźcie dzieci, musimy wracać – powiedziała mama podchodząc. – Zatrzymamy się w mieszkaniu dziadka. Może... może sam wróci... Ja będę musiała wrócić na komisariat, ale wy musicie odpocząć.

Dzieci weszły do auta i pojechały z mamą. Ruch nie był duży, więc dojechali w 5 minut.

– Ja wrócę później. Na razie muszę pojechać na komisariat w sprawie dalszego śledztwa. Spróbujcie nieco odpocząć. Jeśli będziecie głodne możecie zrobić sobie kanapki z dżemem, ponieważ wasz dziadek zawsze ma dżem – uśmiechnęła się smutno. – A gdy wrócę zabiorę was na pizzę.

Dzieci bardzo się martwiły losem dziadka, ale były głodne, więc poszły zjeść dziadkowego dżemu. Potem zmęczenie i nerwy dały

o sobie znać, zatem położyły się. Julka i Ala nocowały w jednym pokoju, a Krzys w drugim. Jak zapewne pamiętacie Zaczarowane Łóżko było bardzo wygodne, co dzieciaki szybko zauważyły. Tego, że jest zaczarowane już nie.

Następnego ranka Ala zbudziła się ze strachem, ponieważ śnił się jej koszmar. Nie pamiętała co to było, ale bardzo się martwiła. Złe przeczucia nie chciały jej opuścić, ale nie pisnęła o tym ani słówkiem, by brat nie przeżywał jej strachajłem. Mama, która wróciła, gdy jeszcze spali, przygotowała im pyszną jajecnicę i znów pobięła pomoc w poszukiwaniach.

Dla zabicia czasu grali w różne gry, gdy nagle zabrakło prądu. Wyjrzeli na korytarz i nawet zapukali do sąsiadki, ale wszędzie go brakowało. A na zewnątrz chyba się zachmurzyło, jakby gęste chmury przysłoniły słońce. Robiło się coraz ciemniej. Dzieciaki w domu znalazły dwie latarki i zaświeciły je. W tym momencie poczuły trzęsienie ziemi i ze szczeliny w ścianie wpełzł potwór, który pożerał światło!!! Jego węzowe sploty wyglądały jak utkane z cienia, a paszcza była dostatecznie wielka, by połknąć dorosłego w całości. Julka chwyciła rodzeństwo za ręce i zaczęły uciekać. Za sobą słyszeli syk trących o siebie łusek. Nagle Krzys wyszarpnął się krzycząc:

– Masz tutaj jedzonko!!! – odrzucił swoją latarkę daleko w prawo, sam skacząc w lewo.

Wąż zwinął się jak sprężyna i błyskawicznie chwycił źródło światła w paszczę. Niestety jego ogon uderzył Krzysia w nogę, przewracając go. Julka rzuciła mu się na pomoc, ale gadzi demon był już przy nich. Nagle odwrócił głowę, bo zauważył Alę... jarzącą się niezwykłym światłem. Dziewczynka po sekundzie zniknęła w paszczy gada.

– Nieee – zaszlochał Krzys. Z gardła Julki wydobyło się jedynie ciche westchnienie, a jej oczy były rozszerzone z przerażenia. Nagle pomiędzy łuskami węża pojawiło się światło. Najpierw łagodne i różowe, potem coraz mocniejsze, coraz bardziej palące, coraz bardziej... magiczne. Syk węża z wściekłości zamienił się w skowyt strachu, a po chwili gad rozwiął się jak mgła przed słońcem. Na jego miejscu stała maleńka Ala, teraz żarząca się jak malutkie

słoneczko. Rodzeństwo rzuciło się sobie w ramiona, krzycząc radośnie. Dopiero po chwili zauważyli, że wybuch stworzył szczelinę w powietrzu od której biło ciepło. Widać było piasek oraz... mężczyzną w turbanie, lecącego na wielbłądzie i z kotem za pazuchą.

– Dziadek !!! – krzyknęła Julka, a po niej reszta rodzeństwa.

– Tak, moje drogie dzieci. Dziękuję za ratunek – przytulił wszystkich troje. – Okazuje się, że jedno z was odziedziczyło po mnie Moc. Hmm, będę chyba musiał cię nauczyć tego czy owego, prawda Alu?

– A my? – zapytał nieco smutno Krzys.

– Mój drogi... myślę, że dla kogoś tak odważnego i rezerwowego jak ty i twoja siostra Julka, znajdzie się coś ciekawego do roboty. Mag uśmiechnął się ciepło, a ten uśmiech skrywał tajemnicę. I obietnicę.

Marta Kucharska (Willowglow), kl. 5
Spółeczna Szkoła Podstawowa Stowarzyszenia
„Szkoła Przyszłości” w Chorzowie
Niezwykłe połączenie

Lara szła przez las, podziwiając wielokolorowe liście i słuchając ich szumu. Miała nadzieję oswoić jakąś wiewiórkę i znaleźć zwierzęcego przyjaciela, który będzie ją uspokajał tak samo jak Salman, jej wcześniej zaprzyjaźniony lis.

Po przeprowadzce Lara straciła spokój, który kiedyś czerpała z samego kontaktu myślowego z Salmanem. Co prawda nie mogła rozmawiać ze zwierzęciem, ale mogła z niego „czerpać” spokój.

Przed przeprowadzką zdążyła jeszcze raz porozmawiać z lisem i zaproponować mu przesiedlenie do pobliskiemu lasu, lecz ten odmówił, powiedział że: „Starych drzew się nie przesadza», i że nie jest już młodym lisem, a jego dni są policzone. Wtedy dziewczyna oznajmiła, że to skończy się utratą kontaktu, ale lis tylko smutno na nią popatrzył, ostatni raz otarł się o jej łydki i nie oglądając się za siebie, odbiegł w las. Lara poczuła się wtedy porzucona, lecz jakaś część niej rozumiała lisa.

Dlatego teraz przemierzała ten nieznany las w poszukiwaniu nowego zwierzęcego przyjaciela. Zboczyła ze ścieżki i weszła głębiej w gęstwinę. Próbowала cicho iść po liściach, ale było to niewykonalne, gdyż suche liście głośno trzaskały pod stopami. Lara stwierdziła, że chyba wypłoszyła zwierzęta z całego lasu, gdy nagle... zauważyła sarnę skubiącą trawę.

Dziewczyna nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, co prawda początkowo chciała zaprzyjaźnić się z wiewiórką, ale sarna też była dobra, tylko może być z nią więcej pracy, bo sarny to z natury płochliwe zwierzęta.

Delikatnie zagwizdała i zaczęła przeszukiwać myślami okolice w poszukiwaniu nici myślowej sarny. Po kilku chwilach poszukiwań znalazła, była różowawa i miała kształt warkocza. Od razu skojarzyło jej się to z Salmanem. On też miał nić myślową zaplecioną w warkocz, ale jego była ciemnoniebieska.

Lara delikatnie wplotła swoją nić w nić sarny. Nić dziewczyny była złota i niezapleciona. Lara niedawno się dowiedziała, że każdy Zaklinacz Zwierząt miał złotą, niezaplecioną nić. Ona jako Zaklinaczka Zwierząt mogła i umiała splatać ze sobą nici myślowe. Po chwili wysłała pierwszą wiadomość, sarna zastrzygła uszami i podniosła głowę. Moment później usłyszała pierwszą wiadomość od swojej nowej przyjaciółki:

– Kim jesteś? – zapytała niepewnie sarna. – Jeszcze nigdy nikt nie rozmawiał ze mną w ten sposób – dodała zaciekawiona.

– Jestem Lara i jestem Zaklinaczką Zwierząt – odpowiedziała. – A ty jak masz na imię? – zapytała, mając na celu dowiedzenie się czegoś więcej o sarence.

– Mam na imię Rosaluna – odparła młoda sarna. – Dopiero od niedawna zaczęłam żyć na własne kopyto...

Lara nie mogła powstrzymać uśmiechu, gdy usłyszała zwrot: „żyć na własne kopyto”, lecz uśmiech zaraz zszedł z jej twarzy, gdy usłyszała dalszą część historii.

– ...bo moją mamę zaatakowały wilki i umarła – dokończyła smutno Rosaluna. Larze zrobiło się przykro, sarna była bardzo młoda, a i tak już wiele doświadczyła.

– Przykro mi – powiedziała Lara za smutkiem. – Mogę do ciebie podejść? – zapytała dziewczyna. Przez te kilka lat kiedy przyjaźniła się z Salmanem nauczyła się, że zawsze należy pytać.

– Dobrze – zgodziła się sarenka, choć niepewnie. Lara powoli i spokojnie podeszła do sarenki i pogłaskała ją po grzbiecie. Po kilku minutach rozmowy i głaskania Lara spojrzała na zegarek i ze smutkiem podniosła wzrok z powrotem na sarenkę.

– Muszę już iść – przekazała jej dziewczyna. – Ale mogę wpaść jutro.

– Dobrze – odparła Rosaluna i odbiegła w las.

Lara wróciła na ścieżkę i ruszyła z powrotem do domu.

– Jak dobrze jest mieć znowu zwierzęcego przyjaciela – pomyślała. Połączyła się z Larą dopiero chwilę temu, a już odczuwała tego skutki. Stała się spokojniejsza, wyostrzył się jej słuch i wzrok. Wiedziała, że zależnie od gatunku zwierzęcego przyjaciela, człowiek odczuwał różne właściwości, ale zawsze był to spokój. Gdy miała Salmana, czuła opanowanie i zwinność. Teraz był to spokój i wyostrzony węch oraz słuch.

Do domu wracała już w lepszym nastroju. Zwierzęcy przyjaciele zawsze dobrze na nią działali, tak samo jak przyroda.

Kategoria II

Szkoły podstawowe

klasy 7-8

Wiersze

1 miejsce

Nie przyznano

2 miejsce

55 Franciszek Płonka: *Bunt*

56 Antonina Zielińska: *Zimowe zauroczenie*

3 miejsce

56 Andrzej Dechnik: *Skrzydła*

Wyróżnienia

57 Borys Chybki: *Życie nastolatka*

Opowiadania

1 miejsce

58 Anna Rozmus-Stefaniak: *Szczery uśmiech Marilyn Monroe*

62 Zuzanna Ćwik: *Tam, gdzie rodzi się dobro czyli jak pokochać wroga?*

2 miejsce

79 Patrycja Brej: *Cienie wojny i miłości*

3 miejsce

82 Marta Mąka: *Mała Tereska to moja babcia*

Wyróżnienia

86 Mieszko Farbiszewski: *Wielka ucieczka złotego kranu*

89 Magda Jędrzejewska: *Duchy*

Franciszek Płonka (Frankix), kl. 7
Szkoła Podstawowa w Żernikach Wrocławskich
Bunt

Mój świat kruszy się i pęka w pół
Cisza między nami staje się przepaścią
Wciąż biegnę nawet nie wiem już dokąd

W moim sercu burza bunt niezgoda
Szukając własnej drogi uciekam
Nie zrozumiesz mnie ja nie zrozumiem ciebie

Krzyczę bo świat mój inaczej widzę
Trzask drzewi to nie złość
Lecz lęk przed światem mnie dręczy

Rzucam słowa jak kamienie w ścianę
O dziką wolność walczący
Oddalam się w poszukiwaniu siebie

Lecz ty trzymaj drugi koniec liny mamó
Mimo burz i nawałnic trzymaj się tam
Bo chociaż huragan to fale nas unoszą

Twoje dłonie chociaż zmęczone
Dla mnie kotwicą dzisiaj są
Ja czuję że jesteś tam

Trzymaj drugi koniec liny mamó
A ja będę wspinać się choć stromy jest szlak
Choć bunt we mnie płonie jak ogień

Ty trzymaj drugi koniec liny mocno mamó bo jestem tam...

Antonina Zielińska (Zieltoś), kl. 7
Publiczna Szkoła Podstawowa nr 12
w Stalowej Woli

Zimowe zauroczenie

To była zima!
Zimowe śnieżnonatarcia
szukające dotyku mimochodem
niby niechący
Tęskne spojrzenia
malujące pąsowość policzków
Moja dłoń w Twojej dłoni
kradnąca ukradkiem ciepło
Moja twarz przy Twojej twarzy
Rozwiany szalik, śnieg we włosach
Łzy jak sople, a w butach śnieg
Czy będzie jeszcze zima?
Taka chyba już nie...

Andrzej Dechnik (A.D.), kl. 8
Publiczna Szkoła Podstawowa
w Krzeszowie Górnym

Skrzydła

Czy można prosić Anioła
O skrzydła na dalszą drogę?
Bo bez tych anielskich piórek,
pogubić czasem się mogę.

I wtedy, gdy sił nie starcza.
I zrobić kroku nie mogę,
me serce czeka uparcie,
a rozum bije na trwogę!

Bo bez nich błędzę jak ślepiec,
wciąż po omacku, bez celu,
a kiedy piórko odnajdę
to, jak światelko w tunelu.

To taki znak nieomylny
i czuję znów serca bicie
i oddech znów złapać mogę,
by toczyć walkę o życie.

Borys Chybki (Poeta), kl. 8
Niepubliczna Szkoła Podstawowa w Jarocinie
Życie nastolatka

Denerwuje Cię ojciec,
Denerwuje Cię matka,
Ciężkie jest życie nastolatka.

Jazda motorem po głowie wciąż Ci chodzi,
A wszyscy dorośli: Jesteście za młodzi!

Ty jednak chcesz poczuć zew wolności,
Wtedy uśmiech szczęścia na Twojej twarzy gości.
Wiatr włosy targa,
Dziewczyna się przytula,
Krew krąży szybciej,
Adrenalina hula...

Jeśli nie teraz, to kiedy?
Życie brać garściami.
Nigdy nie wiadomo,
Co jeszcze przed nami...

Anna Rozmus-Stefaniak (Newanda), kl. 8
Szkoła Podstawowa w Kobiórze

Szczery uśmiech

Marilyn Monroe

Siadam pod drzwiami i biorę głęboki oddech. W końcu mam chwilę dla siebie, mogę odpocząć. Spuszczam ramiona w dół, ścieram z ust sztuczny, tak znany wszystkim uśmiech i skupiam się na biciu własnego serca, aby uspokoić jego bieg. Czuję, jakby ktoś cały czas trzymał mnie na celowniku, jakby ktoś cały czas gdzieś na mnie czyhał, jakbym był ostatnim z piętki portretów Marilyn Monroe, namalowanych przez Andy'ego Warhola. Nigdy nie wiem jak wiele czasu jest mi dane, nigdy nie ryzykuję, jednak tym razem łyzy nie chcą się powstrzymywać. Pozwalam im swobodnie płynąć, od oka po krtań pokonują długą drogę. Nie wycieram ich, po prostu siedzę i napawam się ciszą jaka panuje w domu. Żadnych krzyków, szumów i wściekłego milczenia, które również często ranią moje uszy. Mój pokój jest mały i ciemny. Okna zasłoniłem ciężkimi, czarnymi zasłonami, żeby nikt, nawet światło nie mogło zajrzeć do środka. Uważam, że mój pokój to jedyne miejsce, które do mnie należy. Jest to dziwne, inni mówią, że obsesyjne, jednak ja przywiązałem się do tych czterech ścian. Znają moje problemy i smutki, jako jedyne widziały łyzy płynące z moich oczu, jako jedyne słuchały moich wykrzykiwanych w poduszkę krzyków.

Słyszę z dołu zgrzyt zamka, co w mgnieniu oka stawia mnie na nogi. Szybkim krokiem podchodzę do lustra wiszącego na jednej ze ścian. Nienaganny wygląd to podstawa w tym domu, dlatego układam swoje przydługie czarne włosy i wygładzam ubranie. Wycieram resztki płaczu spod cienkich szkieł okularów i podwijam mankiety koszuli, rzucając sobie zdystansowane spojrzenie. Kręcę jednak szybko głową, żeby się opamiętać i przywdziewam na twarz maskę uśmiechu. Wyuczonym eleganckim, jednak swobodnym krokiem kieruję się w stronę drzwi. Kiedy chwytam za klamkę, z dołu słyszę chłodny głos.

– Arturze, zejść w tej chwili na dół! – Biorę ostatni głęboki oddech i zbiegam po schodach.

W kuchni czeka już na mnie wysoka, srogo wyglądająca kobieta, z zimnym spojrzeniem i cienką linią, zamiast ust. Nigdy nie widziałem, żeby się uśmiechała.

– Spójrz na siebie, jak ty wyglądasz? Ile razy mam ci powtarzać żebyś nie biegał po schodach? Zachowujesz się jak dziecko, to niedopuszczalne w twoim wieku. Wnieś zakupy do domu, potem umyj zlew w kuchni i uporządkuj zdjęcia w albumie z mojego wyjazdu. Kolacja będzie o szóstej, masz się stawić punktualnie.

Nie dyskutuję z nią, nie ma to żadnego sensu. Uśmiecham się lekko, żeby na mnie nie nakrzyczała.

– Dobrze, mam – mówię cichym i spokojnym głosem, tak odmiennym od jej. Powolnym krokiem kieruję się w stronę samochodu, wyciągam zakupy i ustawiam na półkach. Dokładnie badam skład każdego produktu, żeby skupić na czymś myśli. Kiedy przechodzę do kuchni, poprawiam włosy, spoglądając na lustro stojące w przedpokoju. Po dwudziestu minutach mocowania się z brudnym zlewem, czuję się trochę lepiej. Jednak, gdy zaczynam układać zdjęcia, smutek znowu do mnie wraca. Na wyjeździe służbowym moja matka wydaje się dużo szczęśliwsza niż w moim towarzystwie. Powoli i dokładnie układam wszystkie trzysta pięćdziesiąt osiem zdjęć, starając się zapamiętać jak najwięcej nazwisk i twarzy jakie pokazują, co jakiś czas poprawiając okulary zsuwające mi się z nosa. Kiedy odkładałam ostatnie zdjęcie, zegarek na moim nadgarstku pokazuje piątą trzydzieści. Wracam do pokoju i już chcę się położyć na łóżku, gdy mój telefon zaczyna wibrować. Odbieram go, po zgarnięciu z komody, na ekranie pokazuje mi się twarz mojego najlepszego przyjaciela Leona. Leon to chłopak z pogodnym wyrazem twarzy i jasnymi jak zboże włosami.

– Artur?!

– Nie uwierzysz co się stało! Masz chwilę? – nie czekając aż mu odpowiem zaczyna opowiadać. Uśmiecham się znowu, tak żeby nic nie podejrzewał. – Rozumiesz to, że moi cudowni rodzice uznali, że zabiorą mnie i mojego brata na jakiś wyjazd do Niemiec? Nie

wiem na jak długo i kiedy, ale nie zamierzam w tym uczestniczyć. Ja tam z nimi nie wytrzymam, znowu będę się cały czas kłócić, a Oskar będzie mi tylko przypominał, że mam się zachowywać, sam odgrywając rolę lepszego brata! – tu robi cudzysłów i wdycha ciężko. – Chcę go jakoś pocieszyć więc mówię:

– Może nie nastawiaj się od razu na najgorsze. Twoja rodzina nie jest wspianiała, ale może nie będzie tak źle, zawsze możesz z nimi porozmawiać, może pozwolą ci zostać?

– To nie wypali, ale masz rację, nie będę się od razu źle nastawiał, może poznam kogoś nowego.

– No widzisz – uśmiecham się do niego ciepło. Rozmawiamy jeszcze chwilę rozmyślając nad tym, jak może wyglądać ten wyjazd, co powinien ze sobą zabrać i co powinien powiedzieć rodzicom. W pewnym momencie chłopak pyta się czy wszystko u mnie w porządku. Jakiś cichy głos w mojej głowie próbuje się przebić przez myśli i zostać usłyszany, mówi, że powinienem mu opowiedzieć o problemach z mamą, pracobolizmie ojca i samotności z jaką cały czas się mierzę. Jednak milczę, nie dopuszczam do siebie tego głosu. Przecież Leon ma gorsze problemy ode mnie.

– Jasne – odpowiadam tylko. – Co by miało być nie tak? Przecież mnie znasz – jeszcze raz szeroko się uśmiecham. Zerkam na zegarek. Pokazuje piątą pięćdziesiąt trzy, dlatego żegnam się z przyjacielem i powolnym krokiem schodzę do jadalni. Ojciec i matka już siedzą przy stole, kiedy niska, przestraszona służąca, drżącymi dłońmi układa na stole porcelanowe półmiski. Łapię z nią kontakt wzrokowy i uśmiecham się, chcąc podnieść ją na duchu. Dziewczyna uspokaja się trochę na mój widok. Siadam przy stole obok ojca, który mamrocze pod nosem coś o paskudnych cenach taksówek w tych czasach. Plecy mam wyprostowane, głowę wysoko uniesioną, a oczyma zaczynam liczyć ziemniaki ułożone na metalowej, zdobionej blasze, żeby nie patrzeć w oczy rodziców. Gdy ostatni półmisek ląduje na stole, nakładam sobie na talerz wyliczone dwa ziemniaki, dokładnie wybrane, z najmniejszą ilością koperku. Zamierzam zjeść po tym sernik, ale wiem, że najpierw muszę dostarczyć swojemu ciału chodź trochę składników odżywczych, dlatego

sięgam jeszcze po mięso i warzywa. Zjadam kilka kęsów, jednak jedzenie staje mi w gardle, gdy moja matka otwiera usta:

– Nie powinienesz tyle jeść Arturze, jak będziesz się prezentować na spotkaniu z burmistrzem miasta, kiedy nagle przytyjesz? – analizuje mnie dokładnie wzrokiem, jakby oceniając każdy element mojej postaci. Wiem już jak czuła się ostatnia, niebieska Marilyn, gdy Dorothy Podber strzeliła z rewolweru w cztery pozostałe, ułożone w stos, pozostawiając piątą. Mimo iż na twarzy Monroe pozostał uśmiech, płótno nigdy nie zapomni zbrodni. Chęć na zjedzenie ciastka nagle wyparowała mi z głowy, a na jej miejscu pojawiły się wyrzuty sumienia. Uśmiecham się do niej tylko, ledwo powstrzymując jęk irytacji. Biorę do buzi jeszcze kilka kęsów kurczaka i cały czas się uśmiechając, dziękuję za posiłek. Mogę udać się do swojego pokoju, wiem, że po kolacji rodzice chcieli porozmawiać o interesach, co wiąże się z kolejną kłótnią. Do pokoju odprowadza mnie współczujący wzrok służącej i pierwsze krzyki przy stole. Zamykam za sobą drzwi, osuwając się po drzwiach na podłogę, w głowie huczą mi raniące słowa matki. Sprawdzam telefon. Leon wysłał mi dwadzieścia nowych wiadomości. Píše, że rodzice kazali mu jechać, co jeszcze bardziej wprawia mnie w zły humor. Nie jestem w stanie mu pomóc, nie jestem w stanie zadowolić oczekiwań matki, nigdy nie będę wystarczająco dobry, żeby ojciec zwrócił na mnie uwagę. Jednak najbardziej boli mnie fakt, że nikomu tego nie powiem, bo inni mają gorzej. A mój największy problem jest taki, że u mnie, zawsze jest dobrze. Czy już zawsze będę musiał nosić maskę uśmiechu i szczęścia, jak niebieska Marilyn Monroe? Może mi się uda, może gdy będę wszystkich okłamywał, że jest dobrze, sam w to uwierzę? Może ktoś i mnie kupi kiedyś za 195 milionów dolarów i będę wtedy jak mój ojciec. Kupiony do korporacji, do wyścigu szczurów. Będę tylko bladym uśmiechem na zdjęciach co roku wywieszanych na ścianach biurowca.

Czy kiedykolwiek doczekam się słowa dziękuję? Proszę?

– Artur nie ma tu nic do rzeczy, jego rolą jest pozostać cicho! – krzyk matki przebija się przez ściany.

Przepraszam...?

Gdyby wybór należał do mnie, postawiłbym kulę w „The Shot Marilyns”.

Zuzanna Ćwik (Zuzanna), kl. 8
Szkoła Podstawowa w Samokłeskach
Tam, gdzie rodzi się dobro
czyli jak pokochać wroga?

Lata 40. XX wieku – III Rzesza Niemiecka

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Tego dnia rozżarzone niebo w okolicach Wonnenbergu mieniło się paletą kolorów. Od czerwieni, przez pomarańcz, do jasnych odcieni bursztynu. Gałęzie drzew lekko falowały przy powiewie wiatru. Cała okolica oddawała się temu nadzwyczajnemu zjawisku.

– Vincencie, przyjdź proszę na kolację godzinę wcześniej. Tata dzisiaj przyjeżdża – powiedziała rozpromieniona mama. – Razem ze swoją dywizją zamierza się przenieść na zachodni front, aby uczestniczyć w niemieckiej ofensywie na Francję. Z tego powodu chciałby się z nami pożegnać, zanim wyjedzie na dłuższy czas – wytłumaczyła.

– Dobrze, postaram się wrócić jak najwcześniej – odpowiedziałem, pakując swoje rzeczy do torby.

Wiedziałem, że jeżeli się spóźnię, to na pewno nie skończy się to dla mnie z korzyścią. W naszym domu były twarde zasady, których nie można było łamać. Szczególnie tata, który był generałem jednej z dywizji pancernych, przykładął dużą wagę do dyscypliny. Z pewnością można stwierdzić, że moje wychowanie było żelazne, ale wiele mnie to nauczyło.

Kiedy minąłem za zakrętem nasz zbudowany z cegły dom, wybrałem się, tak jak zwykle późnym popołudniem, na zajęcia do Preuschoff-Schule, gdzie niemiecka młodzież mogła się uczyć pod okiem wykształconych nauczycieli. Każde zajęcia rozpoczynały i kończyły się nazistowskim pozdrowieniem. W klasach wywieszane były plakaty propagandowe przedstawiające Adolfa Hitlera jako przywódcę narodu.

To wszystko często było dla mnie przytłaczające, ale nie mogłem po sobie tego pokazać.

Przed wejściem do szkoły spotkałem swoich kolegów ubranych w wojskowe mundury, którzy wyraźnie na coś czekali.

– Czy coś się stało? – zapytałem zaciekawiony.

– Wstępujemy do Wehrmachtu. Jesteśmy dzisiaj ostatni dzień w szkole – odparł najstarszy.

– Od jutra zaczynamy służbę – dodał mój kolega z ławki, z którym znam się od wczesnego dzieciństwa.

– A ty Vincencie, nie dołączasz do nas? – usłyszałem głos wychodzącego z budynku szkoły Thomasa.

Thomas był najbardziej rozpoznawanym i cenionym uczniem w szkole. Jego osoba cieszyła się dużym uznaniem wśród chłopców. Z kolei jego ojciec był niezwykle wpływowym człowiekiem w mieście. Zatem każdy, kto nie zgadzał się z opinią jego syna, był skazany na docinki kolegów. Popatrzyłem na Thomasa, który pewny siebie stał na placu, czekając na odpowiedź.

– Przynosisz wstyd tej szkole i nie tylko. Jesteś zwyczajnym tchórzem, który boi się stanąć z bronią w rękę na polu walki. Niczego się tutaj nie nauczyłeś? – zadał pytanie w lekceważący sposób.

– Jaa... – próbowałem wydusić z siebie coś, co nadawałoby się do sytuacji.

Na całe szczęście naszą rozmowę przerwał dzwonek na lekcję. Mój przeciwnik odszedł bez słowa.

ROZDZIAŁ DRUGI

Na lekcji nie czułem się zbyt dobrze. W mojej głowie ciągle kotłowały się słowa wypowiedziane przez Thomasa: „Jesteś tchórzem, jesteś tchórzem!”. Powtarzałem sobie w myśli: „Nie jestem, nie jestem”, ale to wszystko było na nic. Nie mogłem się skupić, duchem dalej byłem na placu przed szkołą. Od czasu do czasu słyszałem tylko donośny głos naszego nauczyciela.

– Pamiętajcie! Świat zwierzęcy dzieli się na ludzi nordyckich oraz na zwierzęta niższe – Żydów. Niemcy są twórcami kultury, a Żydzi to jej niszczyciele – tłumaczył żywiołowo pan Wagner.

– Zatem każdy obywatel Rzeszy powinien starać się wyeliminować szkodników ze społeczeństwa! – mówił w przekonujący sposób pedagog. – Rasa żydowska stworzona jest do spiskowania. Ma na celu sprowadzenie zagłady na Rzeszę Tysiącletnią i przejęcie władzy nad światem.

Większość uczniów próbowała zapamiętywać jak najwięcej z codziennych przemówień pana Wagnera. Na zakończenie każdego wykładu nasz nauczyciel przytaczał słowa ministra edukacji Bernharda Rusta: „Waszą rolą nie jest decydować, czy coś jest, czy nie jest prawdą, lecz czy leży to w interesie Rewolucji Narodowosocjalistycznej”.

Wielu zagadnień na lekcjach pana Wagnera nie rozumiałem, a w szczególności, dlaczego Żydzi są postrzegani jako wrogowie ludzkości, jako nędzne robactwo, które należy dyskryminować? W prasie, na plakatach, wśród dzieci w szkole, na ulicy i w domu – wszędzie Żyd był wrogiem. Pomimo nienawiści, jaką pałali ludzie wobec kultury żydowskiej, wiedziałem, że w każdym człowieku jest światło, którego często nie dostrzegamy. I za wszelką cenę chciałem być wierny swoim przekonaniom oraz nie ulegać innym. Musiałem jednak nie okazywać tego w publiczny sposób, aby nie zwracać na siebie uwagi. Swoim zachowaniem próbowałem nie odróżniać się od innych zwolenników szerzącej się dookoła ideologii.

ROZDZIAŁ TRZECI

Na drodze do domu nie spotkałem już Thomasa. Odetchnąłem z ulgą, kiedy stanąłem przed drzwiami wejściowymi, ponieważ nie chciałem powrócić do nieprzyjemnej rozmowy sprzed dwóch godzin. Dobrze znałem swoje priorytety na przyszłość – nie marzyłem o karierze wojskowego na wzór mojego ojca. Chciałem po

prostu być zwykłym lekarzem, który ratuje istnienia ludzkie w tak trudnych czasach w jakich żyjemy.

Od zawsze interesowały mnie nauki ścisłe. Tematy związane z biologią czy chemią nie były dla mnie niczym niezrozumiałym. Uwielbiałem przychodzić do biblioteki i poszerzać swoją wiedzę w tych dziedzinach. Gdy byłem małym chłopcem, moi koledzy całymi dniami zajmowali się budową stelaży szybowców i śmigłowców, a ja w tym czasie budowałem z klocków poszczególne narządy człowieka, na podobieństwo tych przedstawionych w książkach. Muszę przyznać, że w tamtym czasie było to trochę dziwne, więc moi rodzice kupowali mi wiele przeróżnych zabawek, aby chociaż odrobinę zachęcić mnie do poznawania tajników sztuki wojkowej. Przecież syn generała nie może nie być zainteresowany sztuką wojenną, a jednak tak było. Zabijanie ludzi z jakichkolwiek przyczyn politycznych, było dla mnie sprzeczne z moją duchową moralnością. Uważałem, że każdy – zarówno Niemiec, jak i Żyd – jest człowiekiem stworzonym z tej samej gliny, więc każdemu należy się szczęście oraz wolność. Niektórzy ludzie mają w sobie mrok i z tego powodu w innych też widzą tylko mrok. Niosąc w sobie światło, możemy pomóc innym je dostrzec i zmieniać świat na lepsze.

Wróciłem do domu około godziny dwudziestej. Zostawiłem torbę z książkami w swoim pokoju i udałem się długim korytarzem do kuchni, gdzie czekali już na mnie rodzice. W kuchni panował półmrok. Na środku stołu stał mosiężny świecznik, który delikatnie rozświetlał sylwetki moich rodziców. Nogi stołu ugiwały się od przepysznych potraw przyrządzonych przez *Mutti*. Po wejściu do kuchni od razu poczułem smakowitą woń strucla jabłkowego z cynamonem i migdałami.

– *Guten abend!* – przywitałem się ochoczo.

– *Guten abend mein Sohn* – odpowiedział tata. – Długo się nie widzieliśmy. Opowiedz, jak wam minął czas pod moją nieobecność?

– zapytał, nabierając sobie kawałek pieczeni.

– Hmmm... chyba całkiem dobrze. Coraz lepiej idzie mi z matematyki, nawet algebra nie sprawia mi większych trudności – oznajmiłem z dumą.

– To dobrze – odrzekł oschle *Papa*. – Widzisz, razem z mamą zastanawialiśmy się nad przeniesieniem ciebie do innej szkoły. Pewnie za niedługo i tak będziemy musieli to zrobić. Mam na myśli Hitlerjugend – oświadczył.

W tej chwili zastygłem w bezruchu. Tata chce mnie wysłać do Hitlerjugend?

To wszystko, co się dzisiaj wydarzyło, zaczynało powoli mnie przerastać. *Mutti* nic się nie odzywała, patrzyła tylko na moją niezadowoloną minę.

– Tato, mówiłem ci już wiele razy, że nie planuję kariery wojskowej – podkreśliłem wyraźnie.

– Nie chodzi tutaj o żadną karierę, chodzi o pomoc swojej ojczyźnie. Każdy młody mężczyzna musi mieć chęć do stanięcia na polu walki. W innym wypadku staje się bezużyteczny wobec swojego kraju – wytłumaczył lekko zdenerwowany.

– Oczywiście można pomóc na wiele sposobów, niekoniecznie poprzez służbę wojskową. Chyba dobrze wiesz, jak bardzo brakuje lekarzy i sanitariuszy, którzy opatrywaliby rannych żołnierzy. Wydaje mi się, że w tym zadaniu mógłbym się dobrze sprawdzić.

– *Schweigen!* – uderzył ręką w stół *Papa*. – Dość już tego! Od dnia jutrzejszego będziesz chodził do Hitlerjugend, tak jak twoi znajomi, czy ci się to podoba, czy też nie.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po kolacji, którą zjedliśmy w ciszy, poszedłem do swojego pokoju na piętrze. Byłem przekonany, że każde próby namówienia rodziców do zmiany decyzji będą bezskuteczne. Tata twardo trzymał się swoich postanowień. Łatwiej byłoby przekonać mamę, jednak w tej sprawie również byłaby nieugięta.

Całą noc nie spałem, bijąc się z myślami. Co zrobić w takiej sytuacji? Jeżeli dojdzie do skutku przeniesienie mnie do Hitlerjugend,

to za parę tygodni będę stał na polu bitwy z bronią w ręku. Na początek przejdę kilka szkoleń strzeleckich i taktycznych, a potem razem z inną młodzieżą zostanę wcielony do dywizji, która walczy na linii frontu. Nie mogłem dopuścić do takiego obrotu sprawy, jedynym rozwiązaniem, które przyszło mi do głowy, była ucieczka z domu. Czy wyjechać z domu rodzinnego bez słowa, czy zostać wcielonym do armii? Nie miałem czasu, żeby się zastanowić, więc wybrałem to, co w tej sytuacji wydawało mi się słuszne. Spakowałem do plecaka najpotrzebniejsze rzeczy i napisałem krótki list, który zostawiłem w swoim pokoju.

Wonnenberg, 20 czerwca 1942

Kochani Rodzice!

Pragnę Was przeprosić za moje zachowanie, jednak nie miałem innego wyboru. Nie byłbym w stanie kogokolwiek skrzywdzić, co gorsze zabić. Moje serce podpowiada mi inaczej, a Ty Mamo, mówiłaś, że zawsze należy słuchać jego głosu. Wiem, jak wiele bólu Wam sprawiam, ale proszę wybaczyć mi.

*Wasz kochający syn
Vincent*

Tę noc spędziłem po raz ostatni w swoim pokoju. Wczesnym rankiem wymknąłem się niepostrzeżenie i ruszyłem na stację kolejową. Nad miastem spoczywała jeszcze gęsta mgła. Gdzieś tam można było dostrzec promyki wschodzącego słońca. Cała okolica pogrążona była w słodkim śnie. Szedłem równym krokiem, nie zatrzymując się na rozwidleniach dróg, aby nie zabił się i zdążyć na pierwszy możliwy pociąg.

Kiedy dotarłem na peron, zauważyłem, że oprócz mnie również kilku żołnierzy czekało na pociąg. Po chwili usłyszałem głośny dźwięk i zobaczyłem smugę światła uderzającą od nadjeżdżającej lokomotywy. Kilka minut później siedziałem samotnie w prze-

dziale, obmyślając dokładny plan działania. Najpierw, jeżeli mi się uda, to dojadę z przesiadkami do francuskiego Aubervilliers-aux-Bois. Jest to małe miasteczko, które leży w wolnej strefie, kilkanaście kilometrów od Lyonu. Stamtąd pójde pieszo do Danneville, gdzie kiedyś spędzałem wakacje. Mieliśmy tam domek letniskowy, otoczony bajkowym lasem bukowym. Niedaleko nas mieszkała rodzina Lafleurów, z którą się zaprzyjaźniliśmy. Poznałem tam ich syna Charlesa. Niestety, tata sprzedał domek kilka lat temu, ale z tego, co wiem, Lafleurowie mieszkają tam do dzisiaj. Na pewno podadzą pomocną dłoń staremu przyjacielowi w potrzebie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Spędzając czas w pociągu, myślałem o rodzicach. Co powie tata, kiedy przeczyta list? Może zacznie mnie szukać? Jaka będzie reakcja mamy? Pytania nieustannie napływały mi do głowy. Zastanawiałem się, czy na pewno dobrze postępuję, uciekając z domu. Z drugiej strony mam już piętnaście lat, potrafię zdecydować, co jest dla mnie dobre, a co nie.

Po kilku godzinach jazdy czekała mnie pierwsza przesiadka. Zabrałem swój plecak i poszedłem wypatrywać na stacji kolejnego pociągu. Czekając na dworcu, zaobserwowałem tłumy kobiet, które z bólem żegnały bliskich wyjeżdżających na front. W pewnym momencie zauważyłem *eine Frau*, która ze łzami w oczach przytulała młodego chłopca w moim wieku. Domyśliłem się, że to jej syn. Kobieta ubrana była w bordową sukienkę do kolan, ozdobioną bufiastymi rękawami. Na głowie miała kapelusz, który lekko opadał na nieupięte kosmyki włosów. Wyglądem bardzo przypominała moją *Mutti*. „Chciałbym się znaleźć w jej objęciach i zapomnieć o wszystkich problemach” – myślałem. Ale na razie żadna z tych rzeczy nie mogła się spełnić.

Po długim czekaniu na stacji nadjechał kolejny pociąg, którego trasa prowadziła bezpośrednio do miasteczka Aubervilliers-aux-Bois. Tym razem był to pociąg towarowy, więc komfort podróży

znacznie różnił się od poprzedniego. Znalazłem trochę miejsca w jednym z wagonów, usiadłem na worku wypełnionym zbożem i postanowiłem się przespać. Przede mną była jeszcze długa podróż, a wstałem z łóżka bardzo wcześnie. Zatem usadowiłem się wygodnie, oparłem głowę na plecaku i natychmiast pogrążyłem się we śnie. Długo wyczekiwaną drzemkę przerwał mi hałas dochodzący z zewnątrz.

– Miasto jest oblężone, musimy tutaj wysiadać! – krzyknął maszynista.

Szybko się przebudziłem i otworzyłem przesuwane drzwi wagonu. Moim oczom ukazał się przerażający widok. Miasto stało w płomieniach! Wszędzie dookoła leżały gruzy i zwaliska ze zbombardowanych kamienic. Ulice przemieniły się w cmentarze, na których leżały ludzkie ciała. Wśród dymu i zgiełku można było zobaczyć sylwetki biegających żołnierzy i wolontariuszy. Całemu zdarzeniu towarzyszyły głośnie jęki syren wyjących na alarm. W mgnieniu oka wyskoczyłem z pociągu i pośpiesznie pobiegłem do najbliższego okopu. Po drodze zderzyłem się z paroma żołnierzami, którzy próbowali ocalić to, co jeszcze zostało w wyniku niemieckiego ataku. Szybko zeskoczyłem w dół okopu i wziąłem głęboki oddech. Byłem tak zaskoczony błyskawicznym rozwojem wydarzeń, że musiałem chwilę odpocząć. Usiadłem pod usypaną z ziemi ścianą i rozejrzałem się po wnętrzu długiego, wąskiego okopu. Było w nim sporo ludzi, głównie cywili, którym udało się uciec z prawdziwego piekła. Znajdowało się tam także kilku poranionych żołnierzy. Czułem się w obowiązku im pomóc, jako że moim marzeniem była służba lekarska. Wyciągnąłem więc z plecaka kilka bandaży i opatrunków, które zabrałem z domu. Opatrzyłem wszystkim poszkodowanym rany, chociaż miałem przecucie, że bez podania morfiny to może nie wystarczyć.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Całą noc spędziłem w okopie, ponieważ chciałem poczekać aż sytuacja na zewnątrz się uspokoi. W mroku nasłuchiwałem szumu nocnych nalotów płynących nad miastem. Kiedy przebudziłem się nad ranem, poczułem narastający głód. Zjadłem kawałek suchego chleba i opuściłem podziemny korytarz. Świat na powierzchni wyglądał tak, jakby czas się zatrzymał. Panowała głęboka cisza. Miasto było praktycznie zrównane z ziemią. Miejscami były tylko gruzy zburzonych kamienic.

Udałem się dalej w pieszą wędrówkę do sąsiedniego miasteczka – Lambouillet, gdzie znajdowała się stacja kolejowa. Nie miałem pewności, czy miasto, do którego zmierzam, nie jest właśnie bombardowane, ale musiałem zaryzykować. Szedłem wytrwale przez łąki, polany i wiejskie drożyny, omijając główne drogi. Kierowałem się zgodnie z planem na południowy zachód. Na całe szczęście Lambouillet było jeszcze częściowo wolnym od niemieckiej okupacji miastem. Jadąc pociągiem, rozmawiałem z członkiem ruchu oporu, który opowiedział mi o realiach życia w okupowanej Francji. – Z pewnością śledzisz rozwój wydarzeń w strefie okupowanej – zaczął relacjonować. – Muszę jednak powiedzieć, że sytuacja jest dużo gorsza, niż się to oficjalnie przedstawia. Żydom każą nasytywać na ubraniach żółte gwiazdy. Dzieci żydowskie nie mogą chodzić do szkoły, a ich rodzice nie mają pracy. Ciągłe mówi się też o łapanekach, które mają miejsce każdego dnia na ulicach. Mój dziadek był Żydem, więc to, co dzieje się w naszym kraju, jest mi bardzo bliskie – wyznał zasmucony. – Trochę lepsza sytuacja panuje w wolnej strefie w Vichy, gdzie rząd ma swoją siedzibę – zakończył André.

André przez chwilę milczał. Nie próbowałem siłą na niego naciskać, ponieważ domyśliłem się, że są to trudne tematy. Wyciągnąłem więc z plecaka drożdżówkę i przełamałem ją na pół, podając kawałek nowemu znajomemu.

– Dziękuję ci. Już chyba zapomniałem, jak smakuje prawdziwa drożdżówka – uśmiechnął się, kosztując wypieku.

Następnie wydobyl z kieszeni w spodniach zgiętą na pół, pożółkłą kartkę.

– To moja rodzina – wskazał na fotografię. – Mam wspaniałą żonę i piątkę dzieci, niestety od bardzo dawna ich nie widziałem. Chciałbym jeszcze raz wziąć w objęcia moje pociechy, poczuć zapach domowego ciasta i ciepło bijące z kominka oraz spędzić rodzinnie wieczór na werandzie przed domem – rozmarzył się *maquisard*.

Obejrzałem uważnie fotografię i zauważyłem różnicę pomiędzy mężczyzną na zdjęciu a tym, który siedzi naprzeciwko mnie. Na obrazku André wyglądał na szczęśliwego człowieka, który w obecności swoich bliskich staje się silniejszy na duchu. Natomiast obecnie przypominał osobę, która nie tylko wiele zobaczyła, ale i wiele doświadczyła w czasie wojny. Jego postawa była symbolem patriotyzmu i nadziei na odzyskanie utraconej wolności. Na koniec naszej rozmowy dodał:

– Kiedyś wojna była dla mnie tylko zwykłymi nagłówkami w gazetach, ale teraz, gdy wszystko dzieje się naprawdę, zrozumiałem, **do jakiej nienawiści zdolni są ludzie, jak wiele odwagi wymaga... dobroć.**

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Podczas podróży do Aubervilliers-aux-Bois podawałem się za mieszkańca Danneville, aby nikt nie podejrzewał, że jestem niemieckim szpiegiem albo agentem. Potrafiłem także świetnie mówić po francusku, ponieważ tak jak wspominałem wcześniej, każde wakacje spędzałem we Francji. Z tego powodu na tyle swobodnie posługiwałem się tym językiem, że można było uwierzyć w moją wymyśloną historię.

Do Aubervilliers dotarłem pociągiem już bez żadnych problemów. Miałem sporo szczęścia, ponieważ nazajutrz Niemcy wysadzili część torów prowadzących do tego miasteczka. Wysiadłem z pociągu i ruszyłem pieszo do wsi, w której spędzałem swoje dzie-

ciństwo. Starałem się unikać chodzenia głównymi ulicami, aby zbytnio się nie narażać na spotkanie z żandarmami. Szedłem spokojnie przez łąki z wysoką trawą. Nagle zobaczyłem leżący na ziemi scyzoryk. Schyliłem się, żeby go podnieść, gdy niespodziewanie ktoś na mnie wpadł i przewrócił się, zaczepiając o moją nogę. Obok mnie siedziała na trawie dziewczyna, ubrana w ciemną, żakardową sukienkę. Miała na sobie także botki, które przypominały raczej buty robocze, gdyż całe były ubrudzone błotem. Jej włosy, naturalnie pofalowane, opadały delikatnie na ramiona. Na twarzy nieznajomej malował się niepokój. Dostrzegłem, że wyraźnie przed czymś ucieka. Dziewczyna jednakże nic nie mówiła, wpatrywała się tylko we mnie, łapiąc oddech. Serce waliło jej w piersi. Niepostrzeżenie kilka metrów dalej przejechał motocykl wojskowy, którym kierował żandarm. Nie zostaliśmy jednak zauważeni, dzięki skutecznie maskującej wysokiej trawie. Klęczałem nieruchomo, czekając na wyjaśnienia.

– Przepraszam, mam nadzieję, że nic ci nie zrobiłam. Nie dostrzegłam cię w tym buszu – wyjaśniła lekko zażenowana.

– Nic mi nie jest – odparłem z uśmiechem. – Tak w ogóle to mam na imię Vincent – przedstawiłem się.

– A ja Alice. W mojej szkole była dzisiaj łapanka na Żydów. Jako jedynej udało mi się uciec, ale dalej jestem poszukiwana – wytłumaczyła przerażona. A ty co tutaj robisz?

– Idę do moich dawnych znajomych mieszkających w Dannevil-lers. Będę musiał u nich na jakiś czas zamieszkać – opowiedziałem swój plan. – Nie jesteś tutaj bezpieczna, wszędzie kręcą się *gendarmes* – dodałem po chwili zastanowienia.

Alice sprawiała wrażenie bezradnej. Była małą myszką w pułapce, po którą zaraz przyjdzie kot i ją pożre. Pamiętałem dobrze słowa André o dobroci, która wymaga szczególnej odwagi. Dlatego postanowiłem, mimo ryzyka, ocalić Alice.

– Musisz pójść razem ze mną, zaufaj mi – szybko oznajmiłem. Dziewczyna nie miała innego wyboru. Nie mogła przecież zawrócić do miasta.

– Nie mamy niestety wiele czasu, za niedługo znowu zjawią się *gendarmes* – wtrąciłem.

Alice ruszyła za mną bez słowa. Próbowaliśmy podczas wędrówki wspierać ją na duchu, ponieważ była już bardzo wyczerpana. Szliśmy zatem ramię w ramię długi szmat drogi, zanim dotarliśmy do Dannevilliers.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Dobrze znałem drogę do domu państwa Lafleurów, którzy byli naszą ostatnią deską ratunku. Nie miałem natomiast pewności, czy zgodzą się, aby Alice mieszkała razem z nimi. Co więcej, nie miałem pewności, czy ja będę mógł tam zamieszkać. Po długiej i męczącej *le voyage* wszystko się wyjaśniło.

Kiedy trafiliśmy na miejsce, ujrzałem dobrze znany mi krajobraz. Pośrodku ogrodu wznosił się niewielki dom, otoczony drewnianym, porośniętym przez bluszcz płotem. Parkan ten oddzielał ogródek rodziny Lafleurów od pięknego lasu bukowego. Po drugiej stronie stał domek letniskowy, w którym spędzałem wakacje. Kiedyś było to niesamowite miejsce. Wszędzie dookoła rosły kwiaty, na werandzie przed domem postawiony był stolik kawowy i bujane krzesło, gdzie razem z rodzicami oglądaliśmy zachody słońca. Teraz domek nie przypominał w najmniejszym stopniu naszej ukochanej przystani. Wejście zarosło olbrzymimi krzakami, a okna były zabite deskami. Widać było, że nikt tu nie mieszka, aczkolwiek tata sprzedał ten dom dawno temu.

Razem z Alice weszliśmy po schodach i zapukaliśmy do drzwi domostwa państwa Lafleurów. Pani Édith otworzyła nam drzwi i powiedziała:

– *Bonjour*, w czym mogę pomóc?

– *Bonjour madame*, mam na imię Vincent, jestem synem Celine i Edmunda, razem z rodzicami mieszkalem podczas wakacji w tamtym domu. Na pewno *madame* mnie pamięta. Bawiłem się z pani synem – Charlesem – odrzekłem z nadzieją.

Twarz pani Lafleur momentalnie się rozjaśniła.

– Ach, pamiętam! Tak bardzo wyrosłeś, że w życiu bym cię nie poznała. – Opowiedz, co u was słychać? – poprosiła podekscytowana. Pani Édith również się zmieniła. Miała już sporo siwych włosów, a jej twarz pokrywały zmarszczki. Tylko słoneczny uśmiech, który poprawiał każdemu humor, pozostał taki sam.

– *Bonjour* – wychylając się zza rogu, przywitała się nieśmiało Alice.

– Ooo... czy to twoja przyjaciółka? – zadała pytanie gospodyni.

– W pewnym sensie. To dłuuuga historia – zaśmiałem się.

Pani Lafleur zaprosiła nas do salonu, gdzie opowiedziałem jej wszystko, co się wydarzyło. Nie kryła zdziwienia, że udało mi się tyle przeżyć w ciągu paru dni.

– Jak najbardziej możesz z nami zamieszkać – zgodziła się pani Édith – Pościelę ci zaraz łóżko w pokoju Charliego – rzekła.

– Czemu nie ma Charles’a ani pana Pierre’a w domu? – zagadnąłem z ciekawością.

– Pierre jest w pracy. A mój syn... zmarł dwa lata temu – zapłakała *madame*.

– Zachorował na zapalenie płuc. Bardzo się męczył, miał wysoką temperaturę i bóle w klatce piersiowej. Po dwóch tygodniach choroby zmarł – szepnęła ze smutkiem.

– Tak mi przykro, pani Lafleur. Nie miałem pojęcia, że...

– Nic nie szkodzi. Nie mam ci tego za złe – przerwała mi kobieta.

– Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę, mów mi po prostu Édith. Nie lubię, kiedy ktoś nazywa mnie *madame*, czuję się wtedy dużo starsza niż w rzeczywistości – wtrąciła z uśmiechem.

– Nie ma sprawy – stwierdziłem. – Tylko co zrobimy z Alice?

– Tutaj zaczynają się schody, ponieważ zbyt ryzykowne jest, aby zamieszkała w domu. W każdej chwili mogą przyjechać żandarmi. Wydaje mi się, że w twoim starym domku letnim byłaby bezpieczna. Od dawna nie przyjeżdżają tam właściciele. Jest on całkowicie opuszczony. Pierre czasami tylko kosi tam trawę – przedstawiła rozwiązanie Édith.

Kiedy Pierre wrócił z pracy, poszliśmy do poniszczzonego budynku przygotować Alice miejsce, w którym będzie mogła się ukrywać, a zarazem spędzać czas. Z tyłu domu były schody prowadzące na

poddasze. Na poddaszu było sporo słomy, na której zrobiliśmy jej postanie. Było tam również biurko, krzesło i kilka mebli w bardzo złym stanie. Wewnątrz smętnie zwisały pajęczyny i szeleściły uciekające myszy. Żał mi się zrobiło Alice, która będzie musiała tutaj przynajmniej przez jakiś czas mieszkać. Dla niej też było to trudne. Jeszcze wczoraj biegała z koleżankami po szkolnym korytarzu, a dzisiaj oddzielona od rodziców musi żyć w odosobnieniu.

– Wybacz, kochanie, ale nierozważnie byłoby cię ulokować w naszym domu – pocieszała dziewczynę Édith.

– Jest dobrze – odparła rzeczowo Alice. – Mam u pani spory dług wdzięczności.

– **W mrocznych czasach drobne rzeczy przypominają nam o naszym człowieczeństwie** – oświadczyła wolno kobieta.

– Mam też pewne podejrzenia co do sąsiadów mieszkających w tamtym domu – wskazała przez dziurę w dachu. – Wydaje mi się, że kolaborują z Niemcami. Od jakiegoś czasu niezwykle rzadko opuszczają dom. Pani Beaumier i jej mąż są już w przeszłym wieku, dlatego codziennie przynoszą im trochę świeżego mleka i bochenek chleba. Produkty znikają spod drzwi, jednak nikogo nie widać na werandzie. Czasami tylko zauważam, jak zaglądają przez okno w kuchni. Ich zachowanie wydaje się podejrzane. Musimy mieć się na baczności, kiedy będziemy przychodzić na poddasze, aby nie wzbudzić naszym postępowaniem ich czujności – wyjaśniła.

Édith i Pierre byli zwykłymi ludźmi, którzy zaryzykowali swoje życie, aby pomóc Alice. Nie każdy potrafiłby się tak poświęcić dla drugiego człowieka. Ich postawa symbolizuje osoby, które nawet w obliczu zagłady udzielały pomocy ukrywającym się Żydom.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Nie wiem... jak ci dziękować, Vincencie. Uratowałeś mi życie. Nie jesteś taki, jak ci, którzy mnie skrzywdzili. Potrafisz przeciwstawić się złu, nawet jeśli wymaga to od ciebie dużej odwagi.

– Och, już dobrze, na moim miejscu postąpiłabyś tak samo – odpowiedziałem trochę speszony.

– Ja nie byłabym na tyle silna, aby wyłamać się z tłumu i zrobić to, co uważam za słuszne – wyznała.

Mieszkając z Lafleurami, pomagałem Pierre’owi w pracach polowych, ponieważ starałem się chociaż trochę odwdziaczyć się za ich dobroć. Z Alice spędzałem każdą wolną chwilę, w ciągu kilku tygodni zdążyliśmy się bardzo dobrze poznać. Alice, jak się okazało, była w moim wieku. Poza tym oboje mieszkaliśmy z dala od rodziców i mieliśmy podobne przeżycia. Chociaż różniliśmy się wyglądem, byliśmy tacy sami w środku.

Razem z Lafleurami próbowaliśmy sprawić, aby życie Alice na poddaszu było znośne. W sumie to państwo Lafleurowie byli dla nas jedyną rodziną. Pani Édith troszczyła się o Alice. Przynosiła jej czyste ubrania, książki i koszyk z pysznościami. Można powiedzieć, że stała się dla niej drugą *maman*.

– Wiem, że jest ci trudno, *chérie*, ale musisz być silna – pocieszała Allie, przytulając ją do siebie. – Wkrótce znowu zobaczysz swoich rodziców, a do tego czasu się tobą zaopiekujemy.

Alice miała nadzieję, że po zakończonej wojnie spotka się z rodzicami, tak jak mówiła Édith. Pozostawało jej tylko w to wierzyć, ponieważ nic innego nie była w stanie zrobić. Pierre, będąc w mieście, usiłował dowiedzieć się czegoś więcej o jej rodzicach, jednak na próżno. Podejrzewano, że w ten sam dzień, w którym była łapanka w szkole Alice – Ecole Lafayette, musiało przyjść po nich gestapo.

Moja przyjaciółka miała niepowtarzalny talent poetycki. W zeszyście, który dostała od Édith, zapisywała swoje wiersze oraz opowiadania. W swojej twórczości najczęściej wykorzystywała symbol ptaka, który jest wolny i niezależny. Wyobrażała sobie, że kiedyś rozwinie skrzydła tak jak on i zostanie sławną pisarką. Oboje lubiliśmy też grać w karty, szczególnie w belotkę.

– Nie rozumiem, dlaczego ciągle wygrywasz. Zastosowałam taktykę, która zawsze przynosiła mi zwycięstwo – żaliła się po każdej przegranej.

– Po prostu dobrze umiem przewidzieć twoje ruchy, głuptasie – zażartowałem.

– Tak czy owak, chociaż raz chciałabym wygrać. Zagrajmy ostatni raz. Zgoda? – poprosiła Alice.

– Dla ciebie wszystko.

Każdego dnia przychodziłem na poddasze, aby dotrzymywać Alice towarzystwa. Graliśmy wspólnie w karty, żartowaliśmy oraz czytaliśmy książki, które przynosiła Édith. Były to stare, szkolne podręczniki Charles’a. W końcu nie chodziliśmy od dawna do szkoły. Musieliśmy zatem jakoś nadrabiać opuszczone lekcje.

Alice najbardziej nudziła się, rozwiązując zadania z matematyki i chemii.

Jej umysł nie pozwalał ani na jedną chwilę skupienia. Ciągłe rozmarzona wyglądała przez dziurę w dachu, gdy ja próbowałem jej coś wytłumaczyć.

– Popatrz, a do kwadratu plus b do kwadratu... Allie! Spróbuj się skoncentrować! – powtarzałem wiele razy.

– Już dobrze, dobrze, zapatrzyłam się na tamtego ptaszka siedzącego na gałęzi. Widzisz? Wygląda, jakby nas obserwował – mówiła zachwycona. – To nie w porządku, że każesz mi się uczyć matematyki, gdy mamy taki piękny, słoneczny dzień – odparła oburzona.

– Nie każę, tylko cię zachęcam – sprostowałem cierpliwie. – Jeżeli chcesz, to możemy pouczyć się czegoś innego.

– Oooo nie – mówiła stanowczo. – Na dzisiaj już tyle wystarczy. Mam za to dużo lepszy pomysł. Pobawmy się w wymyślanie zabawnych historii. Ja zaczynam – powiedziała ożywiona Alice.

– Niech będzie – niechętnie się zgodziłem.

– Otóż dawno temu, kiedy byłam jeszcze mała...

– To rzeczywiście dawno temu – zachichotałem.

– Ciiiiii – wskazała palcem na usta Allie. – Jesteś okropny! Wystarczy, że użyjesz swojej wyobraźni. Rzeczywistość ma ograniczenia, a wyobraźnia nie ma żadnych granic – oznajmiła nadąsana.

– Wybacz *madame*, ale wydaje mi się, że nie posiadam takiej umiejętności – przybrałem poważną minę.

Oboje wybuchliśmy głośnym śmiechem. Kiedy spędzaliśmy razem czas, zapominaliśmy o mrokach terażniejszości. Byliśmy wtedy zwykłymi nastolatkami, którzy nie przejmują się kłopotami związanymi z wojną. Odcinaliśmy się od świata wypełnionego bólem i niesprawiedliwością oraz wchodziliśmy w naszą własną, wykreowaną rzeczywistość.
[...]

EPILOG

Alice udało się uciec przed hitlerowcami. Dzięki podziemnej grupie oporu walczącej z nazistami została przeszmuglowana do Jeruzolimy. Tam mieszkała do końca wojny.

Po wojnie zaczęła jeszcze w większym stopniu rozwijać swój talent poetycki. Chodziła do szkoły artystycznej, a później na studia dziennikarskie. Napisała wiele interesujących utworów, bazując na zdobytym w czasie zagłady doświadczeniu. W swojej twórczości poruszała tematy pacyfistyczne, zachęcając czytelników do niesienia pomocy innym, nawet jeśli wymaga to od nas poświęcenia. Jej ostatnie dzieło przedstawiało historię młodości poetki. Opowiedziała w nim o osobach, które poświęciły dla niej swoje życie. Pomogły jej przetrwać nawet najmroczniejsze momenty i za to spotkała je kara. Mówiła o wielkim sercu i nadziei, jaką dostała z całkowicie niespodziewanej strony – od syna niemieckiego oficera, który był w stanie zrobić wszystko, aby ją uratować. To największe dzieło Alice zakończyła słowami: **„Z czasem zapominamy wiele rzeczy, ale nigdy nie zapominamy dobroci... ani miłości, one już będą z nami zawsze”**.

OD AUTORKI

Główną inspiracją do napisania tego opowiadania była dla mnie książka autorstwa R. J. Palacio pt. „Biały ptak” oraz nakręcony na jej podstawie film. W swoim utworze wykorzystałam także trzy

cytaty tej autorki. Ponadto historia jest inspirowana ekranizacjami, które obejrzałam, m. in. „Przełęcz ocalonych”.

Mam nadzieję, że ta opowieść skłoni każdego czytelnika do refleksji i zastanowienia się nad przeszłością, ponieważ: „Kto nie pamięta historii skazany jest na jej ponowne przeżycie” – George Santayana.

Patrycja Brej (Róża), kl. 7
Szkoła Podstawowa w Samokłeskach
Cienie wojny i miłości

Na polach bitew, gdzie ziemia była nasiąknięta krwią, a powietrze przesycone zapachem spalenizny i metalu, pojawiał się Ares – bóg wojny. Jego postać wyłaniała się z mroku jak duch niespokojnych czasów, a oczy płonęły żądzą walki i destrukcji. Każdy krok, każdy ruch jego miecza niósł śmierć i chaos. Wojna była jego żywiołem, jego światem. Ares wciągał w płuca powietrze przesiąknięte rozpaczą, a jego serce biło w rytmie bębnów wojny. Mimo tego, coś w jego wnętrzu zaczynało pękać. Z każdą kolejną bitwą czuł, jak rodzi się w nim niepokój, jakby mrok, którym się otaczał, zaczął go pożerać.

Noc spowijała pobojuwisko, przynosząc ciszę, ale nie była to cisza ukojenia. To była cisza przed kolejną burzą, przed kolejnym rozlewem krwi. Ares stał na wzgórzu, obserwując zgliszcza. Jego spojrzenie błodziło po martwych ciałach, a w jego umyśle pojawiały się pytania, na które nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Był bogiem wojny, a jednak czuł pustkę.

Z mroku wyłoniła się Afrodyta. Jej postać promieniała delikatnym światłem, a każdy jej ruch przypominał taniec, w którym łączyły się piękno i smutek. Jej oczy były pełne troski, a twarz, choć piękna, nosiła ślady zmartwień. Afrodyta była boginią miłości, ale tego wieczoru wyglądała jak strażniczka zagubionych dusz.

– Aresie! – przemówiła, a jej głos był jak szept wiatru wśród ruin – świat, który znamy, tonie w ciemności. Erebos rozciąga swoje

macki, pochłaniając wszystko co piękne i dobre. Miłość i pokój są zagrożone. Musisz mi pomóc – Ares spojrzał na nią z chłodnym wyrazem twarzy. W jego oczach błyskał gniew, ale również coś jeszcze – cień wątpliwości.

– Dlaczego miałbym ci pomóc? Miłość nie ma miejsca na polu bitwy. To wojna rządzi światem. – Afrodyta zbliżyła się do boga, a jej blask rozpraszał mrok wokół nich.

– Bez miłości nawet wojna traci sens. Erebos chce pogrążyć świat w wiecznym mroku. Jeśli mu na to pozwolisz, nic już nie będzie miało znaczenia, nawet ty.

Ares zacisnął szczękę, czując, jak w jego sercu rodzi się sprzeczność. Przez chwilę cisza zawisła między nimi, a jedynie szum wiatru przypominał o przemijającym czasie.

– Jeśli to prawda – powiedział w końcu – to musimy działać. Ale nie łudź się, Afrodyto. Nie robię tego dla miłości. Robię to, by ocalić wojnę.

Wyruszyli razem na wyprawę, której celem było pokonanie Erebośa. Ich droga prowadziła przez ciemne lasy i spalone wioski, gdzie cień mroku kładł się na ziemi niczym duszący całun. Każdej nocy cienie ożywały, szepcząc o upadku bogów i końcu świata.

W pewnym momencie ich drogi skrzyżowały się z Ateną, boginią mądrości. Jej postać jaśniała złotym blaskiem, a jej oczy były pełne przenikliwości.

– Aresie, Afrodyto – powiedziała spokojnie – Erebos jest potężny, ale nie niepokonany. Musicie połączyć siły – potęgę wojny i moc miłości. To jedyna droga.

Podążając za jej radą, wyruszyli dalej, spotykając Hermesa, posłańca bogów, który przyniósł im wieść od Zeusa.

– Czas jest krótki – ostrzegł. – Erebos zbiera siły, by uderzyć w samo serce Olimpu.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie cienie były najgłębsze. Tam, w sercu ciemności, czekał Erebos – uosobienie mroku. Jego obecność zdawała się pochłaniać światło, a jego oczy były jak dwie czarne otchłanie, które nie miały końca.

– Aresie – przemówił Erebos, jego głos brzmiał jak szum umiერającego wiatru. – Przyłącz się do mnie. Zostaw miłość i światło. Razem stworzymy świat zbudowany na wojnie i ciemności.

Ares uniósł miecz, a jego spojrzenie było twarde.

– Nigdy. Wojna nie istnieje bez światła, bez celu. Miłość daje sens nawet śmierci. A ty... Ty przynosisz tylko pustkę.

Walka rozpoczęła się z impetem. Erebos przybrał postać cienia, który zdawał się być wszędzie i nigdzie. Afrodyta walczyła u boku boga wojny, jej blask rozpraszał mrok, a obecność dodawała Aresowi sił.

Cienie zaczęły otaczać ich coraz gęściej, a z każdą chwilą wydawało się, że mrok zwycięża. Afrodyta, widząc zmagania Aresa, zbliżyła się do niego i położyła dłoń na jego piersi.

– Nie walcz sam – powiedziała cicho. – Miłość jest twoją największą bronią.

Ares spojrzał w jej oczy i zrozumiał, że to co czuł, to nie tylko gniew, ale również coś głębszego – miłość. Z nową siłą uderzył w Erebosa, a jego miecz rozbłysnął światłem tak jasnym, że cienie zaczęły ustępować. Afrodyta dołączyła do niego, a ich wspólna moc była nie do powstrzymania.

Ostateczny cios zadał Ares, a Erebos zniknął w mroku, który rozwiął się jak dym. Światło powróciło, a wraz z nim nadzieja. Ares spojrzał na Afrodytę, a jego serce wypełniło się czymś, czego wcześniej nie znał. Był bogiem wojny, ale teraz wiedział, że miłość nadaje sens każdej walce.

Marta Mąka (Muzyka), kl. 8
Niepubliczna Szkoła Podstawowa w Jarocinie
Mała Tereska to moja babcia

Ta historia będzie o dziewczynce, która urodziła się w czasie II wojny światowej i nie miała tak łatwego życia jak my teraz. Poznajcie Tereskę. To moja babcia. Przyszła na świat w Cielczy – wiosce pod Jarocinem – miesiąc po wybuchu II wojny światowej. Ten okrutny czas przeżyła jako mała dziewczynka. Pamięta biedę i tęsknotę za ojcem, którego nie zdążyła poznać, ponieważ zanim się urodziła, ten poszedł walczyć o niepodległą Polskę.

Znam tę historię, gdyż babcia często do niej wraca. Lubię jej słuchać. Oglądamy wówczas wspólnie stare fotografie. Są już pożółkłe i mają poszarpane brzegi, ale to nie ma znaczenia. Pijemy wtedy pyszną herbatkę, podaną w porcelanowych filiżankach, ustawionych na stoliczku przykrytym haftowaną serwetą. Ten smak będę pamiętać już zawsze, a wraz z nim pozostanie nasza rodzinna opowieść.

A było to tak... Zanim mój pradziadek Jan wyruszył na wojnę, służył w wojsku w Pleszewie. W styczniu 1934 roku ożenił się z prababcią Józefą. Po dwóch latach wybudował dom w rodzinnej Cielczy. Ciężko na to pracował w pobliskiej cegielni. Dom nie był jeszcze wykończony, do zamieszkania przygotowany był tylko pokój z kuchnią. Była tu tzw. koza, ogrzewająca dom oraz piec, na którym mama przyrządzała posiłki. W budynku brakowało także bieżącej wody, a toaletę umiejscowiono na dworze.

Pradziadkowie żyli skromnie, ale szczęśliwie. Kiedy w sierpniu 1939 roku Jan poszedł na wojnę miał 33 lata. Razem z Józefą wychowywali dwie córki. Starsza – Halina – miała pięć lat, młodsza – Kazia – dwa i pół roku. Wkrótce na świat miała przyjść Tereska. Jan nie zdążył jej jednak poznać, gdyż przed porodem żony został wcielony do armii. Pieszko szedł pod Warszawę walczyć o wolną Polskę. Najpierw – przeciwko agresji Niemiec, a od 17 września – ZSRR.

Kampania wrześniowa trwała nieco ponad miesiąc. To był początek II wojny światowej, a jednocześnie początek rozstania moich pradziadków i ich dzieci na ponad pięć lat. Po kapitulacji Niemiec Jan został jeńcem zesłanym na przymusowe roboty. Był parobkiem w Prusach Wschodnich pod Królewcem u niemieckiego rolnika, tzw. bauera. W ciągu całej wojny mój pradziadek przyjeżdżał do domu w Cielczy tylko jeden raz. Tereska nie pamięta tego momentu, była za mała. Podobno przybył pociągiem do Radlina i stamtąd szedł pieszo aż do domu w Cielczy.

Następnym razem – w marcu 1945 roku – wrócił do rodziny już na dobre. Ten moment Tereska pamięta już doskonale. Wtedy bowiem po raz pierwszy poznała ojca. Wspomina, jak sąsiadka, która jechała z Jarocina, przybiegła do ich domu powiedzieć, że pradziadek podąża z dworca w Jarocinie. Wtedy całą rodziną wyszli na powitanie Jana.

– Miałam na sobie drewniane buty – babcia zawsze tak wspomina tę historię.

Prababcia Józefa musiała być silną kobietą, radząc sobie sama w czasie wojny. Będąc w ciąży, uciekała z córkami i innymi mieszkańcami do Wilkowyi, ponieważ przez Cielczę miał przejść front do Poznania. – Schowali się w lesie pod Wilkowyją, ale na drugi dzień wrócili do domów. Jak się okazało, był to tylko fałszywy alarm – opowiada babcia Tereska.

W czasie wojny, w prawie każdym domu w Cielczy, mieszkali rodziny niemieckie.

– To chyba byli ci, co ze wschodu pouciekali – mówi babcia, która dziś ma 84 lata. – U sąsiadów mieszkali, naprzeciwko też mieszkali Niemcy. W każdym domu był pokój z kuchnią. Był też drugi pokój, który zajmowali Niemcy – opowiada dalej. – A u nas właśnie nie mieszkali, bo im się nie podobało. Ojciec tylko wykończył pokój i kuchnię, a ten drugi pokój nie miał podłogi, ziemia była. I tu, jak Niemcy przyszli, mówili, że nie, nie, że tu nie będą mieszkać. Później nawet założyli podłogę, ale taką z surowych desek, bez „szpunt” – jak to mówią. Założyli tę podłogę, ale i tak nikt tu

nie zamieszkał u nas. Jak ojciec wrócił z wojny, to drewno z podłogi wykorzystał na wrota do stodoły – tłumaczy.

Podczas jednej z naszych pogawędek dowiedziałam się, że kiedy sąsiedzi robili porządek po ucieczce Niemców na zachód, pod kołodrą znaleźli dużą broń.

– Tak się wtedy wystraszyli – wspomina babcia.

Mówi, że Niemców wywozili pod Leszno wozami konnymi z kołami sztabowymi.

– Jakimi kołami? – dopytuję i zaraz dowiaduję się, że nazywano tak drewniane koła.

Babcia Tereska często powtarza, że w czasie wojny była wielka bieda. Jak zatem z tą biedą radziła sobie kobieta z trójką małych dzieci?

– Jak chleba brakowało, to w młynku od kawy mama miała zboże i robiła placki, na płycie pieca pieczone – wspomina babcia Tereska. – Mieliśmy pół hektara pola. To było mało, ale samemu się tego nie dało obrobić i trzeba było nająć gospodarza, który miał konia. W zamian my musiałyśmy odrobić u tego gospodarza, np. przy „hakaniu” buraków – wyjaśnia dokładnie. – Żniwa kosami kosili, kobiety snopki wiązały i tak trzeba było sobie jakoś radzić. Ciężkie czasy były – wzdycha.

Babcia pamięta też kartki z przydziałem cukru.

– Mama robiła z dyni marmoladę – wspomina.

Do tej pory Tereska lubi dynię i często robi nam supę mleczną z dyni, za którą my nie przepadamy, ale to przecież smak z babci dzieciństwa.

Rodzina miała jedną kozę. Do dziś babcia podkreśla, że wszystkie trzy siostry żyją tak długo, ponieważ wychowały się na kozim mleku. Halina zbliża się do dziewięćdziesiątki, Kazia ma osiemdziesiąt siedem, a Tereska – osiemdziesiąt cztery lata.

– Nie było szkoły, więc jak dzieci uczyły się czytać? – pytam babcię.

– Starsza siostra uczyła się z książeczki do nabożeństwa – odpowiada. – W ogóle wszystkiego uczyłyśmy się w domu, a jak miałam starsze siostry, uczyłam się z nimi – dodaje. – W tamtych czasach nie było jeszcze zabawek.

– Co w takim razie robiły dzieci w trakcie wojny? – pytam zaskoczona.

– Wszystkie nasze zabawki same robiłyśmy. Pamiętam, jak urywałyśmy ze świerku gałązki i stawiałyśmy je pod oknami, żeby ładnie wyglądały. Składałyśmy również ptaszki z papieru – oznajmia Teresa, powracając wspomnieniami do dzieciństwa.

Babcia opowiada mi też historię zestrzelenia samolotu „Karaś”. Wydarzenie miało miejsce 3 września 1939 roku niedaleko domu, w którym mieszkała. Z palącego się samolotu polskich pilotów ratowali wycofujący się żołnierze 15. Pułku Ułanów, którzy w tym czasie znajdowali się w pobliżu. W katastrofie zginęło dwóch lotników 34. Eskadry Rozpoznawczej, należącej do 3. Pułku Lotniczego, funkcjonującego w ramach Armii Poznań. Dla upamiętnienia tego wydarzenia przy Szkole Podstawowej im. Bohaterów Westerplatte w Cielczy odsłonięto okolicznościowy kamień, pod którym mieszkańcy miejscowości oddają hołd bohaterom II wojny światowej. To jedna z wielu lekcji, którą odrobiłam wspólnie z małą Tereską – moją kochaną babcią.

Poza zdobyciem ogólnej wiedzy na temat rzeczywistości II wojny światowej rozmowa z babcią przybliżyła mi losy naszej rodziny, która została rozdzielona przez wyżej wspomniane zdarzenie. Szczęście, że po wojnie Józefa, Jan i trzy córki znów mogli być razem.

Dom, o którym opowiadała mi babcia, jest teraz moim rodzinnym domem. Mieszkam tu z rodzicami, bratem i babcią Tereską. Budynek jest rozbudowany, wszędzie ma podłogi, ale wiem, gdzie dokładnie był pokój i kuchnia z piecem, o których opowiada mi babcia. Zamiast drabiny mamy schody, po których wchodzę do mojego pokoju. To dom z piękną historią. Będę o niej opowiadać moim dzieciom i wnukom, tak jak zrobiła to wszystko Ona. Mała Teresa. Moja babcia.

Mieszko Farbiszewski (Mieszko), kl. 7
Szkoła Podstawowa nr 3 w Szamotułach

Wielka ucieczka złotego kranu

W zaciszu najzwyklejszej łazienki żył sobie kran o imieniu Złoty. Tak naprawdę był on normalnym kranem, który marzył o zobaczeniu świata poza jasnoniebieskimi kafelkami swojej ojczystej łazienki. Od dawna namawiał swoją przyjaciółkę Mysię Mydełko oraz szczoteczkę Zubka na wspólną przygodę, ale Mysia zdawała się nie być tym zainteresowana. Zastanawiała się tylko ile jest w stanie wytworzyć piany. Chyba jednak miała dość ciągłego pienienia się i pewnego dnia Mysia po prostu powiedziała, że to ten dzień, kiedy uciekną. Wyznała również, że zawsze chciała odbyć niesamowitą podróż w nieznane. Przyjaciele zaczęli do wieczora. Wówczas Złoty odkręcił się na maksa i trysnęła woda. Wraz z Mysią i szczoteczką Zubkiem unieśli się na wodnym moście i wydostali się przez otwarte okno. Wylądowali w ogrodzie i dopiero wtedy zdali sobie sprawę, że nie potrafią chodzić. Smutni leżeli przez całą noc i kolejny dzień. Bardzo obawiali się, że ich przygoda skończy się tak fatalnie. Czas mijał strasznie wolno. Aż nadszedł dzień, w którym niebo zasnuły ciemne chmury i zaczął padać ulewny deszcz. Wody w ogrodzie przybywało, a przyjaciele zaczęli płynąć. Prąd poniósł trójkę bohaterów przez cały ogród wprost do studzienki kanalizacyjnej. Pragnęli tylko pozostać razem. Z tego, co się wydarzyło, nic więcej nie pamiętali.

Obudzili się nad ranem otoczeni przez gromadkę szczurów. Ciekawscy mieszkańcy kanalizacji zaczęli wypytywać przybyszów z góry, w jakim celu tu przybyli i jakie mają zamiary. Na współprzypadni: Złoty, Mydełko oraz Zubek odpowiedzieli, że nie mogą się poruszyć, a marzą o zwiedzeniu świata. Szczurom zrobiło się ich szkoda i po krótkiej naradzie ustaliły, że zabiorą nieznanym w głąb kanałów i się nimi zaopiekują. Sprytnie szczury wymyśliły, jak umożliwić swoim nowym przyjaciołom zwiedzanie świata.

Podarowali im niewielkie kółka od starych zabawek. W zamian Złoty wręczył wybawcom swój kurek. Szczury wyniosły Mysię, Zubka i Złotego na powierzchnię. Od tego momentu zaczęła się ich wielka przygoda.

Wędrowali wolno nagrzanym od słońca chodnikiem rozkoszując się otaczającymi dźwiękami i zapachami, gdy nagle nadleciały gołębie. Pochwyciły całą trójkę w dzioby i poleciały z łupem do parku, gdzie miały swoje gniazdo. Były przekonane, że porwani będą smakowitymi kaskami. Gołębie zabrały się do jedzenia, ale gdy tylko jeden z nich ugryzł Zubka, ich wyobrażenia prysły. Miętowy smak szczoteczki był nie do zniesienia i po chwili wyrzuceni z gniazda przyjaciele wylądowali na równo przyciętym trawniku, w pięknym parku pełnym wysokich dębów i sosen. Była to świetna okazja, by urządzić piknik, ale zamiast tego Złoty zatęsknił za zimną wodą i postanowił schłodzić się w fontannie. Zaczął rozlewać wodę na wszystkie strony. Przez przypadek polał małe czarne mrówki i bał się, że będą się na niego złościć. Ale zamiast tego, mrówki wykorzystały okazję i urządziły wodny festiwal, a Złotego mianowały królem tego wydarzenia. Zabawa trwała, przyjaciele świetnie się bawili, a Zubek skakał po drzewach, gdzie spotkał wiewiórki. Szło mu tak dobrze, że dał się im namówić na wyścig. Wiewiórki na początku miały dużą przewagę, ale Zubek wykorzystał swoją szczoteczkową zwinność i to on pierwszy zameldował się na mecie.

Po tej zabawie trójka przyjaciół kontynuowała swoją wędrowkę przez park. Na ich drodze pojawiła się niezwykła staruszka. Była ubrana w kartonową sukienkę i aluminiową czapkę. Starsza kobieta twierdziła, że potrafi kontaktować się z roślinami. Po przygodzie z gniazdem Mysia zastanawiała się, czy trawę boli, jeśli się po niej chodzi. Poprosiła staruszkę o zadanie trawie takiego pytania. Kobieta uklęknęła przy ławce, schyliła się i zaczęła coś szeptać do trawnika. Trwało to niezwykle długo. Zniecierpliwiony Zubek zaczął gwizdać i wówczas okazało się, że ich medium ucięło sobie drzemkę. Obudzona staruszka powtarzała tylko: „ból, ból, ból”.

Złoty świetnie to rozumiał. Od tego momentu unikali chodzenia po trawie, by nie robić jej krzywdy.

Szli parkowym deptakiem, gdy nagle ujrzeni chłopca puszczającego latawiec. Popędzili w jego stronę. Złoty wskoczył na linkę i zaczął się wspinać. Po krótkiej chwili znalazł się na latawcu, z którego roztaczał się piękny widok. Kran w końcu poczuł się jak ptak. Był lekki, jak piórko. Zachwyt nie trwał jednak długo. Nagły powiew wiatru strącił szybującego Złotego. Na szczęście ten zdążył chwycić żyłkę i bezpiecznie po niej zjechać. Zsuwając się w dół, jego uwagę przykuła lekka poświata jednego z drzew. Podekscytowany opowiedział przyjaciółom o znalezisku. Wszyscy chcieli odnaleźć to niezwykle tajemnicze drzewo. Pytali o nie napotkane owady i ptaki, ale one tylko się śmiały. W końcu, wśród zwykłych zielonych liści drzew, spostrzegli takie, które różniły się od innych. Świeciły one jasnozieloną poświatą i wydawały ciche dźwięki, które razem tworzyły piękną muzykę. Było to muzyczne drzewo, które spełniało losowe życzenia. Mimo ostrzeżeń modliszki Matyldy, nasi bohaterowie postanowili wypowiedzieć swoje prośby, ale zamiast bogactw, przygód, błyszczących kurków i wygodnej mydelniczki, bohaterowie trafili do swojej łazienki. Byli tym bardzo zaskoczeni, ale też niezwykle szczęśliwi.

Stęsknili się już za dobrze znanymi im zapachami i niebieskimi kafelkami, które tak dobrze znali. Szybko okazało się, że w ich łazience coś jest nie tak. Mydło Mysi zaczęło tajemniczo znikać. To były jej długo zbierane zapasy. O pomoc w poszukiwaniach poprosiła Zubka i Złotego. Ci oczywiście od razu zaangażowali się w poszukiwania. Pomagała im również nowa przyjaciółka gąbka Grażynka, która chciała wykorzystać swoją chłonność, by wyczuć zapach zaginionego mydła. To jednak nie pomogło. Po długich poszukiwaniach Zubek zobaczył niewielki śliski ślad, a Złoty wraz ze swoją wodną mocą, polał go z silnym strumieniem. Oczom przyjaciół ukazała się niewielka klapka. Zubek ostrożnie ją otworzył i wszyscy weszli do malutkiej komnaty, w której znajdowała się wielka kula mydła. Po kuli tej chodził mały przeźroczysty rybek Franek. Przeprosił za swoje zachowanie i wyjaśnił, że bardzo lubi

mydło, które służy mu do stworzenia własnej planety. Rybik musiał jednak zgodzić się na podział mydlanego majątku, ale za to mógł pozostać w łazience.

Odtąd w łazience panował pokój i nikomu nigdy nie zabrakło mydła.

**Magda Jędrzejewska (Noterдам), kl. 8
Szkoła Podstawowa nr 6 w Zamościu**

Duchy

Czerń ustępowała miejsca szaremu niebu przesłoniętemu deszczowymi chmurami. Jesienne liście unosiły się na wietrze, gdy poczułam ogarniający moje ciało dziwny bezwład. Uniosłam głowę i rozejrzałam się zdezorientowana po obcym mi miejscu. Niemal całą przestrzeń zajmowały kamienne konstrukcje pokryte nieświeżymi kwiatami oraz starymi, pamiętającymi zapewne zamierzchłe czasy świecami.

Przy jednym z pomników stała para starszych ludzi pogrążona w zadumie. Staruszek obejmował kościstą ręką swoją żonę, która wycierała twarz ozdobną chustką. Kobieta przytuliła się do męża, po chwili wolnym krokiem odeszli.

Widząc to usiłowałam zwrócić na siebie ich uwagę, lecz ciało odmawiało mi posłuszeństwa. Czułam, jak moje serce zaczyna kołatać się w piersi, a oddech przyśpiesza. Nie miałam pojęcia, gdzie jestem i jak się tam znalazłam. Świadomość tego sprawiała, że mięśnie mojej krtani zacisnęły się nie pozwalając, by jakiegokolwiek słowo opuściło moje gardło.

Zrozpaczona rzuciłam się w stronę nieznajomych. Niestety, z każdym ruchem moje nogi coraz bardziej zaczęły zapadać się pod ziemię. Spojrzałam w dół. Ku mojemu przerażeniu po kolana stałam zakopana w mokrej od deszczu glebie.

Pod wpływem impulsu szarpnęłam się, próbując uwolnić kończyny. Gorączkowo rozglądałam się, szukając ratunku. Wszędzie panował mrok i głucha cisza. Jedyne blask dawało kilka lampek, któ-

re oświetlały marmurową tabliczkę. Światło odbijało się od niej, przykuwając moją uwagę. Gdy spostrzegłam zdjęcie, które na niej widniało i ciemny napis obok... zamarłam.

Płytką wisiała na bogato zdobionym grobie głosząc, że zostałam tam pochowana. Na nagrobku wygrawerowane zostały informacje o mojej tożsamości wraz z datą śmierci i narodzin. Obok nich przytwierdzona była fotografia z moją podobizną. Pamiętałam moment parę dni temu, kiedy Julka testując nowy aparat, zrobiła mi zdjęcie na spacerze w parku. Byłam na nim szeroko uśmiechnięta, bo chwilę wcześniej siostra opowiedziała mi żart. Letnie słońce oświecało mi twarz otoczoną rudymi włosami, które splecione na wietrze tworzyły coś na kształt aureoli.

Poczułam, jak łyzy zbierają się pod moimi powiekami. Drżący oddech wyrwał się z mojej piersi, a ramionami wstrząsnął dreszcz.

W mojej głowie tłukło się przerażające pytanie: „Czy ja nie żyję?”. W pewnym momencie zalała mnie fala innych myśli: „Co teraz czuje rodzina?”, „Jak do tego doszło?”, „Czemu tu jestem?”. Bałam się odpowiedzi. Pomyślałam, że może tak naprawdę wszystko to było tylko wizją. Koszmarną zjawą lub senną marą. Miałam nadzieję, że kiedy tylko zamknę na dłużej oczy, okaże się, że w rzeczywistości leżę w swoim łóżku, a Julka razem z mamą omawiają w kuchni kolejną przeczytaną książkę, tak samo jak co tydzień. Zamarzyłam o zobaczeniu ich uśmiechniętych twarzy i posłuchaniu dyskusji o tym, który moment lektury był najlepszy. Tęsknota ogarnęła moje serce i duszę, okrywając je niczym zimny koc.

Nie wiedząc co zrobić, zakryłam dłońmi głowę i pozwoliłam, by ziemia pochłonęła moje drżące ciało. Czułam, jak podłoże wciąga mnie w dół i oplata ściśle, bym nie mogła się wydostać. Ziemia wciskała się do mojego gardła oraz oczu. Nie mogłam złapać oddechu, desperacko starając się dostarczyć mojemu organizmowi odrobinę tlenu.

W pewnej chwili niewidzialne ręce objęły mnie i wyrwały z otaczającej, przenikliwej ciemności. Światło zalało całą przestrzeń wokół, ukazując mi piękno świata umarłych, rozpostartego przede mną. Wszystko było zalane ciepłym blaskiem i pokryte złotem.

Przede mną unosiło się zdobione podwyższenie, na którym stała przepiękna kobieta odziana w suknię materiałem przypominającym chmury. Bogini promieniowała światłem, do którego zapra-
gnęłam przylgnąć.

Chwilę później zemdlałam, upadając w czyjeś ramiona. Moją jedy-
ną myślą był fakt, że jestem martwa.

Kategoria III

Szkoły ponadpodstawowe

Wiersze

1 miejsce

95 Jakub Miklus: *Poloneza czas zacząć*

2 miejsce

95 Anna Różalska: *Cień dzieciństwa*

96 Gabriela Waśko: *Reprimenda księżycy*

3 miejsce

97 Nicola Szmit: *Mapa złudzeń*

98 Estera Stefanek: *Miłość do liścia*

Wyróżnienia

99 Alicja Winiarska: *Eurydyka*

101 Bianka Sofia Biliczak: *** (*Wyrosłam*)

101 Mateusz Szachowicz: *Świecznik*

102 Emilia Markowska: *Mamo, nie chcę już żyć*

Opowiadania

1 miejsce

103 Kinga Skrok-Wolska: *Oczy bezwolne*

108 Natalia Machniak: *Historii bieg*

2 miejsce

115 Estera Stefanek: *Milczący kanarek*

3 miejsce

118 Malwina Smykła: *Złudna nadzieja*

- 128** **Wyróżnienia**
Oliwia Wierzińska: *Pogrzeb szacunku*
133 Michał Biegas: *Samael i otchłań*
136 Natalia Maślej: *Tylko warzywo*

- Jednoaktówka**
Wyróżnienia
145 Mateusz Białek: *Portret pośmiertny hiszpańskiej infantki*
154 Maja Baron: *Typowa historia czyli opowieść
o Janku Góralu z Tatrzańskiego Zadupia*

Liryczne Jasio

Jakub Miklus (Miklusik), kl. 4
Samorządowe Liceum Ogólnokształcące
w Stalowej Woli

Poloneza czas zacząć

Wbity w garnitur
z trzepotem serca
stanąłem
jak na ścięcie
Mucha dostojnie dotrzymywała kroku
Tylko nogi ożenione z podłogą
zdrętwiały ze strachu
Zabrzmiały dźwięki
kołyszac ciszę
Nogi ruszyły posłusznie
na szczęście
Polonez miał swoje pięć minut
Ja też
Wszyscy bili brawo
Serce też

Anna Różalska (Anna), kl. 3
Liceum Ogólnokształcące w Tarnobrzegu

Cień dzieciństwa

Tamte dni, utkane z cieni i światła,
szumiały w gałęziach starej jabłoni.
Śmiech, jak echo, biegł przez podwórka,
a świat pachniał ziemią po letnim deszczu.

Lecz czas, niewidzialny złodziej chwil,
zabrał małe dłonie z rysunków na piasku.
Dziś już nie wrócą te bose stopy,
co biegły bez lęku w nieznane ścieżki.

Dom z tamtych lat jest tylko wspomnieniem,
okna zamknięte, głosy ucichły.
Jak zgaszone ognisko w wieczornym lesie,
dzieciństwo płonie jedynie w snach.

Były dni, gdy świat był nieśmiertelny,
a smutek znał tylko w milczeniu nocy.
Dziś, gdy spoglądam na tamte chwile,
czuję tę pustkę, co nigdy nie zniknie.

Czy dzieciństwo zawsze kończy się ciszą,
czy gdzieś trwa dalej, w zakamarkach duszy?
Wiem tylko, że tęsknię – choć nie wiem, za czym,
za śmiechem, który zniknął za horyzontem.

**Gabriela Waśko, (Włóczka), kl. 3
Liceum Ogólnokształcące nr 4 w Jaśle**

Reprimenda księżycy

*„Któż ma bronić księżycy, jeśli nie poeci?”
Antoni Słonimski w „Obronie księżycy”*

Przestańmy się kochać w nocnym niebie
Mleczna twarz księżycowego pijaczyny
Tłusta i przeorana kraterami zmarch
Gapi się wyciera nos w roboczy fartuch
Rozległe galaktyki wirującej flegmy
I zawsze to atoniczne światło w oczach
Wychłęptane z rozgrzanych ciał, gwiazd

Nicola Szmit (Mugssee), kl. 3
Zespół Szkół nr 5 w Wałbrzychu

Mapa złudzeń

Czy znaki na skórze są tylko mapą złudzeń?
Droga miłości i ścieżka istnienia
rozchodzą się jak cienie o zmierzchu,
jak ślady stop na piasku, które morze połyka bez pamięci.

Między nimi zalega cisza,
jak mgła na polach, co nie pyta o sens,
a każde słowo, które mogłoby paść,
rozsypuje się w pył, zanim dotknie ust.

Czy w tej pustce,
gdzie myśli zasypiają, zanim się zbudzą,
kryje się prawda,
czy tylko iluzja, co zakorzeniła się głęboko,
jak ziarno, które nie chce wykiełkować?

Tylko piasek pod stopami,
który sypie się jak czas,
szuka moich oczu,
by zniechęcić do patrzenia.

Błądę w krainie bez drogowskazów,
czy to ja, czy przestrzeń się gubi?
Nie mogę trafić do siebie,
choć ramiona otwarte,
droga wciąż nieodgadniona.

Estera Stefanek (Estera), kl. 3
Zespół Szkół w Wieleniu

Miłość do liścia

Róża wznosi się ku słońcu
dumnie, z koroną noszoną na skroniach.
Jej płatki opowiadają historie światła,
każdy cień na niej wydaje się być celowy,
jakby natura rzeźbiła w niej doskonałość.

Liść nie ma takich opowieści.
Jego barwa to tło dla innych,
jego faktura jest jak milcząca mapa
zarysowana żyłkami, niosącymi życie.
Jest jak oddech w wietrze – niezauważalny,
ale konieczny jak serce bijące w ukryciu.

Kochanie liścia to sztuka widzenia,
sztuka czystego spojrzenia poza spektakl.
Liść jest dłonią drzewa,
która dotyka nieba i ziemi jednocześnie,
ramieniem, które nie zna próżności,
tylko pragnienie trwania w służbie.

By pokochać liść,
trzeba nauczyć się ciszy,
jak koryto rzeki,
które przyjmuje wodę bez słowa.
Trzeba być jak cień,
który zna swoje miejsce
albo jak kropla rosy,
która spływa, nie zostawiając śladu.

Miłość do liścia nie potrzebuje słów.
Jest spojrzeniem pełnym akceptacji,
jest uśmiechem dla czegoś,
co nie prosi o uwagę,
a jednak trwa i podtrzymuje
wszystko wokół.

Liść uczy, że prawdziwe piękno
nie jest na pokaz,
że najcichsze rzeczy
niosą największy ciężar świata.

Alicja Winiarska (Anawrn), kl. 2
II Liceum Ogólnokształcące w Dzierżoniowie
Eurydyka

Cisza
przerwana rozpaczą
Muzyka przebija zgaśnięte serca
w których jedynym dźwiękiem jest
Cisza

kto raz wszedł w Ciszę ten został dzieckiem Ciszy
po cóż w podziemiach Muzyka
niesłyszące uszy trapiąca

Orfeuszu
przy Ciszy
twoja Muzyka jest niczym
przyjąłeś politowanie bogów by odzyskać Piękną Eurydykę
czy już rozumiesz że Piękna Eurydyka poznała
Ciszę

Orfeuszu
w Ciszy tylko piękni mężczyźni są piękni
w Ciszy twoja lira nikogo nie urzeknie
w Ciszy jesteś niczym

Piękna Eurydyka już nie słyszy
twoich rozpaczliwych wołań
Piękna Eurydyka
w Ciszy
poznała kogoś kto nie zagłusza
Ciszy
twoja wina że już nigdy nie przestaniesz płakać
Orfeuszu

Orfeuszu
nie oddano Ci Pięknej Eurydyki
Hades Persefona Charon wszyscy ojcowie matki córki i synowie
śmiali się z ciebie
Ciszą
nim się obejrzałeś Eurydyki już nie było o naiwny
Orfeuszu

Orfeuszu
nie należysz do Ciszy
a gdy umrzesz nie trafisz do Ciszy
Muzyką zagrasz na lirze z batów Ciszy swoją śmierć
więc nawet śmierć was nie połączy
Orfeuszu

Bianka Sofia Biliczak (Bisobi), kl. 3
Społeczne Językowe Liceum Ogólnokształcące
w Opolu

***** (Wyrośłam)**

Wyrośłam
Buty ciągle pasują
Jednak
Szybciej chodzę, bo czasu mało
Czytam i czytam
A ciągle nie to, co bym chciała
Nie pracuję
Pracuję ciężko
Wyrośłam

Mateusz Szachowicz (Duo Poculus), kl. 4
II Liceum Ogólnokształcące
w Gorzowie Wielkopolskim

Świecznik

Bajkowy opis nieba
Otwieramy w snach
Gapiąc się ku świeczce
Ze łąą w miejscu świecznika

Płomień trawi płachtę nocy
Oślepia niedowiarków
Pomniki rozrzucone
Zbiera w żwawą scenę
Piętnując uśmiechami
Każdy cichy gest
Kryjąc jednocześnie
Krzyki niepewności

Gwiazda ta
Na szklanej kuli płonie
Gdyż będąc w kosmosie
Światła nikt nie ujrzy

Za chwilę wrócimy
Na świeczkę więc
Nie dmuchaj

**Emilia Markowska (Emilia), kl. 1
II Liceum Ogólnokształcące w Krośnie**

Mamo, nie chcę już żyć

zastanawiałam się
jaka będzie moja pierwsza reakcja, gdy
moja córka z hipotez stanie przede mną kiedyś i oznajmi

mamo, nie chcę już żyć

nie zamienię się z nią przecież na mózgi,
na układy nerwowe
nie wyszarpię sobie neuronów, by oddać jej swoje
nie zdołam oddać jej ciała własnego, które może
sterapeutyzowane, bez hormonów burzy, bardziej poukładane?

czy uderzę głową w ścianę zawiedziona
że słowa, które x lat temu z moich ust wypłynęły
wróciły do mnie w sile przekazu zdwojone?

czy osunie mi się grunt spod nóg
poczuję sztylet wżynający się między płuca
uwolnię lawiny łez spod powiek?

być może przyjmę tę wiadomość półśniąc
lekce sobie ważąc nastoletni bełkot
i będę płakała nad grobem?

Kinga Skrok-Wolska (Dzikiwiking), kl. 2
Zespół Szkół Leśnych w Lesku

Oczy bezwolne

Szopa obok ogródka. Z widokiem na dom i podwórze. Mała drewniana budka z dawnych lat. Obok niej, w cieniu, krzaczki poziomek.

Duże sęki w sosnowym, pociemniałym od starości drewnie. Zawsze były i patrzyły na nią. Tylko patrzyły. Za starych dobrych czasów, kiedy jako małe dziecko wybiegała radośnie z domu, kiedy matka często się śmiała, a ojciec interesował się jej życiem. Jej, matki i Piesia. Siadał obok niej przy stole, uśmiechał się i nazywał swoją małą córeczką.

Pamiętała, że zawsze prosiła rodziców, by zasłonili jej okna, zanim poszła spać, żeby nie widzieć Oczu. Miała wrażenie, że czają się w ciemnościach i czekają tylko na moment, by zburzyć szczęście i błogą beztroskę letnich dni, kiedy podwórze pachniało poziomkami i suchą trawą, a pojedyncze powiewy wiatru przynosiły znad strumyka orzeźwiającą woń glonów.

Pamiętała, że po wyjściu ze szkolnego autobusu biegła do domu pod świdrującym spojrzeniem dwóch ciemnych plam. Niejednokrotnie chciała opowiedzieć rodzicom o tym strachu. O tym, że była śledzona. Lecz nie chciała ich martwić. Zawsze była w ich oczach dzielną dziewczynką.

Wiele lat później, leżąc na kanapie pod nieobecność męża, przyknęła oczy. Przywołała w pamięci dzień, w którym jej dziecięcy świat się rozpadł. Miała wtedy... dziesięć? Jedenaście lat? Tego dnia ojciec nie wrócił na noc do domu. Nie odbierał telefonów.

Pamiętała smutek mamy. To był pierwszy raz, kiedy zobaczyła ją płaczącą. Siedziała przy kuchennym stole w promieniach zachodzącego słońca. Niebo było różowe.

Wrócił następnego ranka. Pachniał czymś dziwnym. Nie знаła jeszcze tego zapachu. Była w swoim pokoju, kiedy usłyszała podniesione głosy rodziców i trzask zamykanych drzwi szafki ku-

chennej. Potem był brzęk talerza spadającego na ziemię i krzyk mamy.

Zadrżała. Wyobraziła sobie, że talerz rozpada się na tysiące małych kawałeczków, które leżą na zimnych płytkach i płaczą z bólu. Przestraszona, z Piesiem w ramionach, podeszła na palcach do kuchni. Wstrzymując oddech, spojrzała przez dziurkę od klucza. Matka klęczała wśród stłuczonych skorup, trzymając się za policzek. Spomiędzy palców kapła krew. Ojciec krzyczał coś, stojąc nad nią i wymachując rękami. Nie słyszała go. Ogłuchła.

Nie wiedziała, co robić. W końcu uciekła skulona do pokoju i tłumiąc płacz, wtuliła się w Piesia. Łzy wsiąkały w wytarty plusz, a ona skulona pod kołdrą dygotała ze strachu i bezsilności. Zmęczona płaczem, zasnęła. Kiedy się obudziła, spojrzała prosto w sękatę, ciemnobrązową Oczkę, które patrzyły na nią z sosnowej deski w szopie na podwórzu. Przez kilka kolejnych dni ojciec przerabiał ją na swój kąt, w którym spędzał czas po pracy.

Nigdy później nie rozmawiali o tym wydarzeniu. Pozornie wszystko wróciło do normy. Tylko ona podskórnie czuła, że coś zmieniło się na zawsze.

Matce została na twarzy duża, brzydka, czerwona blizna – wspomnienie tego dnia, drzazga wbijająca się w jej serce. Matka nigdy nic na ten temat nie powiedziała, ale niemal każdego dnia, gdy na nią patrzyła, widziała w jej oczach niemy wyrzut.

Ojciec prawie przestał pojawiać się w domu. Wychodził wcześniej i wracał późno w nocy, roztaczając wokół siebie znajomą już teraz woń alkoholu. Nie odzywał się do matki, nawet na nią nie patrzył. Ona też milczała. Kiedy raz próbowała zacząć rozmowę, przez tydzień miała na ramionach siniaki.

Jej samej ojciec nigdy nie dotykał, nie patrzył na nią. Gdy na samym początku próbowała udawać, że nic się nie stało i opowiadała mu, co wydarzyło się w szkole, w ogóle jej nie słuchał. Patrzył tylko w podłogę. Potem już nie podnosił głowy. Całymi dniami przesadywał w szopce, upijając się do nieprzytomności.

Taki stan rzeczy utrzymywał się przez następnych kilka lat. Rodzice nie ingerowali w jej życie. W domu dawało się odczuć brak

pieniędzy. W każdej wolnej chwili myślała o tym, żeby zmienić swoją sytuację.

W ósmej klasie postarała się o dobre oceny. Dostała się do liceum w większym mieście. Jednak matka nie zgodziła się na internat.

– Kochanie – powiedziała – jeśli ty wyjedziesz, kto zaopiekuje się ojcem i mną na starość? Po za tym, dodała już ciszej – nie mamy na to pieniędzy.

To był koniec nawet nierozpoczętej jeszcze dyskusji. Nie pytała o nic więcej. Po prostu biernie zaakceptowała sytuację.

Raz, w szkole, zapytana przez nauczycielkę, nieopatrznie zdradziła powody swojej decyzji. Następnego dnia matka została wezwana do szkoły. Wyobrażała sobie, że nauczycielka sprytnie przekonaa mamę do zmiany zdania. Oczami wyobraźni widziała, jak kiwa głową i mówi „Faktycznie! Damy jakoś radę!”. Uśmiechnęła się do własnych myśli.

Po wyjściu z klasy matka nawet na nią nie spojrzała. Chwyciła ją mocno za rękę i zaprowadziła do samochodu. W domu uderzyła ją z całej siły w twarz.

– Zwariowałaś? – krzyknęła. – Opowiadasz o naszych domowych problemach obcym? Co to ma znaczyć? Jak śmiałaś? – potrząsała nią mocno przy każdym chaotycznym zdaniu. – Nikomu nie mów o sytuacji w domu! Zrozumiałaś!? Nigdy! Nikomu!

Stała nieruchomo. Nie czuła bólu, nie umiałaby nawet dokładnie powiedzieć, gdzie padają ciosy. Jej mózg się odłączył, nie działał, nie było jej.

Następnego dnia matka zabrała ją na lody. Przepraszała ze łzami w oczach. Patrzyła na nią, przytulała i obiecywała, że taka sytuacja nigdy już się nie powtórzy, że to wszystko przez stres, że to zbyt duże emocje, że to wszystko dla jej dobra...

Do internatu oczywiście nie poszła – matka się nie zgodziła. Właściwie nigdy więcej o to nie pytała. Wtedy już przestała zadawać pytania.

Przez całą szkołę średnią codziennie czuła na sobie pogardliwe spojrzenie Ocu. Wiedziała, że potajemnie śmiały się z każdej jej

porażki. Nienawidziła zarówno ich, jak i szopy, z której często dobiegały pijackie okrzyki ojca.

Na studia nie dostała pieniędzy. Musiała ciężko pracować, by na siebie zarobić. Zaniedbywała zajęcia, więc po roku wyrzucili ją z uczelni. Wróciła. Matka tego nie skomentowała, ale kiedy szła w stronę domu, Oczy patrzyły na nią karcąco z sosnowej deski.

Wkrótce znalazła pracę jako sprzątaczką w szpitalu. Po kilku latach poznała męża – budowlanica z sąsiedniej wsi. Wprawdzie pił, ale uznała, że lepszej partii i tak nie znajdzie.

Wzięli kredyt na budowę domu na działce jego rodziców. Tymczasowo zamieszkali u teściów.

Po roku urodziła dziecko, córeczkę. Mąż zasugerował, żeby zwolniła się z pracy i zajęła domem. Spełniła jego żądanie.

Niedługo potem matka męża dostała udaru, leżała, nie była w stanie nic przy sobie zrobić. Od tej pory codziennie zmieniała pieluchy, nie tylko córeczce, ale i teściowej. Teściowa obrzucała ją przy tym obelgami, zawsze pałała do synowej źle skrywaną niechęcią. Mąż nigdy jej nie bił, teraz zaczął robić to regularnie.

Szukała ucieczki od szarej codzienności. Codziennie gorliwie się modliła, chodziła do kościoła, słuchała księdza, spowiadała się. Często w ukryciu sięgała po alkohol. Początkowo piła tylko jedną „małpkę” dziennie. Potem każdy pretekst stał się dobry. Wyjście z koleżankami, kłótnia z teściową, kłótnia z mężem, płacz córeczki... Każdy. Oczy zaczęły jej się śnić codziennie, śmiały się z niej, mówiły, że idzie w ślady swojego ojca, że skończy tak jak on.

W sylwestra u sąsiadki dostała od koleżanki tabletkę. Nie dociekała, co to było. Połknęła, popijając piwem. Wszyscy mieli wielkie sęki zamiast oczu. Wszyscy mieli ciemne, oceniające Oczy. Poszła do toalety, spojrzała w lustro. Zobaczyła własną zniszczoną twarz, a w niej Oczy. Oczy bezwolne.

Wyszła z imprezy. Na stacji benzynowej kupiła kanister i zapalki. Oblała benzyną szopę, podpaliła ją.

Z lubością patrzyła na ogień, który pożerał jej dziecięcy koszmar. Uśmiechnęła się. Czuła, że może przenosić góry. W jej głowie sza-

lało mnóstwo myśli: „Teraz wszystko zmienię, zostawię go, wyjadę do miasta, skończę studia...”.

Obudził ją pijacki bełkot męża. Otworzyła oczy, wstała. Przebrała się, umyła twarz. Podeszła do łóżeczka, w którym spała córka.

– Nigdy stąd nie odejdziesz. Zostaniesz i będziesz opiekować się mną na starość – wyszeptała z czułym uśmiechem na twarzy. – Ja nie mogłam odejść... Więc tobie też nie pozwolę.

Poszła zmienić pieluchę awanturującej się teściowej. Wróciła na dół i zaczęła obierać ziemniaki. Wiatr poruszył delikatnie firankę, podeszła do okna. Wyciągnęła rękę, żeby poprawić materiał. Nagle zamarła. Nóż wypadł jej z ręki.

Mówił ostatnio coś o tym, że chce postawić przed domem altanę. Właśnie przebierał na podwórzu wielką stertę sosnowych desek. Z jednej z nich patrzyły na nią jeszcze martwe, jeszcze bezradne, małe Oczy. Powoli odwróciła wzrok od okna.

Córka poruszyła się niespokojnie w łóżeczku.

**Natalia Machniak (Fioletowa), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące w Mielcu**

Historii bieg

Wakacje się zaczęły, a w tym roku miałam je spędzić inaczej niż zwykle. Siedziałam w samochodzie i wbijałam wzrok w widoki za szybą. Na uszach miałam słuchawki i próbowałam pogodzić się z faktem, że tym razem zamiast opalać się na piaszczystej plaży, słuchając szumów morza, będę przechadzać się przez łąki, słysząc odgłosy zwierząt. Nie było to coś, o czym marzyłam, ale wiedziałam, że moje słowa sprzeciwu i tak nic nie dadzą.

Usłyszałam stłumiony głos taty. Zsunęłam słuchawki, by usłyszeć, co mówił.

– Wreszcie poznasz miejscowość, w której się wychowałem, Oliwia – odparł z dumą i ekscytacją.

Jedynie ciężko westchnęłam. Wcale mi na tym nie zależało.

– Zobaczysz wreszcie miejsca, z którymi tak silnie był związany twój dziadek. Może przejdiesz się do biblioteki?

– Biblioteki? Po co, skoro nie pamiętam nawet kiedy ostatnio dotknęłam książkę? – wyróciłam oczami.

Naprawdę nie rozumiałam, dlaczego aż tak mu na tym wszystkim zależało. Wciąż jeszcze byłam odrobinę zła. Uważałam, że lepiej byłoby mi nawet w domu niż tam.

– Mogłabyś trochę poznać historię twojego dziadka. Był oddanym bibliotekarzem. Kto wie? Może akurat to miejsce przekonałoby cię do książek?

Stwierdziłam, że już nie było po co odpowiadać. Ja miałam swoje zdanie, a on zupełnie inne, póki co nie wyglądało jakbyśmy mieli się w czymkolwiek zgodzić.

Kiedy byliśmy już na miejscu, wysiadłam z samochodu, a moje ogniste, rude włosy rozwiął silny powiew wiatru. Szybko odgarnęłam je z twarzy i dokładnie prześledziłam wzrokiem to, co mnie otaczało. Tak jak się spodziewałam – łąki, pola, a w tym wszystkim niewielki ceglany domek. Ciężko westchnęłam, wciąż jeszcze nie mogąc pogodzić się z myślą, że spędzę tu najbliższe dwa tygodnie. Na twarzach rodziców pojawiły się uśmiechy. Oni (w przeciwieństwie do mnie) bardzo cieszyli się z naszego wyjazdu. Wyjęłam telefon z kieszeni i już wtedy dotknęła mnie pierwsza oznaka przebywania na wsi – zasięg zniknął. Na siłę próbowałam znaleźć jakieś pozytywy, napawać się widokiem, cieszyć z pobytu tutaj, ale po prostu nie mogłam, nie chciałam żywić fałszywych uczuć. Nie fascynowały mnie takie miejsca. Może faktycznie były o wiele spokojniejsze niż zatłoczone miasta, ale wciąż wolałam przebywać tam, gdzie się wychowałam – w zgiełku jednej z największych polskich metropolii.

Siedzenie w pokoju, rozmyślanie nad wszystkim i niczym, to praktycznie jedyne, co robiłam w przeciągu ostatnich dni. Nie potrafiłam znaleźć sobie zajęcia. Wszystko mnie przytłaczało i zadziwiającą szybko nudziło. O telefonie również nie było mowy – internet był w ogóle niedostępny. Rodzice próbowali umilić mi jakoś ten czas. Raz nawet wybrałam się na spacer z tatą, pokazał mi słynną

bibliotekę i razem trochę porozmawialiśmy, ale i tak to wyjście zakończyło się kłótnią. W końcu zadecydowałam, że trzeba wziąć się w garść. Mimo, że nikt się tego po mnie nie spodziewał, postanowiłam pozwiedzać miejsce, o którym opowiadano mi od dziecka. Miejsce, które w mojej rodzinie uchodziło za magiczne i tajemnicze. Z braku zajęcia i pomimo wielu oporów, zdecydowałam się pójść do biblioteki. Poszłam do pokoju taty i gdy go tam nie było, z szafki nocnej wyjęłam klucze do starego budynku. Powiedziałam rodzicom, że wychodzę i ruszyłam przed siebie. Znałam już drogę do tego miejsca, dzięki ostatniemu spacerowi. Podczas drogi, wpatrywałam się w to, co mnie otaczało. W okolicę, którą wszyscy nazywali „piękną”. Wciąż próbowałam to dostrzec, ale jedyne określenie jakie przychodziło mi na myśl to: „zarośnięta krzakami mała wioska”. Nie mieszkało tu zbyt wielu ludzi, a idąc do biblioteki na ścieżce nie spotkałam żywej duszy. W końcu mym oczom ukazał się ogromny budynek, po którym było widać, że miał już wiele lat. Mury były obrosnięte mchem, okna ledwo trzymały się w zawiasach, drzwi były drewniane i lekko spróchniałe. Podeszłam bliżej i włożyłam klucz do zamka. Już po chwili przy akompaniamencie przerażającego skrzypnięcia ukazało mi się wnętrze biblioteki. Nie było tu zbyt jasno, na szczęście był dzień, więc przez okiennice wpadało tutaj światło. Drewniana podłoga wyglądała jakby zaraz miała się rozpaść, a gdy tylko postawiłam na niej stopę, wydała tak samo nieprzyjemny dźwięk co drzwi. Wzięłam głęboki wdech, wchodząc w głąb budynku. Ukazały mi się wysokie regały, na których leżały tony książek. Zwiedzałam bibliotekę, stawiając małe kroki. Moje serce biło w lekko przyspieszonym tempie, a oddech był odrobinę niepokojny. Czułam się jak w filmie grozy, niczym bohaterka, która trafiła do jakiegoś opuszczonego, nawiedzonego miejsca. Starałam się uspokoić myśli i skupić się na szukaniu „magii”, choć to określenie było dla mnie zupełnie absurdalne. Zastanawiałam się, jak moi dorośli krewni mogli powtarzać takie bajki dosłownie każdemu.

Natknęłam się na stolik, na którym leżało kilka dramatów Szekspira. Były przykryte grubą warstwą kurzu, tak jakby ostatnią osobą, która je dotykała, był mój dziadek. Opuszkami palców przejechałam po okładce jednej z książek. Byłam przekonana, że to stare wydanie, zdecydowanie sprzed kilku dekad. Świadczyła o tym lekko powyginana okładka, a także jej wyblaknięty kolor. Podniosłam dzieło wielkiego, angielskiego poety i otworzyłam je. Na pierwszej stronie, bardzo starannym pismem zapisane zostały słowa: „Czy historia może zakończyć się inaczej?”, a pod nimi swoim imieniem i nazwiskiem podpisał się mój dziadek. To wyglądało jak jakaś dedykacja. Przekartkowałam książkę, zastanawiając się komu chciał ją podarować i czy w ogóle chciał to robić.

Wpatrzona w kartki, nie zauważyłam nawet zmian, jakie nagle zaszły wokół mnie. Po chwili zaczęłam czuć, jak coś kłuje mnie w ramię, jakby jakaś gałąź. Przerażona rozejrzałam się wokół, a to, co ujrzałam spowodowało u mnie niewyobrażalnie zdziwienie. Wzięłam głęboki wdech i zmrużyłam oczy z myślą, że to na pewno był jakiś sen, a ja zaraz obudzę się w swoim łóżku i znów zacznę szukać sobie zajęcia. Niestety, mimo ciągłych prób, wciąż byłam w tym samym miejscu. Stałam w ogrodzie, za jakimś wysokim krzewem. Rozejrzałam się trochę i wychyliłam zza niego, by zobaczyć, gdzie w ogóle byłam. Zobaczyłam dobrze znane mi postacie, a także rozpoznawalną scenę.

Młody mężczyzna, ubrany w strój charakterystyczny dla mody sprzed kilkuset lat, stał przed balkonem, wpatrując się w stojącą na nim dziewczynę. Zakochani prowadzili rozmowę, a każde ich pojedyncze słowo było prześiknięte emocjami, ekspresją i szczerością. Składali sobie obietnice, wyznawali uczucia, okazывali czułości, a ja stałam z boku i wpatrywałam się w to, wręcz sparaliżowana. Z moich obserwacji wynikało, że byli to słynni na całym świecie kochankowie z Werony – Romeo i Julia. Z przykrością patrzyło się na ich uśmiechy na twarzach, gdy wiedziałam, jak skończą. Momentalnie przestałam myśleć o sobie i o tym, jak się tu dostałam. Skupiłam się na ich wzruszającej historii, która poruszyła niejednego czytelnika na całym świecie. Ja osobiście

nigdy nie przeczytałam tego dramatu, ale żyłam w rodzinie uwielbiającej Szekspira, więc historia tej dwójki była mi dobrze znana. Obserwując tę scenę, nagle zrozumiałam coś ważnego. Zrozumiałam, jak trudno w obecnych czasach o szczere uczucie. Byłam pewna, że niewielu zakochanych byłoby w stanie obiecać sobie tak wiele, zaufać sobie tak szybko, a ostatecznie poświęcić dla siebie życie. Cieszyłam się, że teraz tak tragiczne historie nie zdarzały się często, a jednocześnie wiedziałam, że mało osób zakochuje się w sobie tak silnie i tak szczerze. Patrząc na Romea i Julię, dostrzegałam ludzi, którzy prócz siebie nie widzieli świata, chcieli oddać sobie wszystko, a przecież na ich drodze stało tyle przeszkód. Byli idealnym przykładem na to, że nie warto się poddawać i należy próbować dążyć do swojego celu, jeśli naprawdę czegoś pragniemy, tak jak oni pragnęli swojej miłości. Stwierdziłam, że tacy ludzie zasłużyli na szczęśliwe zakończenie, na dożycie spokojnej starości u swojego boku. Niestety spotkał ich inny scenariusz i oboje zakończyli swój żywot w bardzo młodym wieku.

Odwrociłam się w drugą stronę, by lepiej zbadać teren, a wtedy znalazłam się w zupełnie innym miejscu. Na ziemi dostrzegłam karteczkę, którą wiatr uniósł w powietrze. Szybko ją złapałam i przeczytałam, co na niej napisano. Pismo rozpoznałam od razu, należało do mojego dziadka. Z sekundy na sekundę, wszystko co się działo, robiło się coraz bardziej dziwne i nedorzeczne. „Sprawdź to” – przeczytałam na głos słowa spisane na kawałku papieru. Nie było nawet żadnego kontekstu. Westchnęłam zrezygnowana, zupełnie nie wiedząc, o co chodziło.

Byłam w miasteczku, a obok mnie stało kilka ławek. Usiadłam na jednej i nie skupiając się na otoczeniu, zaczęłam rozgryzać zagadkę. Chciałam jak najszybciej znaleźć wyjście z tego zagmatwanego labiryntu. Nic nie przychodziło mi do głowy przez dłuższą chwilę. W końcu przypominałam sobie ostatnie słowa spisane przez dziadka: „Czy historia może zakończyć się inaczej?”. Uśmiechnęłam się, gdy zorientowałam się, że „Sprawdź to”, to idealna odpowiedź na tamto pytanie. Byłam osobą, która miała szansę zmienić

bieg historii spisanej przez Szekspira i zakończyć cierpienie jej tytułowych bohaterów.

Najpierw musiałam zorientować się, gdzie byłam. Podeszłam do jakiegoś przechodnia, który zmierzył mnie podejrzliwym wzrokiem. Podejrzewałam, że to przez moje ubrania, które ani trochę nie przypominały strojów z tamtej epoki.

– Przepraszam, gdzie jestem?

– Jest pani w Mantui – odparł uprzejmie, lecz wciąż z niezbyt przekonanym wyrazem twarzy. Domyśliłam się, jaki był mój cel. Musiałam jak najszybciej przekazać informację o podstępie Julii, nim Romeo zakończy swoje życie, pijąc truciznę. To ode mnie zależał ich los, a ja nagle poczułam na sobie ciężar ogromnej odpowiedzialności.

Zaczęłam biegać między uliczkami miasta, wypatrując młodzieńca, którego jeszcze niedawno widziałam pod balkonem Julii. Jak na złość, nigdzie nie było po nim ani śladu. Z sekundy na sekundę, wątpiałam coraz bardziej. Chciałam się poddać. Miałam wrażenie, że nic nie miało tutaj sensu i powinnam zacząć myśleć bardziej racjonalnie, jednak serce podpowiadało mi, aby nie zostawiać tak tej sprawy. Jednocześnie czułam się jak bohaterka, i jak bezsilna, nic nieznacząca nastolatka.

Gdy ujrzałam szyld apteki, odetchnęłam z ulgą. Miałam nadzieję, że to było to miejsce, w którym młody Monteki miał zakupić napój śmierci. Weszłam do środka i zmierzyłam wzrokiem aptekarza, który był blady jak ściana. Na jego twarzy wypisane było przerażenie i poczucie winy. Wtedy moje serce zaczęło bić jak szalone. Czy to był znak, że było już po fakcie? Czy mogłam zjawić się tu wcześniej?

– Przepraszam, był u pana mężczyzna, który kupił truciznę? – swoje słowa wypowiedziałam cicho najbardziej dyskretnie jak potrafiłam.

Aptekarz pokiwał głową, a wtedy wszystko jakby się zatrzymało. Nie byłam w stanie nic więcej powiedzieć, wiedząc, że nieubłagane szybko zbliża się tragiczny koniec postaci. Cofnęłam się o kilka kroków, mamrocząc coś pod nosem. Jeszcze nie do koń-

ca wierzyłam, że to już się stało. Zmrużyłam oczy w bezsilności, a gdy je otworzyłam, znów przeniosłam się w inne miejsce. Miejsce, które niosło ze sobą kres tej pięknej historii miłosnej. Był to grób, w którym ułożona była Julia udająca swoją śmierć. Niespodziewanie wbiegł tam Romeo, nawet nie zwracając na mnie żadnej uwagi. Wtedy zaczęłam się zastanawiać, czy postacie w ogóle mnie widzą.

Zdesperowany mężczyzna usiadł przy ukochanej, a jego serce w tym momencie rozbiło się na miliony kawałków. Łzy powoli spływały po jego twarzy, a szklane spojrzenie było przepełnione nadzieją. Chciał choćby jeszcze raz usłyszeć jej oddech, móc z nią porozmawiać. Zapewne marzył, aby cała ta sceneria była tylko koszmarem. Właściwie faktycznie mogło się tak okazać. Mężczyzna wyjął z kieszeni niewielką buteleczkę. Nie czekałam. Podbiegłam do niego.

– Romeo! Posłuchaj! Nie pij! – krzyknęłam, starając się go powstrzymać.

– Cóż więcej mi pozostało? – odrzekł płaczącym tonem. – Bezbardne będzie me życie bez ukochanej – dodał, trzymając dłoń Julii.

– Ona żyje, zaufaj mi – powiedziałam, spoglądając w jego czerwone od płaczu oczy.

– Nie powstrzymasz mnie, nieznajoma. Mój los przesądzony.

Romeo uniósł butelkę i zbliżył ją do ust. Próbowałam ją wytrącić, ale niestety trzymał ją za mocno. Nie udało mi się. Śmierć jednego z bohaterów nadeszła. Wtedy w sercu poczułam ukłucie. Ukłucie, które uświadomiło mi, że nie wykonałam swojej misji.

Wtem swoje oczy otworzyła śpiąca Julia. Sceneria rozgrywająca się przed nią, niebywale ją przeraziła. Zbliżyła się do martwego ukochanego, a gdy nie wyczuła jego oddechu, zaczęła płakać tak bardzo, jak on przed chwilą. Rozpaczała, błagała go, by jej nie zostawiał. Lecz to na nic. Chwyliła za jego szyję i zbliżyła go do siebie.

– Nie możesz! – chciałam uratować chociaż ją, zaczęłam wyrywać jej sztylet. Niestety ostrze było skierowane prosto w stronę jej serca. Mimo moich prób i wykorzystania ogromnej siły, sztylet wbił się w ciało Julii.

To był koniec. Dziewczyna wykrwawiała się na moich oczach, a puls Romea nie był już nawet wyczuwalny. Wszystko skończyło się tak samo jak w książce. Nie stworzyłam nowej historii, nie uratowałam dwójki kochanków i nie dałam im szansy na szczęśliwe życie. Ciężko westchnęłam, a w kącikach moich oczu zaczęły gromadzić się łzy, które już po chwili spływały po mojej twarzy i szyi. – Biegu historii nie da się zmienić. Taki los był dla nich przeznaczony, moja droga. Gdy usłyszałam ten głos, momentalnie się odwróciłam. Moim oczom ukazał się autor dramatu – William Szekspir. Byłam zszokowana. Co on robił we własnej książce? To wszystko było zagmatwane jak supeł, którego nie można rozwiązać.

– Dlaczego pan tak zakończył ich historię? – spojrzałam na niego ze smutkiem.

– By pokazać innym, jak wiele ludzie są w stanie zrobić dla miłości. To bardzo ważne, a ta dwójka miała to idealnie uświadomić. I chyba się udało, nieprawdaż?

Pokiwałam głową.

– Pamiętaj, może nie jesteś w stanie zmienić biegu historii, ale jesteś w stanie stworzyć własną. Łzy zamazały mi pole widzenia. Gdy otarłam je z oczu, znów byłam w bibliotece. Z jednej strony cieszyłam się, że wróciłam do teraźniejszości, a z drugiej, zatęskniłam za książką. Zamierzałam zapamiętać słowa wielkiego poety już na zawsze i wziąć je sobie do serca, a także zmienić swój stosunek do literatury. Ta przygoda może i nie była dla mnie najszczęśliwsza, ale idealnie pokazała mi, że los czasem płata nam różne figle, i choć bardzo się staramy, czasem nie możemy nic z tym zrobić.

Estera Stefanek (Estera), kl. 3
Zespół Szkół w Wieleniu

Milczący kanarek

Tego dnia jego kanarek przestał śpiewać.

Na początku próbował to zignorować, oswoić się z tym. Starania jednak spełzały na niczym, a irytacja rosła. Brakowało dźwięku, który wypełniał jego ponury, mały świat – obecności, która towarzyszyła mu przez długi czas w zamkniętych czterech ścianach. Były to jego cztery ściany, jego pudełko, w którym ukojeniem był piękny głos kanarka, ale...

Kanarek milczał... Dlaczego? Dlaczego? Czym sobie zasłużył?! Czyż nie zrobił wystarczająco?

Czy...

Podniósł wzrok, a jego oczom ukazało się jego odbicie w pękniętym lustrze, które stało przy przeciwnej ścianie. Zobaczył tam wiele odbić bladej postaci z podkrążonymi oczami i wzrokiem szaleńca. Widok, którego nienawidził. Brzydził się nim. Jak można się tak zaniedbać? Czy on już oszalał? Czy to możliwe, że śpiew, za którym tęsknił, nigdy nie istniał? Bał się, że jeśli będzie patrzył tak dłużej, to lustro rozbije się na jeszcze więcej części, jeszcze więcej maleńkich lusterek pokazujących brzydotę jego własnej osoby. Odwrócił więc wzrok. I stała tam. Mała klatka przykryta cienkim materiałem, zarzuconym na tyle niedbale, że praktycznie zsuwała się z obiektu. Zawsze tam była, to nie był sen i on był tego niemalże pewien. Ozdobna i elegancka, z ornamentami, cała złota. Była wręcz przesadzona, a on dopiero teraz widział jak coraz brzydsza staje się ona w jego oczach. Połyskiwała nieco w świetle kominka, odbijając jego słaby blask w ciemnym pomieszczeniu.

Wstał i ruszył w jej kierunku. Musiał jej dotknąć, zobaczyć z bliska, upewnić się jeszcze raz, że na pewno tam stoi... Sunął nogami po podłodze, idąc w jej kierunku niczym skazaniec. Czy obawiał się, że klatka rozplynie się w powietrzu? Czy bał się, że klatka będzie pusta?

Zajrzał do środka...

Ptaszek siedział na żerdzi, nieruchomy, z opuszczoną główką, jakby skryty w cień. Jego żółte, niemalże złociste niegdyś pióra, teraz zmatowiały i straciły swój dawny połysk. To małe, piękne stworzonko przez miesiące wypełniało pokój swoim śpiewem. Na początku nieśmiałym, potem coraz głośniejszym, bardziej radosnym i melodyjnym. Jego pieśń była tym, czego pragnął najbardziej. Tym, co dawało mu sens życia i spokój ducha.

On chciał więcej. Zawsze pragnął więcej. Był chciwą kreaturą i myślał tylko o sobie, o własnych korzyściach i zachciankach. Z czasem kanarek śpiewał coraz dłużej, mimo że jego głos stawał się coraz bardziej łamiący. Ale on tego nie widział, oczekując, że pieśń, którą tak pokochał, będzie trwała wiecznie. Pragnął, aby ta pieśń była tylko jego. Zatracił się w swojej obsesji do tego słodkiego dźwięku tak bardzo, że odizolował się od wszystkich, aby być sam na sam ze swoim kanarkiem, w którego ciągle się wpatrywał. Cekał niecierpliwie, wierząc, że wkrótce usłyszy choćby szept melodii. Tego, co nadawało sens jego życiu.

Ale cisza wciąż trwała i nieustannie się wydłużała.

Z początku zdezorientowany i stęskniony, teraz zirytowany, zaczął nawoływać ptaka, próbując przywrócić dźwięk, który kiedyś należał tylko do niego. I który nadal miał do niego należeć. Nic jednak nie mogło zmienić faktu, że kanarek zamilkł.

Dni mijały, a on ciągle wracał do klatki, codziennie sprawdzając, czy jego wyobrażenia i wspomnienia na pewno były prawdziwe. Codziennie szeptał, prosząc, żądając, płacząc nawet. Lecz kanarek już nie śpiewał. I już nigdy nie zaśpiewa. Po wielu dniach milczenia stworzonka, prawda w końcu do niego dotarła. Z każdym spojrzeniem na ptaka, z każdym krokiem w jego kierunku, wiedział coraz więcej.

To on podcinał mu skrzydła, zasłaniając mu przy tym oczy, aby po odsłonięciu ptaszek wciąż kochał swojego właściciela, swojego oprawcę.

Teraz to zrozumiał. Jak bardzo jego myślenie i przekonania były niewłaściwe i krzywdzące. Myślał, że chroni ptaszka przed świa-

tem, przed zagrożeniami, które mogłyby mu zaszkodzić. Przecież tylko tutaj mógł być bezpieczny, przecież po to miał nawet taką piękną, złotą klatkę. Z czasem kanarek przestał pragnąć wzbić się w powietrze. Uwierzył, że klatka to jego świat, jego powietrze, jego dom i przeznaczenie. Śpiewał, bo nie znał nic innego, myśląc, że tak powinno być. Ale im dłużej był zamknięty, tym bardziej gasł. Śpiewał tak długo, aż w końcu całkowicie zamilkł.

Kiedy wpatrywał się w martwego ptaka, w ciszy, która go przytłaczała, dotarło do niego, co zrobił. To nie czas odebrał kanarkowi pieśń. To nie zewnętrzny świat sprawił, że ptak umarł. To on, w swoim pragnieniu posiadania kanarka tylko dla siebie, zabił jego wolność. Łamał go krok po kroku, aż w końcu odebrał mu to, co czyniło go sobą.

Swoimi zimnymi i trzęsącymi się dłońmi otworzył klatkę. Chciał wszystko naprawić, uwolnić ptaszka z więzienia, które sam mu stworzył. Kanarek był zimny, nieruchomy, bez życia. Umarł tam, gdzie kiedyś śpiewał. Umarł w więzieniu, które stworzył dla niego jego właściciel.

Tego dnia jego kanarek umarł w klatce. I nigdy już nie wróci. Melodie, które śpiewał zostały już tylko słodkim i równocześnie bolesnym wspomnieniem. Wspomnieniem, które wywoływało wyrzuty sumienia, z którym do końca życia będzie musiał się mierzyć. Stanowiło dowód jego win, testament dla jego zepsutej duszy. Duszy człowieka, który nie tylko siebie doprowadził do destrukcji. W tej opowieści nie chodziło o ptaka.

Złudna nadzieja

Chłodny powiew wiatru gwałtownie otulił jej twarz, gdy tylko spróbowała zmusić swoje mięśnie do ruchu. Zaciśnęła mocno powieki, czując słońce, które świeciło prosto w jej twarz. Zatopiła dłonie w gorącym piasku, ponownie próbując się podnieść. Jej usta były wypełnione ziarenkami, a spod powiek wypływały łzy. Jej głowa była ciężka, a udo przeszywał ostry ból. Szarpnęła znowu, sprawiając, iż dyskomfort w jej nodze znacznie się pogłębił. Sapnęła cicho, delikatnie rozchylając powieki. Jej oczom ukazał się wielki, metalowy odłam, który mógł należeć do ogromnej maszyny. Przez kilka długich minut beczynn timer wpatrywała się w przedmiot, który okaleczył jej udo, aż wspomnienia z ostatnich kilku godzin gwałtownie zaatakowały jej umysł. Spostrzegła śmigłowiec, którym leciała nad rozległym, piaszczystym terenem. Obok niej znajdowała się wielka torba, po brzegi wypełniona zapasem jedzenia i przedmiotami potrzebnymi do pierwszej pomocy. Przed jej twarzą pojawiło się stado ptaków, wyglądem przypominających albatrosy wędrownie, pędzące wprost na nią. Z jej gardła wydarł się przeraźliwy krzyk, gdy rozpędzone zwierzęta uderzyły prosto w jej wóz, zatrzymując się w śmigle. Helikopter w zawrotnym tempie zaczął spadać, a Aldona nie była w stanie nic zrobić. W duchu modliła się o życie. Przy ostatnim szarpnięciu maszyny, jej głowa uderzyła w znajdującą się przed nią szybę, niemal natychmiast straciła przytomność. Gdy odzyskała pełną świadomość, jej ciało ogarnęła panika. Zaczęła się wyrwać spod ciężkiego metalu, czując zawroty głowy. Apteczka, która wypadła z torby podczas upadku, znajdowała się niecałe kilka metrów od niej. Noga blokowała jej ruch, przez co nie mogła jej dosięgnąć. Próbowała się wyswobodzić, lecz uniemożliwiał to odłam, głęboko wbity w udo Aldony. Spomiędzy jej warg wydobył się grymas irytacji, spowodowany nasilonym bólem. Wreszcie opadła bezwiednie na ziemię, pozbawiona wszelkiej nadziei.

– W czymś ci pomóc?

Obróciła się szybko, słysząc męski głos, który dobiegł z nad jej głowy. Cicho syknęła, jeszcze bardziej podrażniając ranę.

– Uważaj, bo i tak straciłaś dużo krwi – odezwał się, a jego głos zabrzmiał przemądrzale, co niezmiernie zirytowało Aldonę.

– Wiem, co mam robić.

Mężczyzna wzruszył ramionami, przyjmując zadowolony wyraz twarzy. Zrobił kilka kroków w tył, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Kobieta skupiła się na powolnym, delikatnym, uniesieniu metalu z nad jej nogi. Na jej twarzy pojawił się grymas, lecz nie przerwała rozpoczętej czynności. W końcu, udało jej się wyswobodzić. Uśmiechnęła się szeroko, przysuwając się bliżej apteczki. Mężczyzna, który nadal ją obserwował, zaczął cicho klaskać. Spojrzała na niego z ciekawością, starając się trzymać dystans.

– Kim jesteś?

– Mógłbym ci zadać dokładnie to samo pytanie.

Przewróciła oczami, wyciągając potrzebne przedmioty do opatrzenia nogi. Maksymalnie skoncentrowała się na wykonywanej czynności, czując coraz większy ból głowy. Obraz zaczynał jej się lekko rozmazywać, co znacznie utrudniało jej zadanie. Niemalże zapomniała o obecności drugiego człowieka obok, czując coraz to nowe dolegliwości. Jej poobijane ciało utrudniało każdy ruch, a żołądek, który prawdopodobnie od wielu godzin nie dostał żadnego pożywienia, co jakiś czas dosadnie dawał o sobie znać. Starła się to ignorować, lecz spowolnione ruchy oraz zatracona zdolność logicznego myślenia, sprawiały, że powoli traciła przytomność.

– Wszystko w porządku? – zapytał mężczyzna, kucając bliżej niej. Pokręciła w amoku głową, a zamglony wzrok nie pozwolił jej nawet rozpoznać jego twarzy. Nie wiedziała czy to ona sama sięgnęła po resztki jedzenia, rozrzucone niedaleko apteczki, czy to on jej je podał, ale wiedziała, że po dłuższej chwili jej organy wewnętrzne ponownie rozpoczęły pracę. Wtedy po raz pierwszy mogła się mu przyjrzeć. Siedział tuż przed nią, zatroskanym wzrokiem skanując jej twarz. Jego policzki były pulchne, a przykrótka grzywka, opadająca na jego czoło dodawała mu uroku. Miał na sobie poszar-

pane ubrania, które sugerowały, że znajdował się w tym miejscu już od dłuższego czasu. Mimo, że była pewna, że widzi tego człowieka po raz pierwszy, emanował dobrocią, która budziła w niej namiastkę zaufania.

– Tak, myślę, że jest już okej – odpowiedziała po chwili. – Skąd się tu wzięłeś?

– Z zawodu jestem inżynierem systemowym. Zostaliśmy tu wysłani, w ramach projektu, który ma zwiększyć częstotliwość opadów oraz zredukować dwutlenek węgla. Ma to pomóc w życiu codziennym lokalnej ludności. Wszystko szło zgodnie z planem, dopóki nie zgubiliśmy drogi. Rozdzieliliśmy się, stąd się tu znalazłem. Szukamy pobliskiej wioski, póki co idzie opornie, ale znalazłem przynajmniej jednego żywego człowieka, więc już jest progres. Mieszkasz tu?

– Nie, leciałam nad Afryką Południową i się rozbiłam, stąd moja zraniona noga.

Mężczyzna otworzył szeroko usta, wpatrując się w nią zszokowanym wzrokiem.

– To cud, że żyjesz!

Wzruszyła ramionami, unikając kontaktu wzrokowego. Opadła bezwiednie na ziemię, opierając głowę o pozostałości śmigłowca. Dosiadł się do niej, zastygając w podobnej pozycji.

– Jestem Emmanuel, miło mi cię poznać – odrzekł, wyciągając dłoń w jej stronę.

– Aldona.

– Ładne imię – skomentował. – Całkiem oryginalne.

Zaśmiała się dźwięcznie słysząc jego komentarz. Ktoś, kiedyś, w jej dawnej przeszłości powiedział jej coś bardzo podobnego.

– Dokładnie tak samo, jak twoje. Też jest ładne i oryginalne. Swego czasu chciałam tak nazwać syna, ale raczej nie zanosi się, że-bym kiedykolwiek go miała.

Twarz mężczyzny posmutniała, machinalnie spuścił wzrok.

– Nie mów tak, jeszcze nie wszystko stracone. Na pewno w końcu znajdę tą przekłętą wioskę i dzięki temu wydostaniemy się stąd żywi. Oboje, podkreślam.

– Może masz rację.

Starła się, żeby jej głos zabrzmiał przekonująco. Nie chciała odebrać mu nadziei, bo miała zbyt dużą świadomość tego, że sama chciałaby w to wierzyć. Wypuściła ze świsem powietrze, pozwalając, by jego słowa swobodnie pływały po całym jej umyśle. Była to rzecz, która mogłaby dać jej motywację na dalszą walkę.

Obserwowali razem, jak słońce powoli zachodzi tuż przed ich oczami. Tematy do rozmów wydawały się nieskończone, a uśmiech nie schodził z twarzy kobiety. Czuła spokój, który wręcz maskował cały ból, pozostawiony nadal wewnątrz jej ciała. Ignorowała uczucie dyskomfortu, skupiając się całą siłą woli na rozmowie z mężczyzną. Błądziła bezwiednie dłonią, przesypując piasek pomiędzy palcami, aż w końcu znalazła coś twardego, w kształcie prostokąta. Gwałtownie szarpnęła urządzeniem, machając Emmanuelowi centralnie przed twarzą.

– Spójrz, co znalazłam! – krzyknęła, przerywając mu w pół słowa. Spróbowała go włączyć, lecz na marne. Telefon nie dawał znaku życia, co oznaczało, że stracili wszelki kontakt ze światem zewnętrznym. Aldona zakłęła cicho pod nosem, trzęsącymi dłońmi odkładając urządzenie. Potrząsnęła głową, a obraz ponownie zawirosował. Miała świadomość, że im dłużej przebywała bez opieki medycznej, tym jej szanse na przeżycie stopniowo malały. Starła się odepchnąć od siebie tą myśl, jednakże ta zakorzeniła się w jej umyśle zbyt głęboko.

– Coś wymyślimy, na pewno nie umrzemy tutaj, jak zwykle zwierzęta – zapewniał. – W końcu nas znajdą.

Na jej wargach pojawił się grymas, który zdradzał jak bardzo wątpiła w jego słowa, lecz postanowiła nie odbierać mu nadziei. Często była ona czynnikiem, który trzymał zdesperowanych ludzi przy życiu. Emmanuel wyglądał na kogoś, kto nie miał za wiele powodów, by kontynuować walkę i potrzebował kogoś, kto wskaże mu właściwą drogę. Chciała być taką osobą, od najmłodszych lat czuła potrzebę, by pomagać każdemu, kto takowej pomocy potrzebował.

– Słuchaj, musimy jak najszybciej znaleźć źródło wody – odezwał się nagle, od razu wstając. – Jesteś słaba, a wszystkie twoje zapasy

się rozprysły, nic nie zostało. Człowiek nie jest w stanie wytrzymać za długo bez płynów.

Machinalnie się zgodziła, jednocześnie czując przeszywający ból w okolicach brzucha. Jej organizm domagał się wody, którą musiała mu jak najszybciej dostarczyć.

Tak więc ruszyli. Była noc, co było dla nich wręcz sprzyjające, ze względu na niższą temperaturę. Mimo iż była wyczerpana, nie mogli marnować czasu na sen. Musiała dobrze spożytkować resztki sił, które jej pozostały. A droga, którą przemierzali, zdawała się nie mieć końca. Każdy obiekt dookoła nich wyglądał tak samo, co tworzyło iluzję kręcenia się w kółko. Jednak szła nadal. Ignorowała wszystkie oznaki organizmu, który domagał się odpoczynku. Plecak wypełniony wszystkimi pozostałościami, które przynajmniej częściowo przetrwały rozpad helikoptera, przechylał ją w tył, znacznie utrudniając dalsze poruszanie się w przód. Co jakiś czas rzucała dyskretnie spojrzenia w stronę Emmanuela, po cichu licząc, że uwolni ją chociaż od ciężkiego plecaka. Ku jej rozczarowaniu, mężczyzna nie reagował. Uparcie szedł dalej, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem. Poczowała ukłucie żalu, które rozlewało się po całym jej wnętrzu. Jej ojciec za młodu uczył ją, by w każdej sytuacji była twarda, więc i wtedy zacisnęła mocno zęby i stawiała kolejne kroki, coraz bardziej przepełnione bólem.

– Kręcimy się w kółko – odrzekł nagle Emmanuel, stając w miejscu.
– Myślałam właśnie o tym samym. Mamy jakiś punkt zaczepienia? Pokręcił głową, rozglądając się dookoła siebie. Był środek nocy, więc ich jedynym źródłem światła był niewielki blask księżyca. Nie dostrzegali niczego, prócz ton delikatnego piasku, który przyjemnie muskał ich stopy. Poczwała narastającą panikę. Byli pośrodku niczego, a wszystko, co przywiozła ze sobą na teren Afryki, zostało może kilometry, a może jedynie metry dalej. Naszła ją nagła chęć płaczu. Nie była już małą dziewczynką, która płakała za każdym razem, gdy coś nie szło po jej myśli, lecz w tamtym momencie czuła, jakby znowu przeżywała najmłodsze lata. Była sobą, a Emmanuel był jej ojcem, który nigdy nie wiedział, co w ta-

kich momentach zrobić, więc tylko stał w ciszy, obserwując jej zachowanie. A ona chciała krzyczeć, ile tylko miała sił w płucach, nie rozumiejąc czym zasłużyła, by los karał ją w taki sposób. W głębi duszy obwiniała również mężczyznę obok, za bycie tak cichym. Miała ochotę podejść do niego i wyżyć się za wszystkie krzywdy jakie ich spotkały. Jednak, zacisnęła jedynie powieki, licząc w duchu do dziesięciu, by się uspokoić. Bezwiednie usiadła na ziemi, unikając jego spojrzenia.

– Co my teraz zrobimy? – zawyla żałośnie, rzucając pytaniem w otchłań.

Jedyną odpowiedzią, jaką napotkała był przyjemny szum wiatru, który wesoło tańczył dookoła nich. Mimo, iż jego świst był cichy, ledwie słyszalny dla ucha, podczas ciszy, która między nimi zapadła, był jak najgłośniejszy wrzask, rozrywający bębunki. Doszczętnie przeszywał ich umysły, pozostawiając na nich permanentny ślad. Cały klimat, który panował na pustyni, odbierał im zdolność logicznego myślenia. Oboje byli świadomi, że sytuacja, w której się znaleźli była nadal bez wyjścia, lecz marna nadzieja nie pozwalała im, by uświadomili sobie ten fakt. Podświadomość, która zasiadała za sterami ludzkiego umysłu, nakręcała ich, by wierzyli, że jest dla nich szansa. Nadzieja, dzięki której trzymali się na nogach, sprawiała, że usychali od środka.

Emmanuel usiadł obok niej, kierując wzrok w gwiazdy. Na jego twarzy malowała się walka. Aldona była pewna, że ich myśli błędziły w podobnym kierunku.

– Karmili cię w dzieciństwie bajkami o księciu, który przybędzie kiedyś do ciebie na białym rumaku? – zapytał, przerywając ciszę między nimi.

Wzruszyła ramionami. Nie miała wielu wspomnień z dzieciństwa. Większości wołała nie pamiętać, a w szczególności tych, które przepełnione były ciągłymi wrzaskami. Mimo to, wróciła pamięcią do tych lat, w których życie wydawało się bez troskie. Przed oczami ukazał jej się obraz, w którym siedziała na kanapie razem z ojcem, który trzymał w dłoniach zbiór baśni i czytał na głos, by jego córeczka się cieszyła. Tłumaczył jej, że tak wyjątkowa i war-

tościowa osoba powinna się cenić i szanować. Jego wywód przeważała starsza kobieta, która zwróciła się do jej ojca podniesionym głosem. Mała Aldona wiedziała, że to obwieszczało kolejną z ich kłótni. Tak więc szybko uciekła do niewielkiego pokoju, który był najbardziej oddalony od pomieszczenia, gdzie jej babcia krzyczała na ojca.

Nawet nie zauważyła, gdy jej twarz pokryła się łzami. Te wspomnienia za każdym razem wywoływały u niej gamę trudnych emocji. Dorastanie jako ta najbiedniejsza wśród samych bogatych dzieciaków, było niewyobrażalnie trudne.

– Jesteś tam? – zapytał Emmanuel, nie zauważając w ciemności jej zapłakanej twarzy.

Pokiwała szybko głową, zgrabnym ruchem ręki ocierając mokre policzki. Cicho pociągnęła nosem, odwracając wzrok w jego stronę. Czuła na sobie jego wzrok, ale mimo tego nie odważyła się spojrzeć mu w oczy. W ciszy obserwowała swoje dłonie, na których pomarszczona skóra zatracala swój blask.

– Bo mi tak mówiono – próbował kontynuować. – Że mam zachowywać się wobec kobiet jak książę i pewnego dnia spełnić ich marzenie, by odmienić ich życie na lepsze. Ani razu mi się nie udało. Każda kobieta, wobec której chciałem zachowywać się jak książę, zawsze mnie zostawiała. Nie mam pojęcia, co robię źle.

Aldona mimowolnie się zaśmiała. Chciała zakryć usta, przerażona, że jej ciało przejęło nad nią kontrolę. Mężczyzna obdarzył ją zaciekawionym spojrzeniem.

– Wielu ludzi dookoła mnie często mawiało, że każda nieudana relacja ma nas przygotować na tą właściwą. Przez niemal całe swoje życie w to wierzyłam. Jak do tej pory żadna relacja nie trwała dłużej niż rok, więc wmawiam sobie, że jeszcze jest dla mnie szansa, że trafię na tą odpowiednią osobę już niedługo. Ale gdy przeanalizuję to w logiczny sposób, wiem, że to złudne i czas mi ucieka. Tylko tutaj zwolnił, a mój przemęczony umysł wmawia mi, że to coś znaczy. Bo przecież nic nie dzieje się przypadkowo, prawda? Mężczyzna zaśmiał się, zmniejszając odległość pomiędzy ich dłońmi.

– Może. Nie wiem. Nikt tego nie wie. A los jest rzeczą nieprzewidywalną, której nie można ufać. Jest zbyt złudny, obdarza nadzieją wiele niewinnych dusz, które marzą o życiu w szczęściu. Niektóre marzą o samym życiu. To wszystko jest przewrotne i niesprawiedliwe, nie ma sensu się tym zamartwiać. Lepiej wykorzystać dni, które nam pozostały w jak najlepszy sposób. Spróbuj się przespać, ja poszukam choć kropli wody. W najgorszym wypadku będziemy musieli wypić mocz, by przetrwać, jednak nad tym zastanowimy się jutro. A teraz dobranoc, Aldono.

Wyciągnęła dłoń w jego stronę, chcąc wreszcie poczuć ciepło jego ciała. Ku jej ogromnemu rozczarowaniu, Emmanuel odsunął się nieznacznie, automatycznie odwracając wzrok. Burknął pod nosem coś niezrozumiałego i szybko się oddalił, zostawiając za sobą kobietę, która starała się przezwyciężyć natłok myśli.

Słońce zaatakowało jej twarz, bezlitośnie oślepiając oczy. Spróbowała podnieść dłoń, by osłonić twarz przed blaskiem, lecz bezskutecznie. Jej mięśnie odmówiły posłuszeństwa, przez co czuła się, jakby była przywiązana niewidzialnymi linami do miękkiego piasku.

– Wody... – wychrypiła.

– Nic nie znalazłem, a szukałem całą noc, uwierz.

Opadła bezwiednie na podłoże. Jej umysł był przepełniony niezliczoną ilością pomysłów na to, jak mogliby przetrwać, lecz żaden z nich nie był możliwy do zrealizowania.

– Mam wrażenie, że zaraz się rozsypię – odezwała się, czując jak jej wysuszone usta sprawiały jej ból. – Albo zmienię się w kamień. Jedno z dwóch.

– Skupmy się na razie na tym, żebyś się czegokolwiek napiła – odezwał się, starając się zachować zdrowy rozsądek. – Spróbuj się podnieść i wydalic mocz do butelki, którą masz w plecaku, wtedy będziesz miała się czego napić.

Pokiwała machinalnie głową, starając się poruszyć którymkolwiek z mięśni. Zaciśnęła mocno szczękę, czując opuszczające ją resztki

sił. Było to ostatnim, czego by chciała. Słyszała za sobą słowa Emmanuela, który starał się ją zmotywować, lecz nic to nie dawało. Spod powiek wypływały jej łzy bezsilności i złości, za brak kontroli nad jej ciałem.

– Podaj mi rękę, proszę – szepnęła, lekko rozwierając powieki.

Mężczyzna stał do niej tyłem. Nie widziała jego twarzy, lecz po jego postawie mogła wyczuć, że coś było nie tak. W napięciu czekała, aż zdecyduje się odezwać.

– Nie mogę – odpowiedział równie cicho.

Zmarszczyła brwi, nic nie rozumiejąc. Znowu szarpnęła, wykorzystując do tego resztki sił. Jej oddech przyspieszył, ogarnęło ją przerażenie. Umierała, i nikt nie był w stanie jej od tego uratować. Blask słońca mocniej padał na jej wyschniętą skórę, rozpalając ją do czerwoności. Każdy, nawet najmniejszy ruch sprawiał jej ból, więc zastygła. Miała trudności, żeby się na czymś skupić, więc wiele energii kosztowało ją wysłuchanie słów Emmanuela.

– Dlaczego?

Nie odpowiadał. Coraz bardziej się niecierpliwiła, nie wiedziała co zrobić, by zmusić go do szybszej odpowiedzi.

– Odpowiedz mi, Emmanuel!

– Nie mogę ci pomóc, bo przecież mnie tu nie ma.

Jego słowa odbiły się echem po jej umyśle. Zmarszczyła brwi, nadal nie wiedząc co miał na myśli.

– O co ci chodzi? – zapytała, czując rosnącą irytację. – Przecież jesteś tu, rozmawiasz ze mną, pomogłeś mi się pozbierać, gdy mój śmigłowiec się rozbił. To wszystko nie ma sensu.

– Ma sens. To wszystko zrobiłaś sama, twój organizm jest bardziej wytrzymały, niż ci się wydaje. A ja jestem tylko wytworem twojej podświadomości, który na każdym kroku motywuje cię do dalszego działania, do dalszej walki. I będę przy tobie aż do ostatniego tchnienia, abyś nawet w chwili śmierci była przekonana, że nie jesteś sama. Niesamowite, jak bardzo nasz mózg potrafi się bronić przed naszymi lękami. Myślę, że sama nie wiedziałaś na jak wielką skalę lękasz się samotności, prawda?

W osłupieniu wpatrywała się w jego twarz, która powoli zaczynała tracić swój dotychczasowy wyraz. Jego zielonkawe oczy, tak bardzo podobne do tych, które miała ona i jej matka, zaczynały tracić swój blask. Cała sytuacja, z każdą następną sekundą, zaczynała się jej coraz bardziej rozjaśniać. I nagle, po wielu długich minutach, jego sylwetka zniknęła. Była całkiem sama, pośród ogromnej pustyni, a w wielkim świecie zewnętrznym nie było nikogo, kto mógłby przyjść jej z pomocą. Konała ze świadomością, że została całkiem sama. Żadna dusza, szczęśliwie żyjąca w przypadkowej dzielnicy dużego miasta, w której kiedyś dorastała, nie miała pojęcia, że Aldona żyła. Nikt nie interesował się jej losem, nawet własna rodzina.

Spędziła wiele godzin leżąc w rozpaczy i analizując cały swój żywot. Co chwilę miała wrażenie, że dryfowała między cienką granicą życia i śmierci. Śmierć, wskutek braku wartości odżywczych i płynów, następowała bardzo powoli, ofiara była torturowana przez wiele godzin, nim w końcu jej serce nie miało wystarczająco dużo siły, by nadal pompować krew. Aldona miała wrażenie, że co chwilę ostatecznie odpływała. Jednak, nikt nigdy nie jest w stanie przewidzieć momentu, w którym odchodzimy na tamten świat.

– Dziękuję, że byłeś przy mnie podczas ostatnich godzin mojego życia, Emmanuel. Żałuję, że poznałam cię dopiero tutaj.

Twarz mężczyzny, która wisiała tuż nad jej twarzą, uśmiechnęła się szeroko. Oboje czuli upragniony spokój. Wyciągnął dłoń w jej stronę, sugerując, by udała się za nim. Kobieta próbowała się podnieść i z wielką ulgą zauważyła, że nie sprawia jej to już większej trudności. Ujęła jego dłoń i poczuła rozpieszczające szczęście, gdy wreszcie mogła poczuć ciepło jego ciała. Razem udali się przed siebie, krocząc bosymi stopami po ciepłym i miękkim piasku, w blasku delikatnego słońca, które oświeślało im twarze. Wreszcie byli razem, szczęśliwi i wolni od problemów, gotowi tworzyć nową historię w innym, może lepszym dla nich świecie.

Oliwia Wierzbńska (Olivia), kl. 4
II Liceum Ogólnokształcące
w Gorzowie Wielkopolskim

Pogrzeb Szacunku

– Witamy na pogrzebie Szacunku! – powiedziała dostojnie Pokora, a tłum nie wiadomo dlaczego próbował doszukać się w tym tonie smutku. Jednak nie było go ani w głosie, ani tym bardziej w ogólnej atmosferze wydarzenia. Wszyscy stali nieruchomo wpatrując się w słownik, czekając na uroczyste wykreślenie.

– Może chociaż udamy, że nam smutno? – jęknął Stereotyp, który znał swoją pozycję w grupie i wiedział, że często wpływa na zachowania innych.

– Teraz taki mądry jesteś? – warknęła Pycha.

– Nie ośmieszaj się – dodała Irytacja – Przecież to ty jesteś winien!

– Spojrzała na niego srogo.

– Wypraszam sobie – odpowiedział Stereotyp. – Kochanie, powiedz im. – Przeniósł wzrok na Zniewagę, lecz ona ani drgnęła, więc kontynuował. – To była jego decyzja – sapnął Stereotyp. – Miał dużo obowiązków i wyzwań przed sobą, nie wytrzymał tej...

– Nie zganiaj tego na Presję – pośpiesznie przerwała mu Irytacja.

– Ostatnimi laty Szacunek podupadał na zdrowiu – ciągnął dalej Stereotyp. – Ciągłe walki z o wiele silniejszymi przeciwnikami osłabiły jego znaczenie, aż w końcu, zaprzestano korzystania z niego – westchnął. – Taki nasz los.

– Właśnie! – krzyknęła Nieufność. – Jestem przekonana, że to wina Rasizmu. Nigdy nie dawał za wygraną. Nie pamiętacie jak ostatnio zdominował Szacunek? – Postacie w tłumie spoglądały na siebie. Co jakiś czas ktoś przytakiwał potwierdzająco głową lub szepnął: „Faktycznie”.

– Teraz nawet nie pojawił się na pogrzebie – ciągnął Stereotyp.

Nagle zza gości wyłoniła się Encyklopedia Historyczna. Niezwykle ceniona postać, która przez swoją renomę i wiedzę budziła przerażenie u innych. Każde jej słowo posiadało niemalże cechy boskie,

wyjątkowe. Wypowiedzi jej traktowane były jak wyrocznia. Stąpała ruchem wolnym i zdecydowanym, a jej olbrzymie okulary odbijały słońce w taki sposób, że raziła promieniami każdego, kto spróbował spojrzeć jej w oczy. Stała naprzeciw Słownika, nie odpowiadając na wszelkie słowa przywitania padające w jej stronę.

– Drogie dzieci, wy nie zdajecie sobie sprawy jakiej katastrofy świadkami jesteście! – rozpoczęła poważnie. – Dzisiaj rozpoczyna się koniec historii.

Słowa te zamarły w powietrzu. Zaproszeni, mimo sprzeczności w wypowiedzi mistrzyni, nie podważali jej opinii. Spodziewany przez Encyklopedię brak reakcji, skutkował kontynuacją jej wywodu.

– Wojna ta trwała miliony lat, a żniwami jej działań są nie tylko państwa i narody, lecz zwykli ludzie. Miliardy ofiar śmiertelnych, rannych, schorowanych lub strauumatyzowanych. Zaburzenia psychiczne i zdeprawowane moralności. Brak kontaktu, relacji, wsparcia oraz miłości. To w historii dopiero początek schyłku Szacunku.

– Schyłku? – spytał nieśmiało Stereotyp.

– Widzę, że nie uczyłeś się historii – warknęła. – Masz sporo do nadrobienia, gdyż początek podupadania Szacunku to przełom XIV i XV wieku – dodała. – Lecz nie będę prawić wykładu w trakcie tak ważnej uroczystości. Wiedźcie tylko wszyscy, że miał świadomość, iż nadchodzi jego koniec. W imię honoru postanowił sam zakończyć swój żywot – dodała.

– Nie ma w tym winy Rasizmu? – dopytała Nieufność.

– Albo Szowinizmu? – sprecyzowała Irytacja.

– Oczywiście, że jest – przytaknęła Encyklopedia. – Ta dwójka zwłaszcza w XX wieku rozwinęła się na olbrzymią skalę, przyniatając Szacunek. Mnóstwo danych statystycznych, reportaży i faktów historycznych relacjonuje niewielkie szanse na odbudowę Szacunku. Krwawe walki, bezrefleksyjne mordy lub gwałty, zaburzyły świat emocji i wartości. Nawet ja, już wtedy miałam wątpliwości co do stanu zdrowia Szacunku. Natomiast tak jak pewnie wiecie, przetrwał tamten czas, aż do teraz.

– Jak on to zniósł? Ktoś mu pomagał? – spytała Nieufność.

– W pewnym sensie – odpowiedziała Encyklopedia. – Zwróćcie uwagę na to, gdzie zachowywany był Szacunek i jak go przekazywano z pokolenia na pokolenie – spojrzała na gości, którzy stali w zamyśleniu. Brak odzewu skłonił ją do kontynuowania myśli.

– Sztuka! – powiedziała dumnym głosem.

– Teatralna? – nie dowierzał Stereotyp, a Encyklopedia odstraszyła go wrogim spojrzeniem.

– Poezja, malarstwo i rzeźba – ciągnęła. – Tam zachowano Szacunek do człowieka, jego losów i decyzji. Pieśni i literatura wojenna stanowią autentyczny hołd dla sponiewieranego Szacunku. Budują pień kultury i swoisty fundament dalszego funkcjonowania społeczeństw. Ludzie obiecali, że wyciągną wnioski z brutalnej przeszłości i spróbują go odbudować. Takie słowa cytowano na całym globie, nawet pisano o tym książki lub artykuły.

– Nie udało im się? – zdziwiła się Irytacja.

– Byli tak zafascynowani pięknymi ideami, że zapomnieli o codziennym życiu, które bardziej niż wszystko inne potrzebuje współpracy z Szacunkiem – wytłumaczyła Encyklopedia. – Opowiem wam krótką historię – dodała z entuzjazmem. – Usiądźcie wygodnie. Wygląda na to, że nie doczekamy się Długopisu.

Wszyscy zaśmiali się i usiedli na przygotowanych wcześniej krzesłach.

– Pewien mężczyzna był wysoko cenionym politykiem, o światowej sławie – rozpoczęła. – Nazywał się Trygus Liv i stał na czele organizacji, która dbała o Pokój i Szacunek w relacjach międzynarodowych. Jego kierownicza kadencja przypadła na bliski koniec wojny, dlatego wszelkie nadzieje o dalsze losy państw kładziono na jego organizację. Polityk dokładał wszelkich sił, aby poprawić relacje między Szacunkiem a Rasizmem. Przeprowadzane były profesjonalne negocjacje i mediacje, które doprowadziły do zawarcia traktatu – tłumaczyła. – Wyprawiono ekskluzywne przyjęcie, na którym doszło do podpisania dokumentu, choć żadna ze stron nie była usatysfakcjonowana. Z pewnych źródeł wiem, że Rasizm był zdenerwowany przebiegiem całej sprawy. Sankcje nie były dotkliwe, lecz uniemożliwiono mu dalszą ekspansję, podczas kilku

tygodni dochodzenia do porozumienia. Wiedział, że będzie musiał odbudować poparcie – wyjaśniała – Natomiast Szacunek dalej nie czuł się bezpiecznie i miał świadomość, że to nie koniec walki. – Co było dalej? – dopytywał zaciekawiony tłum.

– To co zwykle w historii – odparła. – Cudowne słowa o pokoju na papierze, nie znalazły odzwierciedlenia w rzeczywistości. Ludzie dalej byli do siebie wrody. W codziennych sprawach towarzyszyła im, przepraszam drogie Panie – spojrzała postaciom w oczy – Pogarda i Nieufność. Szlachetne wartości nie zostały wprowadzone w mentalność społeczną, która przez następne dekady rozwijała się w dysfunkcyjnej formie. Powielając coraz to nowsze powody do Nienawiści i braku Szacunku. Odrzucano go na margines. Był niewystarczający, a wręcz uznawany za wstyd, formę pokazania słabości lub poddania się – przetarła oczy, z których zaczęły spływać łzy. – Zawsze mi pomagał – do rozmowy włączył się Stereotyp. – Ja go unikałem, nigdy nie zapytałem, jak się czuje – dodał głosem pełnym wstydu.

– Całe życie wmawiano mi, że powinnam się do niego zbliżyć – powiedziała Pycha. – Nie rozumiałam tych rad, a teraz żałuję.

– Uważałam go za nauczyciela – wtrąciła Pokora. – Pokazał mi, jak traktować innych.

Zamilkła na moment. – Dziękuję Ci, Szacunku! – dodała spoglądając na Słownik.

Wśród gości nastała chwila melancholii, podczas której każdy wspominał zmarłego.

– To naprawdę piękne i wzruszające, że go doceniliście. Na to nigdy nie jest za późno – powiedziała z uśmiechem Encyklopedia Historii.

Moment nostalgii przerwał zbliżający się głos.

– Już pędzę! – krzyknął Długopis. – Ile się spóźniłem?

– O czterdzieści minut za dużo – odpowiedziała Irytacja, przewracając oczami.

– Witam wszystkich szanownych gości! – kontynuował, nie zwracając uwagi na złośliwości Irytacji. – Moje opóźnienie spowodowane jest szukaniem dowodów – wyjąwił.

– Jakich? – dopytywali pozostali.

– Otóż – rozpoczął – samobójcza śmierć Szacunku nie dawała mi spokoju – wyznał. – Musiałem odkryć prawdę, więc przejrzałem wiele źródeł. Mój trop doprowadził mnie do sedna problemu.

– Do wojny? – spytała sarkastycznie Encyklopedia.

– Jeżeli powiesz, że to Rasizm – odezwał się Stereotyp – to nie wybaczymy Ci spóźnienia.

– Nie, nie – odrzekł Długopis. – Zgodnie z danymi to Internet, a dokładnie social media ponoszą winę – wyjaśnił.

– O – odparła Encyklopedia – Niewiele o tym wiem. Śmiem wątpić – dodała.

– Chodzi o Hejt – sprecyzował. – Według badań, aż osiemdziesiąt procent osób korzystających z mediów społecznościowych choć raz w życiu, było nadawcami tego typu wiadomości wobec innych. Media przepełnione są groźbami, negatywnymi komentarzami i wyzwiskami. Choć wydaje się to dziwne – analizował – Internet miał pomóc ludziom. Być prostym i wygodnym środkiem komunikacji. Natomiast stał się przestrzenią, w której klęskę poniósł Szacunek, w walce z rozrastającym się Hejtem.

– Zaktualizowałam dane – zasygnalizowała Encyklopedia. – Faktycznie w Internecie Szacunek wykorzystywany był wyjątkowo rzadko. Zaledwie dwa razy na miliard komentarzy publikowanych w ciągu godziny na platformach społecznościowych, to treści bez Hejtu – czytała. – Ostatnie użycie nastąpiło dwa lata temu.

W tym momencie każdy zrozumiał, że Szacunek odszedł, a jego powrót jest niemożliwy. Został brutalnie zniszczony przez język internautów, którzy uznali go za nieadekwatny do stosowania w mediach. Zaproszeni uhonorowali zmarłego minutą ciszy, dziękując za wspólne chwile, podtrzymywanie kultury oraz bohaterską walkę.

– Nadszedł już czas – powiedział Długopis. – Konsultowałem się z Wikipedią, ona również usunie o nim dane.

– Byłeś niezastąpiony Szacunku – wyznała Encyklopedia.

Długopis podszedł do Słownika, znalazł strony ze słowami rozpoczynającymi się na literę S. Precyzyjnie, jednym ruchem wykreślił wyraz Szacunek, a następnie zamknął księgę.

Michał Biegas (Sulima), kl. 4
LXXVI Liceum Ogólnokształcące w Warszawie
Samael i otchłań

Czarne niebo oświeślała płonąca ziemia, płonęło wszystko, płonęły motylki i płonęły kwiatki, a gdzieś w oddali płonęła żyrafa.

Przeraźliwe echo trąby ostatecznej przeszło niebo.

– Oho! Wojna! – chwyciłam za łańcuszki huśtawki i huśtałam się powoli.

Gdzieś w oddali widziałam jeźdźca z wielkim mieczem, kogoś gonił. Chyba aż tak dobrego wzroku nie mam.

– Dlaczego nie ma tu żadnych ludzi, pochowali się w domach, czy jak? Hm... lepiej dla mnie, cały plac zabaw mój!

Kiedy się tak huśtałam i gadałam do samej siebie, zobaczyłam kilku ludzi poruszających się w stronę jamy utworzonej w kupie gruzu.

– O! O! Ludzie, halo! Tu jestem, nie musicie się już ukrywać, idźcie do nieba! – Nikt mi nie odpowiedział, rozhuśtałam się najmocniej jak mogłam i zaczęłam machać do nich ręką.

– Halo! Halo! – gapią się tylko na mnie – pomyślałam.

Jeden z nich upadł na ziemię, nie zatrzymali się, żeby mu pomóc.

– Co za brak wychowania, a żeby was cholera wzięła. – Przeraźliwe echo trąby ostatecznej przeszło niebo.

– Aj! Wykrakałam!

Drugi jeździec, dzierżący w ręce wagę, przejechał obok grupy ludzi, na których przed chwilą krzyczałam, potem ludzie ci leżeli już tylko na ziemi, wyglądali jak błądy padalec.

Wiatr przyjemnie przelatywał mi przez kości, za każdym razem kiedy się wznosiłam, lub kiedy opadałam.

– Hmm... Jaka ta huśtawka jest fajna. Do góry! Do dołu, do góry! Do dołu! – jaka symbolika, rzeczywiście szczyt ludzkiej kultury. Właśnie ludzkiej, ja przecież chciałam z kimś pogadać – zeskoczyłam z huśtawki i zaczęłam szukać.

Na placu zabaw znajdowała się duża zjeżdżalnia, chciałam na nią wejść, żeby się rozejrzeć, okazało się że nie muszę tego robić, bo zanim zaczęłam się wspinać usłyszałam, że za ścianką zjeżdżalni ktoś jest.

Nie był za duży jak na człowieka, sięgał mi mniej więcej do wolnych żeber i miał imię.

– Nastka, proszę Pani. – Podskoczyłam z radości, w końcu z kimś rozmawiam.

– Nastka! Jakie piękne imię. – Ale Nastka nie zareagowała tak radośnie na myśl o naszej rozmowie. Patrzyła się w ziemię, kręciła bucikiem i nerwowo międoliła swoją ciemnofioletową sukieneczkę.

– A Pani – dukała powoli Nastka. – A Pani, jak ma na imię?

– Ja? Ja mam na imię Śmierć – dygnęłam subtelnie.

– Śmierć? – Nastka, pierwszy raz podczas naszej rozmowy, podniosła głowę i mi się przyjrzała.

– Powiedz Nastko, dlaczego jesteś taka mała? – przykucnęłam, żeby nie musiała zadzierać główki. Strzyknęły mi kolana.

– Bo jestem dziewczynką.

Zawiał lekki wiatr, czuć w nim było zapach zgnilizny.

– Jestem dzieckiem, kiedyś dorosnę i nie będę taka mała, proszę Pani – głos Nastki trochę się rozweselił.

– Och, proszę Nasteczko, nie mów do mnie „proszę Pani”, możesz do mnie mówić... jak to było? –

– Samael? – Nastka spojrzała na mnie.

– Tak! Samael! Skąd wiedziałas?

– Tak jakoś, siedziało mi w głowie to imię – Nastka uśmiechnęła się lekko.

Przeraźliwe echo trąby ostatecznej przeszło niebo.

Milczałyśmy przez chwilę, chciałam zaproponować Nastce, żeby ją pohuścić, ale kiedy się odwróciłam zobaczyłam, jak stara zardzewiała huśtawka, która jeszcze chwilę temu pachniała świeżością, rozpada się pod własnym ciężarem.

– Hmm... Czyli to takie uczucie.

– Wiesz co, Nastka, nie wiem jak ty, ale trochę mi się nudzi, lubisz muzykę? – Dziewczynka kiwnęła lekko głową.

– Wspaniale, mam nadzieję, że ci się spodoba. – Wyjęłam z mego płaszcza stare drewniane skrzypce.

– I raz, i dwa, i położyłam smyczek na strunach, i zaczęłam rzępolić pewien utwór, którego w wolnym czasie próbował nauczyć mnie Lucjan. Muzyka zagłuszyła dźwięki apokalipsy, a Nastka pochłonięta moją muzyką wirowała subtelnie, wydawała się szczęśliwa. Kiedy skończyłam, Nastka otworzyła oczy, zaczęła klaskać w dłonie.

– Samael, to było piękne!

– Ukłoniłam się nisko. – Dziękuję Nasteczko, dziękuję.

– O! A co to?

– To kwiatek dla ciebie – Nastka trzymała w ręku mały, żółty kwiatek.

– Dziękuję, nigdy jeszcze nie dostałam kwiatka – zamyśliłam się przez chwilę.

– Nastko, a dlaczego jesteś sama?

– Nastka spuściła ze mnie wzrok, woda popłynęła po jej policzku.

– Ach, po co pytałam!? – wychyliłam paliczek, żeby otrzeć jej buzię.

– No bo... No bo ja... Ja nie mam – Nastka zaczęła kompletnie przeciekać, powietrze przeszły dalekie wrzaski, krzyki, piski i co mnie zdziwiło, śmiechy.

Zdjęłam z głowy chustkę i otarłam jej twarz jeszcze raz.

– Wiesz co, Nastko – coś wewnątrz mnie pchnęło moje ramiona, które objęły delikatnie Nastkę. – Ja też jestem sama. Nastka wygrzebała głowę z mego uścisku i pomimo moich starań, była już kompletnie mokra, nic nie powiedziała i wtuliła się we mnie mocno. Poczułam jakby coś zapłonęło w mojej klatce, nie wiem co to było, ale nigdy czegoś takiego nie czułam.

Przeraźliwe echo trąby ostatecznej przeszło niebo.

– Choć Nastko, razem będzie nam raźniej – wzięłam ją na ręce i odleciałam, baranek już na mnie czeka.

Ludzie zabijali się nawzajem lub uciekali przed dzikimi zwierzętami. Smród flaków, zgnilizny, spalenizny przenikał powietrze.

„A gdy otworzył pieczęć czwartą, usłyszałem głos czwartego Zwierzęcia mówiącego: Przyjdź!

I ujrzałem: oto koń trupio błądy, a imię siedzącego na nim Śmierć, i Otcłan mu towarzyszyła”.

Natalia Maślej (Triss), kl. 2
I Liceum Ogólnokształcące „Carolinum”
w Nysie

Tylko warzywo

Zaspy śniegu leżały na zamrożonej ziemi, przygniatając życie pod sobą. W stronę pochmurnego, szarego nieba, swe długie ręce, okryte igłami, wyciągały wysokie drzewa. Ich masywne pnie wyrastały z białego puchu i górowały nad śnieżną krainą. Gdzieś nad koronami, upstrzonymi szyszkami, unosiła się wątła smużka dymu. Ściana brudnej zieleni stanowiła granicę między mroźnym pustkowiem a życiem. W lesie było ciemno i mrocznie, jedynie pojedyncze snopy światła przebijały się przez gęste gałęzie. Było też cicho. Co jakiś czas, powietrze rozrywał odgłos obsypującego się lub przygniatanego śniegu, a niekiedy tajgę wypełniało też stukanie dzięcioła, jednak prócz tego panowało milczenie. Między drzewami, czuć było zapach igliwia i żywicy, mokrej kory i piżma. W miarę zbliżania się do szarej smużki, można było również wyczuć gryzący dym. Głęboko w lesie stała drewniana, jednopiętrowa chata. Przed domkiem świeżo odśnieżona ścieżka prowadziła do starego, pokrytego cienką warstwą śniegu, samochodu terenowego. Drzwi chaty opatrzone zostały żelaznymi zawiasami, a okna były brudne i zaparowane. Obok wejścia stał gruby kij i łopata. Budynek miał solidną budowę, i pomimo widocznego piętna czasu odbitego na jego przekrzywionym dachu, osmolonym kominie i zamglonych oknach, sprawiał wrażenie zadbanego.

Powoli zapadał zmrok. Nie trzeba było długo czekać, aby tajga stała się jałowym pustkowiem ciemności, a kilka wypełnionych żółtym światłem okien, przeistoczyło się w ostatnią oazę jasności. Na szkle siedziała tłusta, czarna mucha. Błask ognia i żarówek padał na śnieg, oświetlając świeże płatki, które właśnie zaczęły lecieć z nieba. Gdzieś zahukała sowa. Przez zabrudzoną szybę można było dojrzeć sylwetkę mężczyzny, poruszającego się po pokoju. Pomieszczenie było ciepłe i przytulne. Nad kamiennym

kominkiem wisiało imponujące poroże jelenia, a ogień skwierczał zachęcająco. Przed jego pomarańczowymi językami ustawiono niską, drewnianą ławę, stare radio i podniszczoną skórzaną kanapę. Na ścianach rozwieszono zostały liczne obrazy i zdjęcia, głównie przedstawiające naturę. Na podłodze spoczywało grube futro, a tuż obok niego, jak gdyby na znak tryumfu, postawiono strzelbę. Nad drzwiami wisiała flaga Stanów Zjednoczonych.

Mężczyzna w średnim wieku krzątał się w niewielkiej kuchni. Miał na sobie gruby, wełniany sweter i dresowe spodnie. Jego twarz przybrała obojętny wobec mytej marchewki wyraz. Ciemna szczecina pokrywała policzki i podbródek, spod krzaczastych brwi spoglądały brązowe, bystre oczy, a gęste loki prawie opadały na ramiona. Mężczyzna nałożył warzywo na biały talerz i ruszył do salonu. Wziął do ręki książkę, włączył radio i wyciągnął się na kanapie. Odgryzł kawałek marchewki z głośnym chrupnięciem. Z głośników zaczęła lecieć cicha muzyka klasyczna. Mężczyzna zatopił się w rzędach liter wydrukowanych na papierze, jednak po chwili coś odwróciło jego uwagę od książki. Lekkie stuknięcie wdarło się w melodię utworu – jakby ktoś uderzył kamyczkiem w szybę. I kolejne. Mężczyzna oderwał się od lektury i ze stęknieniem podszedł do jednego z okien. Na szkle siedziało kilka grubych much, które od czasu do czasu odlatywały i znów wracały do światła, odbijając się od szyby lub na niej siadając. Zmarszczył ciemne brwi. Minęło trochę czasu od kiedy ostatni raz widział owada. Gwałtownym ruchem zasunął zasłonę, jednak dopiero, gdy poszedł spać i zgasił wszystkie światła, dom stał się wolny od uderzeń małych ciał o szkło. Bruno czuł się niespokojny, jednak zasnął szybko.

Słońce wdarło się do sypialni na piętrze przez niewielkie dachowe okno. Oświeciło puchową pościel w kratę i głowę mężczyzny wystającą spod niej. Drobiniki kurzu, które zostały uwydątnione przez promienie, wirowały w leniwym tańcu. W pokoju znajdowało się tylko duże łóżko, stolik nocny i pojemna, drewniana szafa, lecz wszystkie ściany obwieszone zostały barwnymi rysunkami

i obrazkami. Za pojedynczym okienkiem widoczne było błękitniejsze niż w dniu poprzednim niebo oraz już szarzące powoli obłoki, równie spokojne jak kurz w powietrzu. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył Bruno, była prosta lampa zawieszona pod drewnianym sklepieniem. Jak każdego poranka wbił w nią rozespany wzrok. Drugą rzeczą była tłusta mucha siedząca na niej. Mężczyzna natychmiast zerwał się do pozycji siedzącej i zadarł głowę do góry, w stronę skrzydlatego intruza. *Przez dziesięć lat, które tu żyję, nigdy w tak ostrą zimę nie widziałem żadnego owada. Twardy skubaniec.* Bruno podniósł się z łóżka i pochwycił gazetę spoczywającą na stoliku nocnym. Zamachnął się i rzucił papierem w lampę. Mucha jednak tylko odleciała, gniewnie brzęcząc skrzydłami i wydając z siebie najbardziej irytujący ze wszystkich dźwięków, jakie były znajome mężczyźnie. Bruno pociągnął nosem i po chwili śledzenia owada wzrokiem, zauważył, że przysiadł on na szafie. Zakasał rękawy pomarańczowej koszuli nocnej i ze zgrzytem zębów wymierzył cios w muchę. Poczul pod dłonią miękkie ciało stworzenia, lecz również usłyszał trzask drewna. Silna dłoń stworzyła niewielką szczelinę w szafie, jednocześnie po niedawno jeszcze brzęczącym stworzeniu pozostawiając tylko mokrą plamę. Bruno westchnął, ocierając dłoń w gazetę. *Muszę kupić cholerny klej przez to stworzenie.* Zły na muchę, a później na cały świat, zjadł skromne śniadanie i wpakował się w samochód.

Kiedy dotarł do wioski, coraz słabiej widoczne słońce było już w zenicie. *Przynajmniej nie pada śnieg* – myślał, kiedy pojazd brnął przez zwały białego puchu, który napadał przez noc. Już z daleka zobaczył dzwonnice kościoła, która wyłaniała się spośród drzew. Tę całkiem sporą wioskę zbudowano na samym skraju lasu, a nie daleko można było znaleźć zapomniane jezioro i rzekę. Drogi w miasteczku były wąskie i zazwyczaj puste. W centrum znajdował się mały kościółek, którego dzwony od dawna już nie biły, biuro szeryfa i poczta. Domy, niczym rozrzucone zabawki, rozciągały się tak daleko jak okiem sięgnąć – każdy dalej od poprzedniego. Niektóre z nich były całkiem nowe i posiadały nawet fotowoltaikę, jednak większość przypominała chatę Bruna. Ich drewniane

dachy wyrastały spomiędzy zasp śnieżnych. W centrum można było znaleźć jedyne sklepy w wiosce: lokalny spożywcza, aptekę i mały sklep przemysłowy. W promieniu kolejnych dziesięciu kilometrów nie było żadnej większej aglomeracji.

Bruno, wyczulony na ten odgłos, natychmiast usłyszał bzyczenie much. Jego serce zaczęło bić szybko i oddech stał się niespokojny, gdy wysiadł z zaparkowanego samochodu i ujrzał dziesiątki, a być może nawet setki owadów wypełniających ulice miasteczka. Siedziały na budynkach, spajały się w czarne chmury i wirowały nad drogami. W zasięgu wzroku widział tylko dwie ludzkie sylwetki. Jego oddech zamieniał się w parę, a policzki były zaczerwienione. Wzdrygnął się, kiedy zaskoczył go odgłos zza pleców.

– Bruno, miło cię widzieć.

– Szeryfie.

Mężczyzna stał tuż za nim. Miał na sobie ciepły płaszcz z futra niedźwiedziego, które zakupił właśnie od Bruna. Pod grubym materiałem skrywał się mundur szeryfa i słabo pobłyskująca złota gwiazda. Jego ciemne oczy były zmrużone, a czupryna zakryta czapką.

Nathan był mężczyzną stanowczym i pewnym siebie, lecz również prostym i znużonym wieloletnią służbą pośród mrozu. Bruno znał go dość dobrze – jakkolwiek problem się pojawił, szeryf go zazwyczaj rozwiązywał. Gdy myśliwy przyjechał tu po raz pierwszy, został najmilej przywitany właśnie przez Nathana.

– W porządku! Każdy ma swoje życie i swoje problemy. Wielu ludzi, tak samo jak ty, przyjeżdża tutaj, by się odizolować.

Tak odpowiedział szeryf, gdy Bruno zadeklarował, że chce osiedlić się w chatce odziedziczonej po dziadku na stałe i nie życzy sobie żadnego kontaktu z zewnętrznym światem. Nathan był wtedy odrobinę żywszy i zdecydowanie młodszy, jednak jego nastawienie w stosunku do myśliwego nie zmieniło się. Przynajmniej tak myślał Bruno do momentu ich rozmowy.

Przy nodze szeryfa głośno dyszał pies, zapewne mieszaniec. *Nigdy wcześniej go nie widziałem. Jest strasznie... energiczny.* Zwierzę

bezustannie kręciło się wkoło, lizało łapy i przechylało głowę. Wygląda na chorego – pomyślał Bruno, jednak zamiast tych słów obdarzył Nathana tylko pytającym spojrzeniem. Szeryf westchnął ciężko, spojrzał na psa, a po chwili zwrócił wzrok na Bruna. Powietrze wypełniał brzęk much, który powodował atmosferę silnego niepokoju i napięcia.

– Nie wiem od czego zacząć. Sam widzisz, co się dzieje, i nie wątpię, że to świństwo dotarło też do twojego domu. Tak naprawdę dokładnie nie wiemy co się stało. W telewizji mówią o jakiejś pladze, ale widać, że sami nie wiedzą, albo nie chcą powiedzieć, co to jest. Wszyscy gadają o tym, że rząd coś ukrywa przed nami. Widzisz, Bruno, w naszym mieście założyliśmy niedawno takie koło wzajemnej pomocy. No wiesz, zabezpieczanie jedzenia, wsparcie emocjonalne i takie sprawy. Zastanawiałem się, czy może...

Słowa szeryfa odpływały gdzieś daleko. Bruno czuł, jak brzęk much wypełnia jego umysł. Buzuje w wodach doznań, przediera się przez tamy jasnego myślenia i wpada w najgłębsze zakątki głowy. *One są wszędzie. Tutaj, tam, poza moim domem i w nim. Klej nie pomoże.* Z jakiegoś powodu czuł się zagrożony ich obecnością. Jednak nagle jego uwaga skupiła się na czymś innym. Zdał sobie sprawę, że nie może oderwać wzroku od psa. Cały jego horyzont zawęził się do pyska, z którego wydobywały się ciche piski, do oczu, które biegały szybko po otoczeniu, do futra, na którym widać było...

– Nathan, odsuń się od psa!

Z ust Bruna wyrwał się krzyk. Szeryf, zaalarmowany, odszedł o krok od swojego czworonożnego towarzysza. Już otworzył usta, by zadać pytanie myśliwemu, kiedy momentalnie jego oczy rozszerzyły się, twarz zbladła, a ciało przeszył dreszcz obrzydzenia. Wraz z Brunem odeszli o krok od zwierzęcia. Pies piszczał.

Jasnobrązowa sierść upstrzona była kremowymi, małymi punktami skupionymi obok siebie. Larwy poruszały się na skórze oraz pod nią. Wkoło psa latało kilka wielkich much. Myśliwy i szeryf wymienili się wystraszonymi spojrzeniami. Przez chwilę stali w miejscu, przestępując z nogi na nogę. *Jego sierściuch, jego*

problem. Niech teraz wymyśli, co zrobić. Ja chciałem tylko klej! Jednak Nathan skamieniał. Bruno głośno przełknął ślinę i zwrócił się w jego stronę z zapytaniem, co dalej. Odpowiedziała mu cisza. Pies piszczał coraz głośniej. Szeryf trzęsącą się dłonią sięgnął pod płaszcz. Spod okrycia wyciągnął rewolwer. Mężczyznę wstrząsały dreszcze. Zwierzę zaczęło skomleć i kręcić się wkoło. Bruno wziął szybki wdech i wydarł broń z ręki szeryfa. Strzał zlał się z szumem much, których zdawało się ciągle przybywać. Bruno nie kupił kleju.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, wypuścił głośno powietrze. Wszystkie jego mięśnie były napięte jak struny, gdy mechanicznie usiadł na kanapie. Słyszał ten brzęk skrzydeł, ten szum, ten okropny dźwięk... *Zabezpieczyli jedzenie, więc muchy nie mają gdzie składać jaj. Następni będą ludzie. Zostawił szeryfa z truchłym psa. Musiał jak najszybciej uciec od tamtego miejsca. Część jego jaźni liczyła na to, że w jego domku będzie inaczej, że okolice starej chaty dziadka wciąż zachowają swoją dawną atmosferę. W końcu to miejsce zawsze było jego azylem, jego bezpiecznym, odizolowanym od innych ludzi i ich problemów schronieniem. Lecz much było tutaj równie wiele. Łączyły się w wielkie, czarne chmury i krążyły nad lasem oraz między drzewami. Od tylu lat radziłem sobie sam, więc teraz nie będę biegł do roztrzęsionego Nathana. Tak jak zawsze, odepchnął myśli, że postąpił źle, uciekając od innych osób.*

Chwilę po tym, jak ostatecznie zdecydował, że nie wraca do wioski, usłyszał to. Pojedynczy brzęk jednej pary skrzydeł. Blisko. Jego zmysły natychmiast wyostrzyły się. *Jest tutaj. Jest w moim domu, w mojej chacie, w moim życiu...* Każda komórka jego ciała wypełniła się czystą nienawiścią i obrzydzeniem. Powoli podniósł głowę i rozejrzał się wkoło. Bzzzz.... Bzzzzz... Nic nigdy nie było dla niego tak klarowne, jak w tym momencie: *Muszę zabić. Muszę zlikwidować zagrożenie.* Podniósł się z kanapy. Żarówka roztaczała słabe światło w sypialni. Zasłony zostały zaciągnięte, jednak ude-

rzanie much o szyby wciąż było słyszalne. Zaciśnął duże dłonie w pięści, aż kostki zbiełały kompletnie. Bzzzz... Bzzzz... Nagle coś mignęło przed jego oczyma. Bruno natychmiast rzucił się w tamto miejsce, jednak złapał tylko powietrze. *Słyszę to. Słyszę, słyszę, słyszę...* Czarna kropka znów przeleciała przez pomieszczenie. Pięści uderzyły pustą przestrzeń.

Myśliwy zdał sobie sprawę, że to nie ma sensu. Z powrotem usiadł na kanapie. Bzzz... Bzzz... Bzzz... Gdy zobaczył owada, nie wykonał żadnego gwałtownego ruchu. Czuł silne obrzydzenie na samą myśl, że to okropieństwo jest w domu jego dziadka, w bezpiecznej strefie. Tak naprawdę nigdy nie obchodziło go, co działo się na zewnątrz, więc sto, tysiąc, czy milion much składających jaja w psach nie miało dla niego znaczenia. Dopóki nie dotknęło to jego własnej przestrzeni, świat mógł się równie dobrze kończyć. Jednak mucha bzyczała bezlitośnie, a ten odgłos był inny od dźwięku chmar latających na zewnątrz. Był inny, ponieważ zaburzył jego spokój. Jednak... *Usiadła. Usiadła na marchewce.* Niedojedzony posiłek leżał na kuchennym blacie zaledwie kilka metrów od niego. Wielka, tłusta mucha przysiadła na warzywie. Bruno podniósł się, znów niespiesznie. Chwycił książkę, którą czytał ostatniego wieczoru. Silna ręka powoli podniosła „Draculę”, kiedy stawiał kolejne kroki po skrzypiącej podłodze. Widział owada wyraźnie. Wykrzywił twarz w skupieniu i wymierzył cios. Kiedy książka ciężko opadła na talerz, rozległ się trzask marchewki i mlask owada. Bruno uśmiechnął się z satysfakcją, podniósł lekturę. Talerz wypełniony został w takiej samej ilości warzywem, jak ciałem owada. Myśliwy stał chwilę, spoglądając na ten ironiczny widok. Na gładkiej, białej ceramice rozmazane zostało truchło zwierzęcia wraz z resztkami jedzenia. Ta potrawa sprawiła, że Bruno sposepniał. Nie wiedział, dlaczego tak bardzo się tym przejął – w końcu było to tylko warzywo. *Czy to przyszło nam teraz jeść? Czy muchy wypełnią nasze życie, wejdą do każdego talerza i każdej myśli?*

Myśliwy tamtej nocy złożył zamartwioną głowę na poduszce nie czując się bezpiecznie. Śniły mu się muchy.

Rano nie obudziło go słońce, lecz nasilony brzęk. Gwałtownie podniósł się z łóżka i zdał sobie sprawę, że jest jeszcze ciemno. Języki jutrzeńki powoli lizały horyzont zza drzew. *Nie słyszę żadnej muchy w środku, jednak na zewnątrz jest ich o wiele więcej, niż kilka godzin temu.* Zegar uzmysłowił mu, że minęło tylko sześć godzin. *To tylko deszcz* – wmawiał sobie Bruno, kiedy schodził na dół, by zjeść śniadanie. *Ten brzęk to tylko szczególnie silny deszcz. Jak tej jesieni kilka lat temu. Och, ile wtedy w przemoczonym płaszczu zdobyłem futer.* Pochłonięty myślami o dawnych polowaniach, na chwilę zapomniał o nieszczęsnym posiłku, który wyrzucił przez okno. I o chmarach owadów za ścianami. I o zastrzelonym psie. Jednak, gdy tylko spojrzał na biały talerz, wspomnienia i natrętne myśli wróciły. Zamiast tostów z szynką i serem zobaczył muchę i marchewkę, rozmazane na gładkiej powierzchni. Zdesperowany, starał się znaleźć jakiś punkt zaczepienia w umyśle. Nagle jego oczy rozjaśniły się. *Trzeba zarobić trochę pieniędzy. Deszcz przynosi mi szczęście w polowaniu.* Natychmiast wstał, ubrał się pośpiesznie i chwycił strzelbę. Poczuł się dobrze, mając cel inny niż muchy. Kiedy wyszedł z chatki, uderzył go straszliwy odgłos owadów. Były ich tysiące, może nawet setki tysięcy. Zbijały się w ogromne, czarne chmury i latały wszędzie. *Jeśli będę poruszał się szybko, nic mi się nie stanie* – wmawiał sobie, pośpiesznym krokiem idąc w las. *To tylko owady. Nie, to tylko deszcz. Muszę uważać, by mój płaszcz nie przemókł.*

W tajdze, niedawno jeszcze tak cichej i spokojnej, panował tumult i hałas. Głośny szum wypełniał każdy jej zakątek – dostawał się do dziupli dzięcioła, do nory lisa, do każdej żywej istoty. Bruno szedł szybko, jednak po chwili musiał zacząć odganiać się od much. *Deszcz. Deszcz. Deszcz. To tylko deszcz.* Bzyczenie zlewało się w dźwięk przypominający nadchodzące tsunami. Czarne chmury były wszędzie. Gdziekolwiek myśliwy nie spojrzał, gdziekolwiek się nie obejrzał – były tam muchy. Miliony skrzydełek złączonych w jedność... Miliony skrzydełek łaknących miejsca do złożenia jaj. Bruno szedł coraz szybciej, szybciej i szybciej. Muchy siadały na

jego płaszczu, na nogach, rękach, głowie. Jutrzenka wstawiała. Tajga krzyczała, tajga wrzeszczała w jego stronę. Upuścił strzelbę, zgubił się we własnych jękach, gdy poczuł owady wdzierające się na jego skórę, do oczu, do uszu, do myśli, do talerza, do życia, do chaty... Nie miał kleju, nie miał już nic. Nie miał uczucia, nie miał człowieczeństwa. Stał się tylko marchewką. Marchewka po chwili zaginęła we własnym bólu, a krzyków nikt nie usłyszał. Wrzaski bólu zlały się w jedno z szumem owadów. Warzywo upadło na ziemię. Warzywo zgubione przez samotność.

**Mateusz Białek (M.A.), kl. 3
Zespół Szkół Budowlanych
i Ogólnokształcących w Biłgoraju**

Portret pośmiertny hiszpańskiej infantki

Scena skąpo oświetlona, brak scenografii, wchodzi Małgorzata w bogato zdobionej barokowej sukni.

Małgorzata

Buenos! To ja, Małgorzata Teresa Habsburg! Cesarzowa! Księżniczka hiszpańska! Nie wiem, gdzie jestem, lecz domyślam się, że nie wśród żywych...

Diego

W garniturze, wchodząc na scenę, wnosi farby i sztalugę.

Małgorzata

Kto tam?

Diego

Och, Margarita, jesteś w samą porę! Moja ostatnia modelka się trochę spóźniła.

Małgorzata

Diego! Mi amor! Co najwybitniejszy malarz Iberii tutaj robi?

Diego

Przybywam, by namalować twój ostatni, trumienny portret.

Małgorzata

Kiedy ja nie zamawiałam portrecisty...

Diego

Każda panienka zasługuje na pośmiertny portret.

Małgorzata

Ale ja nie jestem panną...

Diego

Bez obaw! To w niczym absolutnie nie przeszkadza, moja Pani. Proszę zapozować, odprężyć się i zaraz będzie po wszystkim.

Małgorzata

Co się ze mną później stanie?

Diego

Tego nie wiem. Ja tylko maluję.

Małgorzata ustawia się, Diego zaczyna malować.

Zresztą tutaj każda kobieta staje się panną. Tutaj kończy się ziem-ska podróż. Nie ma tu twojego męża, choćbyś ich miała sześciu. Po obrączce na twym palcu ani śladu.

Małgorzata

Ale co na to papież?

Diego

Papieża też tu nie ma. Zostajecie sami z własnym sumieniem.

Po chwili milczenia

Moja Pani, rozchmurz się! Minę masz prawie tak ponurą jak w dniu ślubu, gdy cię malowałem.

Małgorzata

Nie jestem w stanie. Gdy tylko pomyślę o moim życiu na ziem-skim padole, łzy same cisną mi się do oczu, uśmiech sam znika z mojej twarzy.

Diego

Dlaczegoż to? Powinnaś patrzeć na nie z nostalgią, wszak byłaś samą Cesarzową!

Małgorzata

Ale byłam nieszczęśliwa! Własna rodzina zgotowała mi los okrutny i pełen upokorzeń!

Mój ojciec – Filip zeswatał mnie na siłę z moim własnym wujkiem. Z powodów politycznych podobno, ale ja nigdy nie dowiedziałam się dlaczego.

Miałam wtedy zaledwie czternaście lat.

Musiałam zostawić wszystko. Cały mój dotychczasowy świat w Hiszpanii.

Zostawić moją ukochaną matkę... I ojca. Ale za nim nie tęskniłam. Nigdy się dla niego nie liczyłam. Byłam tylko kolejnym pionkiem, który mógł wysłać w głąb Europy, by objąć kolejny tron. Czas poświęcał tylko synom, ale nie miał ich wielu. Umierali jako niemowlęta. Nie liczył się nawet ze swoimi żonami. Pierwszą notorycznie zdradzał, a gdy zmarła po pięciu latach ożenił się z moją matką. Zanim go poznała była wesółą, lubiła się bawić, tańczyć... Potem stała się zimna i zgorzkniała.

Nie kochał nas. Widział w nas tylko narzędzia polityczne.

Nie chciałam rozstawać się z matką. Przedłużała odesłanie mnie do Austrii jak się tylko dało, ku niezadowoleniu mojego ojca. Nie zabiera się dziecka matce! To nie w porządku, prawda Diego?

Diego milczy

Miałam tylko czternaście lat, gdy wysłano mnie do obcego kraju, żebym wyszła za mąż za starszego o dziesięć lat wujka i kuzyna. Był taki sam jak mój ojciec...

Mógł zrobić wszystko. Nie zgodzić się na to małżeństwo. Zostawić mnie w spokoju, odesłać do klasztoru! Ale on sam wybrał, by pojąć mnie za żonę. Na granicy z Austrią zostałam odarta ze wszystkich moich hiszpańskich ubrań. Stałam tam w listopadowym mrozie, wiatr owiewał moją nagą skórę, gdy słudzy wciskali na mnie gorset i warstwy austriackiej krynoliny.

Diego

Szkoda. Doskonale pamiętam, jak malowałam cię w tej hiszpańskiej sukience. Wyglądałaś tak delikatnie. Twoja alabastrowa twa-

rzyczka wybijała się na tle ciemnoniebieskiej tafty, smutno mi było patrzeć na taką filigranową dziewczynkę uginającą się pod ciężarem barokowej sukni.

Małgorzata

Tej drobnej, filigranowej dziewczynce też było smutno. Każdej nocy w moim pałacu spoglądałam przez okno w stronę Alhambry. Myślałam, że może kiedyś tam wrócić... Na próżno.

Myślałam o tym przez całą drogę do Austrii. Właściwie myślałam o tym, gdy tylko moja karetka opuściła Hiszpanię.

Wuj Leopold nie przyjął mnie ciepło. Był w stosunku do mnie chłodny, ambiwalentny. Tak jakby nie chciał tego robić, a była to jego powinność. To nie była powinność. Nie musiał się zgadzać. Chciał tego! Być może, gdy zobaczył lęk w moich oczach, uderzyło go sumienie!

Było już za późno. Pobraliśmy się rankiem piątego grudnia 1666 roku. Bałam się, bo dzień kończył się szybko. Nadchodziło nieuniknione.

Diego

Przepraszam! Mogłabyś obrócić się do mnie przodem? Trzy czwarte ci nie służą, powinienem cię malować en face.

Małgorzata ustawia się
Świetnie!

Małgorzata

Cały dzień chodziły za mną szeptki. Nie znałam ani słowa po niemiecku. Nie wiedziałam kto i co o mnie mówi. Na oficjalnych spotkaniach każdy mi schlebiał, przynajmniej tak mi się wydawało, więc grzecznie potakiwałam. Nie wiedziałam komu i czemu potakuję.

Zapadł zmierzch.

Zostałam zaprowadzona przez moje dwórki do alkowy. Na łożu czekał na mnie Leopold i kilkunastu dworzan. Weszłam tam, w blasku księżyca ubrana jedynie w cienką halkę. Leopold zainicjował pocałunek. Nie odwzajemniłam go. Nie chciałam.

I wtedy zaczął mnie rozbierać. Cały mój orszak towarzyszący mi z Madrytu aż do Wiednia przyglądał się tylko jak mój własny wuj mnie rozdziwacza. Nikt nic nie zrobił! Nikt!

Przepychali się między sobą, żeby mieć jak najlepszy widok na moje zbezczeszczenie!

Leżałam na aksamitnym łożu bezwładnie, sparaliżowana lękiem! Chciałam krzyczeć, nie mogłam! Żołądek podchodził mi do gardła! Skończył. Padł, jak gdyby właśnie przebiegł z Maratonu do Aten. Dworzanie się rozeszli, a ja siedziałam na łóżku. Było mi zimno w stopy. Ciągle się trzęsłam, a to z chłodu, a to ze strachu, ale jednak byłam odrobinę szczęśliwa, że wreszcie to wszystko się skończyło. Skończyło. Mogłam pomarzyć!

Regularnie Leopold odwiedzał moją sypialnię i starał się o następcę tronu.

Nikt nie chciał mi pomóc, do nikogo nie mogłam się zwrócić o pomoc.

Zostałam sama.

Miałam piętnaście lat.

Diego

Moja droga, przesuniesz się troszeczkę w prawo? O! Tak dobrze! Teraz doskonale widzę twoją piękną, dorodną...

Małgorzata

Szcękę? Doskonale wiem, że poprawiałeś moje portrety, Velazquez. Doskonale wiem, że księżne i diukowie życzący mi pomyślności i chwalecy moją urodę kłamali. Jeszcze ten przekłety Włoch Cesti. Skomponował operę na moje siedemnaste urodziny. „Il pommo d'oro”. Złote jabłko. W której po pięciu godzinach tułaczki po Hadesie Parys wręcza jabłko niezgody najpiękniejszej. Mnie. Cesarzowej. Nie byłam najpiękniejsza.

Cała Europa naśmiewała się z habsburskiej szcęką.

Cierpiał na nią także Leopold. Niski, zęby i zuchwę miał tak krzywe, że cały czas wyglądał, jakby coś przeżuwał. Szybko zaczął łysieć, więc nakładał zawszone, brudne peruki.

Wiesz jak mówili o naszym małżeństwie w kuluarach? Mutanty. Mutanty! Setki lat kazirodczych małżeństw powodowały bezpłodność, wady genetyczne i choroby psychiczne.

Winię za to nie tylko mego ojca, ale i praojca, i prapraojca, i wszystkich, którzy byli przed nimi. Winię tych, którzy poczuili się jak bogowie, przekładając karierę i władzę nad swoją rodzinę! Tych, którzy trzymali własne dzieci jak w klatce, uprawiając na nich chów wsobny.

To uwłacza ludzkiej godności, nie uważasz, Velazquez?

Diego milczy

Velazquez!

Tak! Masz rację! Najlepiej milczeć, Diego! Nie wiem, czy zabrakło ci słów, czy zgadzasz się ze mną, czy z moim ojcem, ale milczysz! Tak jest przecież łatwiej! Nie widzę nawet grymasu na twojej twarzy! Udajecie, że nie słyszycie, nie widzicie, nie wiecie!

Mój los ma być bardziej okrutny, aby poruszyć tłum? W końcu zginęła młoda księżniczka w połogu, historia jakich w siedemnastowiecznej Europie setki. Maria Teresa, Maria Konstancja, Małgorzata, Antonia, Klaudia, Józefina, kogo to obchodzi! Wszystkie nazywały się tak samo i tak wszystkie były ze sobą spokrewnione! Mam być, nie wiem, starą, schorowaną wdową? Ślepą żebraczką?

Diego

Strasznie przykro mi to słyszeć... Może jakoś ci to wynagrodzę? Namaluję ci portrety z twoimi dziećmi? Tak! Mam wizję! Wiedeński pałac, a w nim Małgorzata Teresa opiekująca się dziećmi! Już to widzę: królowa pieści w łóżeczku chłopczyków, a przy nodze biega dziewczynka... Genialne! Zobaczysz, dzieło będzie wspanialsze i sławniejsze niż „Panny dworskie”!

Małgorzata

Mam nadzieję, iż lubisz malować czarny tiul, bo tylko dziewczynka przeżyła. Nie wiem za co spotkała mnie ta kara.

Przecież matce nie odbiera się dziecka!

Pierwszego synka – Ferdynanda urodziłam we wrześniu, a w styczniu następnego roku już go pochowałam.

Potem urodziłam córeczkę – Marię Antoninę, nie zdążyłam jej nawet wydać za mąż za życia, dożyła lat dwudziestu trzech.

Jaś. Arcyksiążę Austrii. Urodził się i zmarł 20 lutego 1670 roku.

Dwa lata później Anna Maria. Zmarła po dwóch tygodniach od narodzin.

Rok później...

Rok później znalazłam się tutaj. Nie zdążyłam mu nawet nadać imienia. Jemu, jej. Nie wiem. Żaden z historyków się nie dowie.

Ach, ja matka bolesna! Dzieci moje kolejno zawisły na krzyżach!

Chciałabym powiesić za nie przez chociaż chwilę, ulżyć im! Dajcie mi umrzeć, byleby one przeżyły! Dla nich zniosę karę tysiąca

śmierci! Aby córki dobrze wyszły za mąż, aby synowie rządili długo,

żeby zostali cesarzami, kardynałami... Przyciskałam je do piersi i

łkałam w nadziei na to, że moje łzy je wskrzeszą. Na próżno.

Zamiast tego stałam się austriacką pietą. Jedną z wielu. Skończyłam

wtedy dopiero dwadzieścia jeden lat. Ostatnie dziecko, gdy

było zdejmowane z krzyża pociągnęło mnie za sobą.

Diego, dziecka nie odbiera się matce, prawda? To nieludzkie. Matki nie odbiera się dziecku...

Matka. Matka! Co z nią? Co z moją matką?

Diego

Po twojej śmierci popadła w głęboką żałobę. Wyprowadziła się z Madrytu. Spokojnie pokutuje w Toledo.

Małgorzata

Dios mio! Nie pomyślałabym, że przysporzę tyle rozpaczyny mojej własnej matce...

Diego

Śmierć przysparza rozpaczyny tylko tym, którzy nadal żyją.

Małgorzata

Verdad.

A mój ojciec? Malowałeś mojego ojca?

Diego

Nie przypominam sobie, su alteza.

Małgorzata

Po wygraniu wojny trzydziestoletniej powiedział, że „Bóg jest Hiszpanem”. Też byłam Hiszpanką. Może inną, nie taką jak on, bo wyraźnie mnie nie lubił... Diego, czy człowiek może być przeklęty?

Diego

To zależy. Papież powie ci, że tak, ba! Nawet sam może na ciebie rzucić klątwę. To samo więdźmy, alchemicy, astrologi. Ja osobiście w to nie wierzę.

Małgorzata

Ja myślę, że kobiety mogą być przeklęte.

Diego

Czemu tak twierdzisz, o Pani? Miękkie ręce, delikatne rysy twarzy, piękno w czystej postaci! To błogosławieństwo. Pędzel sam macza się w farbie! A farba spływa po płótnie tak delikatnie jakoby rosa po trawie. Oleista ciecz układa się w sylwetkę... Oczy, uszy, nos... Włosy, suknia, kryza...

Małgorzata

Oczy pełne smutku. Uszy, które nasłuchiwały się przykrości. Nos, który czuje zgniliznę. Włosy wypadające ze stresu. Uwierająca suknia. Kryza zaciśnięta na szyi jak obroża.

Diego

Moja Pani... Rozchmurz się, naprawdę. Nie chcesz chyba na swoim ostatnim portrecie wyjść z grymasem.

Małgorzata

Przecież wyjaśniłam ci już, że tylko grymasu jest warte moje ziemskie życie.

Diego

Każda z was mówi to samo.

Małgorzata

Perdona?

Diego

Nie jesteś pierwszą damą, którą maluję. Przed tobą malowałem jeszcze Amai z Iraku w 2014, Sahanę z Indii w 2019, Katarzynę

w 1542 (ta Angielka strasznie płakała), Nilę z Sudanu Południowego w 2007 lub 2008, Annę gdzieś po 1240, Marię w 1770... Było ich jeszcze więcej, ale niestety nie pamiętam wszystkich. Zresztą czemu ja mam je wszystkie pamiętać, gdy cały świat o nich zapomniał?

Małgorzata

I nie pomyślałeś, że to nie przypadek, iż każda ma grymas na twarzy? Ale może masz rację, Velazquez. Może moje blade policzki i wąta postura to błogosławieństwo. To chyba po prostu kwestia głupoty. Jestem wykształcona. Znam biegle hiszpański, łacinę, włoski i francuski. Czytałam najbardziej znanych europejskich filozofów. Miałam głowę do liczb. A jednak skończyłam tak. To musi, po prostu musi być głupota! Przecież trzeba być głupim, żeby urodzić się w takich czasach. Co dopiero, żeby urodzić się kobietą. Trzeba być głupim, żeby urodzić się we współczesnym Iranie czy Afganistanie, bo nie wiem jak inaczej to wytłumaczyć. Masz jakiś inny pomysł, Diego?

Diego

Słucham?

Małgorzata

Pytałam, czy masz jakiś inny pomysł.

Diego

Inny pomysł? Kończę już w sumie twój portret, więc nie za bardzo, chiquita. Mogę zmienić ci kolczyki albo naszyjnik, jeśli chcesz, bo wszystko inne już gotowe. Łącznie z tłem.

Małgorzata

Ay, Velazquez. Nie ma to chyba jednak sensu.

Diego

Co też opowiadasz? Mówiłem: każda panienka zasługuje...

Małgorzata

Tu nie chodzi o obraz, Diego.

Diego

W takim razie o co?

Małgorzata

Gdybyś mnie słuchał, to byś wiedział. To kwestia głupoty. Ale nie mojej. To kwestia głupoty królów i cesarzy. Ojców i matek. Dopóty będziesz malował takie infantki, aż każdy Filip, każda Marianna i każdy Leopold się opamiętają. Jeśli nie, to nigdy nie odłożysz pędzli i farb.

Diego

Lecz ja lubię swoją pracę!

Małgorzata

A nie wolałbyś malować dam uśmiechniętych? Czerpiących z życia zamiast załamanych, młodych dziewczyn? Nie wolałbyś, aby pozowały ci dojrzałe, spokojne buzie, zamiast przerażonych kilkuletnich twarzyczek?

Diego

Zaiste, mądrze prawisz. Ciężej maluje się twarze ukryte pod wykrochmaloną koronką lub zwiewną burką.

Małgorzata

Skończyłeś już mój portret?

Diego

Si. Możesz go zobaczyć.

Małgorzata

Podchodzi do sztalugi

Twój talent pozostał równie wielki, jakim go zapamiętałam. Gracias.

Diego

De nada. To była przyjemność z tobą pracować.

Wychodzą na środek

Małgorzata

Co teraz?

Diego

Niech inni prowadzą wojny...

Małgorzata

...a ty, szczęśliwa Austrio... Żeń się!

Gasną światła

**Maja Baron (Niebiańska gorilla), kl. 2
Nowatorskie Liceum Ogólnokształcące
w Warszawie**

Typowa historia czyli opowieść o Janku Góralu z Tatrzańskiego Zadupia

(oraz znienawidzonych wątkach fantasy według angielskiego rankingu, który autor Typowej Historii przeczytał kilka lat temu)

Akt pierwszy, **scena pierwsza**

(Janko Góral wędruje wraz z owcami po Tatrach, fałszując piosenkę i zażerając się oscypkiem)

Janko

Jakież radosne jest życie górala,
Gdy pod mym butem rozciąga się hala.
Słońce przygrzewa, owieczki beczą,
A gdzieś za płotem kozy se meczą!
Niebo błękitne, chmur żadnych nie ma,
A obok ucha komar przyśpiewa!
(nagle pojawiają się przed nim trzy wiedźmy)

Janko

Oh, na wariata – pana Heńka!
Kimże wy piękne panie jesteście?

Hilda

Spójrz tylko, o wielka siostro! Czy to nie wspaniałe?
Tuż przed nami stoi nasz pradawny wybraniec!

Berta

Uspokój się, Hildo. Chcesz dostać od Hermenegildy jak wtedy,
Gdy w czasie naszych czarów upuściłaś żabę,
Którą przez pół dnia później ganiałaś?

Hilda

Nie złość się, o droga siostró! Toż to przecież chwila jest wielka!
(odwraca się do Janka)
Chodź z nami, o wielki bohaterze! Uratuj nasz świat,
Zło pradawne ucisz...

Janko

Co znowu? Jeśli to bohatera szukacie, Stefan jego imię.
To on uratował moją owcę Bernię przed watahą głodnych wilków.

Hermenegilda

Doprawdy wspaniały musi być z niego mężczyzna, lecz my...

Janko

Jaki mężczyzna? Stefan to mój pies.

Hermenegilda

...w ślad przepowiedni wyruszyliśmy. Tylko jeden,
Jedyny człowiek na tym świecie, o sercu tak męznym jak i walecznym,
Posiada siłę zdolną zgładzenia Wielkiego Smoka!
Chodź z nami, o Janku z Gór Wysokich!
Wraz z nami wstąp w świat pradawnej glorii!
(znikają wraz z Jankiem, Bernia beczy przestraszona)

Scena druga

(dwie postaci siedzą przy stole, jedna z nich ma na nogach crocsy „tryb sport”, a na głowie nadmuchiwane koło ratunkowe w kształcie kaczki, do tego siedzi na rozkładanym krześle z Ikei – pojawiają się wiedźmy, w tym Hermenegilda z Jankiem przerzuconym przez ramię)

Janko

Coście sobie ubzdurały? Jestem Janko,
Prosty góral! W życiu miecza nie trzymałem
I nigdy też nie zamierzam!

Hermenegilda

Witaj nasz Królu, dostojny Kluskomercie! Jak obiecałyśmy,
Tak uczyniłyśmy. U twojego tronu pokornie składamy,
Bohatera ze świata odległego.
(Janko spogląda na dziwacznie ubranego króla i otwiera szeroko oczy)

Janko

Cóż to za dziwak?! Czyż to owe zło pradawne,
Które zgładzić mi każecie?
Nawet wariat Heniek nie ubiera się tak dziwnie...

Kluskomert

Dzielny, mężny... Nawet modę potrafi docenić!
Witaj, o Przepowiedziany! Cóż za dzień to,
Historia odgrywa się na moich oczach!
(sięga za „tron” – krzeselko z Ikei – i wyciąga zza niego różowy miecz świetlny)
Uchwyć w dłonie mój oręż, smoka wyrusz zgładzić!
Twoje imię zapisze się w księgach, pieśni ci
Będą śpiewać! Wyruszaj, Bohaterze,
Pod sztandarem klusek śląskich!
Przynieś chwałę Kluskolandii!!!

Hilda

Jakiż przepiękny, oręż pradawny! Jaki kolor,
Jakie ostrze wypolerowane!

Janko

Cóż to, król – dziwak był w Zakopanem?
Kupił na Krupówkach różową zabawkę,
Którą uważa za oręż pradawny? Poza tym
Nikt nie zdoła zmusić mnie, abym chwycił w dłoń
Ten miecz! Obrazą jest dla górala,
Inna broń niż ciupaga!
(Hermenegilda bierze miecz, zabiera Jankowi ciupagę i wciska mu w dłoń nowy oręż)

Hilda

Spójrzcie tylko, drogie siostry! Jakiż przepiękny to
Widok! Legendarny Bohater, w dłoni dzierży lancę!
To na naszych oczach zgładzi zło pradawne!

Berta

(mruczy pod nosem)

Nie lancę, a miecz różowy. Czyżby twój wzrok się pogorszył, moja droga Hildo?

Może wypadaloby kupić ci nowe soczewki...

(Hermenegilda bierze pod pachę Janka i wybiega z nim z Sali tronowej)

Janko

(jego głos coraz bardziej się oddala)

Puść mnie, wiedźmo przebrzydła! Oddaj mi moją ciupagę, toż to Pamiątka po dziadku!

Hilda

Ach, pospieszmy się, szanowna siostró Berto!

Hermenegilda znów nam ucieka! Jak wtedy,

Gdy przeklinałyśmy Smoka Wielkiego,

Mieszając ślinę żabią z marmoladą!

Scena trzecia

(zniszczone miasto, całe pokryte popiołem; wchodzi Hermenegilda z Jankiem, który usiłuje wyrwać jej swoją ciupagę; nadlatuje szkarłatny smok, ziejąc ogniem na wszystkie strony; po chwili wpadają zdyszane Berta i Hilda)

Hermenegilda

Spójrz tylko, o wielki Bohaterze! Ujmij miecz w Swe dłoń! Stań naprzeciw ciemności,

Okryj chwałą swe imię!

Smok

(ląduje na ziemi przed nimi, Janko upada na tyłek pod wpływem nagłego podmuchu)

Odejdźcie stąd, parszywe człowieczyny!

Wasz czas dobiegł już końca, moich rządów to początek!

Cofnijcie się, póki jeszcze żyjecie!

Hilda

Nie lękaj się, o Bohaterze!

Janko

Nie lekceważ mnie, smoku przeraźliwy! Te ręce niejedną

Już owcę z kłów wilczych wyrwały!

(wściekle odrzuca na bok miecz i wyszarpuje Hermenegildzie swoją ciupagę)

Chodź no tu, nędzna kreaturo! Czas abyś poznała

Moc prawdziwego górala!

(unosí ciupagę, szykując się do walki)

Niechaj ten świat usłyszy mój okrzyk,

Gniew rodzonoego polskiego górala!

Smok

Cóż niby mógłby mi zrobić zwyczajny człowiek,

Do tego pozbawiony sensownej broni...

(Janko zaczyna jodłować, aby zagrać się do walki)

A cóż to takiego, góralu?

Nieznane mym uszom zakłęcia...?

(Janko dalej jodłuje)

Nie bolą cię płuca?

(Janko wciąż jodłuje)

No dalej! Atakuj, człowieku, bo zaraz stracę cierpliwość!

(Janko zaczyna fałszować)

Ach, moje uszy! Nie mogę już tego znieść!

(Smok odlatuje, płacząc przeraźliwie, jednak Janko wciąż jodłuje)

Hilda

Cóż to był za pokaz siły! Berto, Hermenegildo! Nasz świat nareszcie bezpieczny...

(rozradowane wiedźmy podrzucają Janka w powietrze, po czym schodzą razem z nim ze sceny – Janko wciąż jodłuje, jednak coraz ciszej)

Janko

(kończy jodłować, jego głos dobiega z bardzo daleka)

...a gdzie podział się ten smok?

Przestraszył się mojej ciupagi...?

Scena czwarta

(na zamku Kluskomerta trwa uczta ku czci Janka; Janko ukradkiem wciska w kieszenie spodni jedzenie ze stołu, aż podchodzi do niego król)

Kluskomert

Wielki Bohaterze! Słów tyle nie istnieje,
By wyrazić mój podziw wobec ciebie! Powiedz!
Powiedz mi tylko czego pragniesz, a pragnienie
Twoją prawdą uczynię!

Janko

Może poza zapasem jedzenia, który już
Sobie sprawiłem, wysłalibyście mnie z powrotem
Do domu?

Hilda

Zaczekaj chwilę, o wielki bohaterze! Pomyśl
Tylko, jakież rzeczy mógłbyś otrzymać! Zamek,
Klejnoty, całe wręcz hrabstwo...
Przemyśl to dobrze, o Bohaterze! Pomyśl
O swojej przyszłości...!

Janko

Jedyna przyszłość jakiej pragnę to upalne
Lato, straganik gdzieś na Krupówkach oraz
Cepry, z których będę zdzierał kasę na
Oscypkach złocistych!

Kluskomert

Oscypki... Cóż to jest za przedmiot? Złocisty...
Ze złota wykonany? Nasz Janko Góral aż taki bogaty?
Moje zamki, klejnoty... Dla niego nic one nie znaczą!
Lecz mimo to powiedz, o Bohaterze!
Czego pragniesz w sekrecie?

Janko

Bernia pewnie niepokoi się już na hali... Muszę szybko wracać,
ochronić ją przed wilkami...

Hilda

Jaki szarmancki ten nasz Bohater! Spieszyć na pomoc swej damie...
Nie mamy prawa myśleć, że ktoś tak szlachetny pragnie
Jedynie bogactwa i chwały!
Berto, Hermenegildo! Szybko, odeślijmy go do jego świata...

Berta

W myślach mi czytasz, o siostrze młoda!
(wykonują rękami dziwny gest i Janko znika; kurtyna opada)

Janko

(jego głos dobiega zza sceny)
Bernia to moja owca!!!

Scena piąta

*(Janko wędruje po górach razem ze swoimi owcami, zażerając podkra-
dzione jedzenie)*

Janko

(krzywi się i z obrzydzeniem wypływa ser)
Cóż to za paskudna gołda! Moje kubki smakowe kaleczy,
Coś tak niepodobnego do tatrzańskiego oscypka!
*(na horyzoncie pojawiają się trzy sylwetki, Janko spogląda na nie
i krzyczy przerażony)*
Nie! Tylko nie wy! Już nigdzie z wami nie pójdę!
Do piekła wracajcie, tam miejsce wasze!
*(przerażony Janko ucieka wraz z Bernią; kurtyna opada i po chwili
unoszą się ponownie, pokazując wbite w ziemię trzy strachy na wróble,
i siedzącego obok nich szczerbatego górala)*

Stary Heniek

Toż to dopiero prawdziwy wariat!